

JOSE ORTEGA Y GASSET

BUNT MAS

przełożył
PIOTR NIKLEWICZ

Tytuł oryginału: *La rebelion de las masas*

Ripped by
RAZIELITO

Wszelkie kopiowanie i rozpowszechnianie mile widziane!

BLAK BOKS GRAP

Część pierwsza

BUNT MAS

I

Zjawisko aglomeracji¹

Jesteśmy obecnie świadkami pewnego zjawiska, które, czy tego chcemy czy nie, stało się najważniejszym faktem współczesnego życia publicznego w Europie. Zjawiskiem tym jest osiągnięcie przez masy pełni władzy społecznej. Skoro masy już na mocy samej definicji nie mogą ani nie powinny kierować własną egzystencją, a tym mniej panować nad społeczeństwem, zjawisko to oznacza, że Europa przeżywa obecnie najcięższy kryzys, jaki może spotkać społeczeństwo, naród i kulturę. Historia zna już takie wypadki. Znane są także charakterystyczne rysy i konsekwencja takich kryzysów. Mają one też w historii swoją nazwę. Zwą się: buntem mas.

Aby zrozumieć w całej rozciągłości owo przerażające zjawisko, należy przede wszystkim unikać przypisywania takim słowom jak „bunt”, „masy”, „władza społeczna” znaczenia wyłącznie czy głównie politycznego. Życie publiczne nie ogranicza się jedynie do sfery polityki, należy do niego również działalność intelektualna, moralna, gospodarcza, religijna; obejmuje ono wszelkie sfery życia zbiorowego, włącznie ze sposobem ubierania się czy zabawy.

Tak więc najlepszym sposobem przybliżenia czytelnikowi tego historycznego zjawiska jest ukazanie jego wizualnego aspektu, a przy tym uwypuklenie tych rysów nowej epoki, których istnienie możemy naocznie stwierdzić.

Owym faktem nadzwyczaj prostym do określenia, choć nie do analizowania, jest coś, co nazywam zjawiskiem aglomeracji, zjawiskiem „pełności”. Miasta pełne są ludzi. Domy pełne są mieszkańców. Hotele pełne są gości. Pociągi pełne są podróżnych. Kawiarnie pełne są konsumentów. Promenady pełne są spacerowiczów. Gabinety przyjęć znanych lekarzy pełne są pacjentów. Sale widowiskowe, o ile przedstawienie nie jest zrobione „na poczekaniu”, nie jest improwizacją, pełne są widzów. Plaże pełne są zażywiających kąpieli. To, co kiedyś nie stanowiło żadnego problemu, a mianowicie: znalezienie miejsca, obecnie zaczyna być powodem niekończących się kłopotów.

Ot, i wszystko. Czy trzeba szukać zjawiska bardziej zwykłego, bardziej znanego i bardziej stałego w naszym współczesnym życiu? Spróbujmy przekłuć powierzchnię tej obserwacji, a staniemy zdumieni przed niespodziewanym źródłem, w którym odbijające się światło dnia, naszego obecnego dnia, objawi cały jego bogaty, wewnętrzny koloryt.

Cóż takiego zobaczymy i czegoż to widok tak nas zadziwi? Ujrzymy tłum jako taki, korzystający ze stworzonych przez cywilizację pomieszczeń i urządzeń. Po krótkim namyśle zadziwi nas własne zdumienie. Bo czyż nie jest to sytuacja idealna? Miejsca w teatrze są przecież stworzone po to, by je zajmować, a zatemchodzi o to, by sala była pełna. To samo można powiedzieć o miejscach siedzących w pociągu i pokojach w hotelu. Tak, fakt ten nie ulega wątpliwości. Rzecz jednak w tym, że przedtem pomieszczenia te nigdy nie były pełne, natomiast teraz często są przepełnione, a co więcej, nie wszyscy, którzy chcieliby z nich skorzystać, mogą dostać się do środka. Tak więc, chociaż jest to zjawisko naturalne i logicznie uzasadnione, to jednak trzeba sobie zdać sprawę z tego, że kiedyś ono nie istniało, a obecnie jak najbardziej istnieje; a zatem mamy do czynienia ze zmianą, z nowością, która usprawiedliwia, przynajmniej początkowo, nasze zdziwienie.

Zdziwienie, zaskoczenie to początek zrozumienia. To specyficzny i ekskluzywny sport i luksus intelektualistów. Dlatego też charakterystycznym dla nich gestem jest patrzenie na świat rozszerzonymi ze zdziwienia źrenicami. Cały otaczający nas świat jest dziwny i cudowny, jeśli nań spojrzeć szeroko otwartymi oczami. To właśnie, uleganie radosnemu zdziwieniu, jest rozkoszą dla futbolisty niedostępną, natomiast dzięki niej intelektualista idzie przez życie pogrążony w niekończącym się, wizjonerskim upojeniu, którego oznaką

¹ W książce *Espana invertebrada* opublikowanej w 1921 roku, w artykule w „El Sol” zatytułowanym *Masas* (1926) i w trakcie dwu wykładów wygłoszonych w Asociación de Amigos del Arte (Towarzystwo Przyjaciół Sztuki) w Buenos Aires (1928) zajmowałem się już tematem, który w tym esejie chciałbym szerzej rozwinąć. Pragnę tu zebrać i uzupełnić to, co zostało już powiedziane, tak by powstała z tego pewna organiczna doktryna obejmująca całość najważniejszych dla naszych czasów zjawisk.

zewnątrzną jest zdziwienie widoczne w oczach. Dlatego też dla starożytnych symbolem Minerwy była sowa, ptak, którego oczy są zawsze szeroko otwarte, jak gdyby w niemym zdziwieniu.

Aglomeracja, przepełnienie - były to zjawiska, które niegdyś należały do rzadkości. Dlaczego obecnie stały się tak częste?

Obecne tłumy nie wyłoniły się z nicości. W okresie ostatnich około piętnastu lat liczba ludności nie uległa jakimś większym zmianom. Wydaje się rzeczą naturalną, że po zakończeniu wojny liczba ta nawet nieco zmalała. I tak dochodzimy tu do pierwszego ważnego stwierdzenia. Osoby składające się obecnie na owe tłumy istniały również wcześniej, ale nie jako tłum. Rozproszone po świecie, samotne bądź w małych grupkach, wiodły żywot oddzielny, niezależny, jak gdyby w pewnej odległości od innych. Każda taka osoba czy grupka zajmowały własne miejsce bądź to na wsi, bądź w miasteczku, bądź w dzielnicy dużego miasta.

Teraz nagle przybrały kształt aglomeracji i gdziekolwiek spojrzymy, mamy przed oczami tłumy. Gdziekolwiek? Ależ nie; dokładniej rzecz biorąc w miejscach najlepszych, będących stosunkowo wyrafinowanym tworem kultury ludzkiej, które uprzednio zarezerwowane były dla mniejszej liczby ludzi, dla mniejszości.

Tłum stał się nagle widoczny, zajął w społeczeństwie miejsce uprzywilejowane. Przedtem, jeżeli nawet istniał, to pozostawał nie zauważony, był gdzieś w tle społecznej sceny; teraz wysunął się na sam środek, stał się główną postacią sztuki. Nie ma już bohaterów, jest tylko chór.

Pojęcie tłumy ma charakter ilościowy i wizualny. Przetłumaczymy je, nic w nim nie zmieniając, na język socjologii. Okaze się, że mamy do czynienia z ideą mas społecznych. Społeczeństwo jest zawsze dynamicznym połączeniem dwu czynników: mniejszości i mas. Na mniejszość składają się osoby lub grupy osób charakteryzujące się pewnymi szczególnymi cechami. Natomiast masa to zbiór osób nie wyróżniających się niczym szczególnym. Tak więc pod słowem „masy” nie należy rozumieć wyłącznie czy przede wszystkim „mas robotniczych”. Masy to „ludzie przeciętni”. W ten sposób to, co było jedynie ilością, tłum, nabiera znaczenia jakościowego; staje się wspólną jakością, społeczną nijakością. Masy to zbiór ludzi nie wyróżniających się niczym od innych, będących jedynie powtórzeniem typu biologicznego. Co udało nam się uzyskać dzięki owemu przejściu od ilości do jakości? To bardzo proste: dzięki przejściu do drugiego zrozumieliśmy pochodzenie pierwszego. Jest rzeczą oczywistą, wręcz banalną, że jeżeli tłum tworzy się w normalny sposób, to u ludzi stanowiących go pojawiają się zbieżne dążenia, idee czy podobny styl życia. Mówi się często, że to samo dzieje się nieuchronnie z każdą grupą społeczną niezależnie od tego, jak elitarną chciałaby być. I rzeczywiście; ale jest jedna zasadnicza różnica.

W grupach, które nie są tłumem czy masą, rzeczywiste podobieństwo ich członków wynika z jakichś wspólnych dążeń, wyznawania jakiejś wspólnej idei czy poszukiwania podobnego ideału, które to cele same w sobie przyciągają dużą liczbę ludzi. Dla powstania jakiegokolwiek mniejszości konieczne jest, by uprzednio każdy z jej członków wystąpił z tłumy, kierując się jakąś specjalną, stosunkowo indywidualną, racją. A zatem jego podobieństwo do innych członków mniejszości jest wtórne, jest faktem zaistniałym już po wyodrębnieniu się jednostek z tłumy, przez to samo zaś jest w dużej mierze podobieństwem w niepodobieństwie. Bywa, że cechą wyróżniającą członków danej grupy jest ich konflikt ze społeczeństwem; istnieją w Anglii grupy ludzi, którzy sami siebie nazywają „nonkonformistami”, co znaczy, że łączy ich jedynie to, że nie zgadzają się z tłumem. Owo dążenie do łączenia się w mniejszość po to właśnie, by przeciwstawić się większości, jest charakterystyczne dla procesu powstawania każdej mniejszości. Mallarme, mówiąc o niewielkiej grupce ludzi, którzy przyszli posłuchać koncertu wybitnego, ale trudnego muzyka, powiada, że obecność tej małej liczebnie publiczności podkreśla nieobecność nieskończonej liczniejszego motłochu.

Rzeczywiście, masy można zdefiniować jako zjawisko psychologiczne; nie musi to być koniecznie tłum złożony z indywidualnych jednostek. Możemy łatwo stwierdzić, czy dana osoba należy do masy czy nie. Masę stanowią ci wszyscy, którzy nie przypisują sobie jakichś szczególnych wartości - w dobrym tego słowa znaczeniu czy w złym - lecz czują się „tacy sami jak wszyscy” i wcale nad tym nie boją, przeciwnie, znajdują zadowolenie w tym, że są tacy sami jak inni. Wyobraźmy sobie teraz człowieka skromnego, który próbując dokonać oceny własnej wartości, zadaje sobie pytanie, czy posiada jakieś szczególne zdolności, czy wybija się w jakiegokolwiek dziedzinie życia, po czym ostatecznie dochodzi do wniosku, że niestety żadnych szczególnych zdolności czy zalet nie posiada. Człowiek ten czuje się szary, bezbarwny i skrzywdzony przez los, ale nie czuje się „masą”.

Kiedy się mówi o „wybranych mniejszościach”, często zniekształca się znaczenie tego określenia nie dostrzegając tego, że człowiek wybrany to nie ktoś butny i bezczelny uważający się za lepszego od innych, lecz ten, który wymaga od siebie więcej niż inni, nawet jeśli nie udaje mu się samemu tych wymagań zaspokoić. Nie ulega wątpliwości, że to właśnie jest najbardziej podstawowym kryterium podziału ludzkości na dwa typy osobników: tych, którzy stawiają sobie duże wymagania, przyjmując na siebie obowiązki i narażając się na niebezpieczeństwa i tych, którzy nie stawiają sobie samym żadnych specjalnych wymagań, dla których żyć, to pozostawać takim, jakim się jest, bez podejmowania jakiegokolwiek wysiłku w celu samodoskonalenia, to płynąć przez życie jak boja poddająca się biernie zmiennym prądom morskim.

Przypomniało mi to, że na ortodoksyjny buddyzm składają się dwie zasadniczo różne religie: jedna bardziej wymagająca i trudna oraz druga bardziej swobodna i łatwa: Mahayana - „wielki pojazd” czy „wielki wóz” - i Hinayana - „mały wóz”, „mniejsza ścieżka”. Istotne jest to, z którym „wozem” zwiążemy własne życie, maksymalnych czy też minimalnych wymagań.

Podział społeczeństwa na masę i wybrane mniejszości nie jest zatem podziałem na klasy społeczne, lecz na klasy ludzi i nie można go łączyć z podziałem na klasy wyższe i niższe. Oczywiście, istnieje prawdopodobieństwo, że w klasach wyższych, w okresie kiedy status ten osiągają i kiedy rzeczywiście nań zasługują, napotykamy więcej osób, które związały swoje życie z „wielkim wozem”, podczas gdy klasy niższe składają się zazwyczaj z osobników pozbawionych jakichś szczególnych wartości. Jednakże, dokładnie rzecz biorąc, w łonie każdej klasy społecznej istnieje masa i autentyczna mniejszość.

Jak to wkrótce zobaczymy, cechą charakterystyczną naszych czasów jest panowanie masy, tłumu, nawet w grupach o elitarnych dotychczas tradycjach. Tak więc także w dziedzinie życia intelektualnego, które z samej swej istoty wymaga określonych kwalifikacji, daje się zauważyć stały wzrost znaczenia pseudointelektualistów, niedouczonej, nie będących w stanie osiągnąć należytych kwalifikacji i którzy z natury rzeczy powinni być w tej dziedzinie zdyskwalifikowani. To samo można powiedzieć o wielu potomkach „arystokracji”, zarówno w linii męskiej jak i żeńskiej. Z drugiej strony nie jest obecnie wcale rzadkością natrafienie wśród robotników, którzy niegdyś służyli jako typowy przykład tego, co nazywamy „masą”, na jednostki o umysłach w najwyższym stopniu uporządkowanych i zdyscyplinowanych.

Otóż, istnieje w społeczeństwie olbrzymia różnorodność czynności, zajęć i funkcji, które z natury rzeczy mają szczególny charakter i, co za tym idzie, nie mogą być należycie wykonywane przez ludzi pozbawionych pewnych specjalnych uzdolnień. Przykładem mogą tu być pewnego typu przyjemności artystyczne o elitarnym charakterze albo też sprawowanie funkcji w rządzie wygłaszanie politycznych ocen na temat spraw życia publicznego. Niegdyś te szczególnego rodzaju czynności wykonywane były przez mniejszość o odpowiednich kwalifikacjach lub przynajmniej przez mniejszości, które przypisywały sobie posiadanie tych kwalifikacji. Masy nie starały się ingerować w te zagadnienia; były bowiem świadome tego, że chcąc wziąć w nich udział, musiałyby, zgodnie z naturą rzeczy, zdobyć owe szczególne zdolności, a tym samym przestałyby być masą. Znały swą rolę i miejsce w zdrowej dynamice społecznej.

Wracając teraz do zjawisk i faktów, o których mowa była na początku, możemy stwierdzić, iż są one niewątpliwie zwiastunami zmian zachodzących w postawach mas. Wskazują na to, że masy zdecydowały się wysunąć w społeczeństwie na pierwszy plan, zakupując lokale, korzystając z urządzeń i zaznając przyjemności, które dotąd zarezerwowane były dla bardzo nielicznych. Jest rzeczą oczywistą, że, na przykład, wspomniane wyżej pomieszczenia, ze względu na ograniczoną przestrzeń, nie były planowane z myślą o tłumie, który obecnie się przez nie przelewa, unaoczniając nam dobitnie i namacalnie powstanie nowego zjawiska: masy, która nie przestając być masą, zajmuje miejsce mniejszości.

Nikt chyba nie będzie ubolewał nad tym, że większa liczba ludzi czerpie obecnie więcej przyjemności z życia niż kiedyś, tym bardziej, jeśli mają po temu chęci i środki. Zło tkwi w tym, że owa podjęta przez masy decyzja o przyswojeniu sobie właściwego mniejszościom sposobu życia nie ogranicza się i nie może się ograniczać jedynie do dziedziny przyjemności, lecz staje się ogólną cechą naszych czasów. Dlatego też - uprzedzając to, o czym będzie mowa dalej - uważam, iż zmiany polityczne ostatnich lat zwiastują nie co innego, jak polityczną dyktaturę mas. Stara demokracja utrzymywała się przy życiu dzięki liberalizmowi i entuzjastycznej wierze w moc prawa. Jednostka, posłuszna tym zasadom, musiała narzucić samej sobie, a następnie utrzymać, pewną dyscyplinę. Mniejszości mogły żyć i działać pod osłoną zasad liberalizmu i przy przestrzeganiu zasad praworządności. Demokracja i prawo - współzycie zgodne z normami praworządności, to były synonimy. Obecnie jesteśmy świadkami triumfu hiperdemokracji, w ramach której masy działają bezpośrednio, nie zważając na normy prawne, za pomocą nacisku fizycznego i materialnego, narzucając wszystkim swoje aspiracje i upodobania. Fałszem jest interpretowanie nowej sytuacji jako takiej, w której masy, zmęczone polityką, składają jej prowadzenie w ręce ludzi o szczególnych w tym kierunku uzdolnieniach. Wręcz odwrotnie. Tak było przedtem, była to demokracja liberalna. Masy zakładały mniej lub bardziej chętnie, że mniejszość dzierżąca władzę polityczną, mimo wszystkich swych wad i słabości, zna się jednak nieco lepiej na sprawach publicznych. Dzisiaj natomiast masy są przekonane o tym, że mają prawo nadawać moc prawną i narzucać innym swoje, zrodzone w kawiarniach, racje. Wątpię, czy udałoby się znaleźć w dziejach jakiś inny okres, w którym tłum sprawowałby władzę w sposób tak bezpośredni jak w naszych czasach. Dlatego też występujące obecnie zjawisko nazywam hiperdemokracją. To samo ma miejsce w innych dziedzinach życia, a szczególnie w sferze intelektualnej. Być może myślę się, ale wydaje mi się, że obecnie pisarz, kiedy bierze do ręki pióro, by napisać coś na znany mu gruntownie temat, powinien pamiętać o tym, że przeciętny czytelnik, dotąd tym problemem nie zainteresowany, nie będzie czytał dla poszerzenia własnej wiedzy, lecz odwrotnie - po to, by wydać na autora wyrok skazujący, jeśli treść jego dzieła nie będzie zbieżna z banalną przeciętnością umysłu owego czytelnika. Jeśli składające się na masę jednostki uważają się za szczególnie uzdolnione, to mamy wówczas do czynienia tylko z błędem jednostkowym, nie z socjologicznym przewrotem. *Dla chwili obecnej charakterystyczne jest to, że umysły przeciętne i banalne, wiedząc o swej przeciętności i banalności, mają*

czelność domagać się prawa do bycia przeciętnymi i banalnymi i do narzucania tych cech wszystkim innym. W Ameryce Północnej powiada się: być innym to być nieprzyzwoitym. Masa miążdzy na swojej drodze wszystko to, co jest inne, indywidualne, szczególne i wybrane. Kto nie jest taki sam jak wszyscy, kto nie myśli tak samo jak wszyscy, naraża się na ryzyko eliminacji. Oczywiście, „wszyscy” to wcale nie „wszyscy”. Normalnie rzecz biorąc „wszyscy” to całość, na którą składają się masy i wyróżniające się pewnymi szczególnymi cechami mniejszości. Obecnie wszyscy to tylko masa.

Taka właśnie jest straszliwa prawda o naszych czasach, przedstawiona brutalnie i bez osłonek.

II

Podniesienie się poziomu dziejów

Taka właśnie jest straszliwa prawda o naszych czasach, przedstawiona brutalnie i bez osłonek. Co więcej, jest to zupełnie nowe zjawisko w dziejach naszej cywilizacji. Nigdy, przez całe wieki jej rozwoju, nic podobnego nie miało miejsca. Szukając odniesienia do zjawisk podobnych, musimy wyskoczyć z rani własnych dziejów i zanurzyć się w zupełnie innym świecie, w innym żywiole; musimy przeniknąć do świata starożytnego, do czasów, gdy zbliżał się już jego upadek. Historia imperium rzymskiego jest także historią powstawania mas dochodzących stopniowo do władzy, które unicestwiają bądź pochłaniają rządzące mniejszości i zajmują ich miejsce. W owych czasach można także zauważyć zjawisko aglomeracji, przepelnienia. Dlatego też trzeba było wówczas, podobnie jak dzisiaj - jak to słusznie zauważył Spengler - wznosić budowle o olbrzymich rozmiarach. Epoka mas to epoka kolosów.²

Żyjemy w okresie brutalnej i bezwzględnej władzy mas. Doskonale; już dwa razy nazwaliśmy tę władzę „brutalną”, tym samym spłaciliśmy daninę należną bogom pospolitości; teraz możemy już, z ważnym biletem w rękę, zagłębić się ochoczo w temacie, przyjrzeć się widowisku od wewnątrz. Czy może myśleli państwo, że zadowolę się tym krótkim opisem, być może dokładnym, ale zewnętrznym, dającym jedynie powierzchowny obraz problemu? Nie - bo dopiero kiedy się weń zagłębimy, patrząc na całą sprawę z perspektywy przeszłości, to ukaże się naszym oczom cały przerażający ogrom tego potężnego zjawiska. Gdybym się tym zadowolili i tym samym zakończył niniejszy esej, to czytelnik mógłby pomyśleć (i byłby w pełni usprawiedliwiony), że owo cudowne wprost wypłynięcie mas na powierzchnię dziejów sprowokowało mnie jedynie do wygłoszenia kilku pejoratywnych, pogardliwych słów odzwierciedlających po części pogardę, a po części wstręt; jestem przecież znany jako gorliwy zwolennik radykalnie arystokratycznej interpretacji dziejów.³ Dlatego radykalnie, że nigdy nie powiedziałem, iż społeczeństwo ludzkie powinno być arystokratyczne. Powiedziałem znacznie więcej, i dalej w to wierzę, a każdy dzień utwierdza mnie coraz mocniej w tym mianowicie przekonaniu, że społeczeństwo ludzkie jest zawsze arystokratyczne, czy tego chce, czy nie, dzieje się tak z samej jego istoty. Jak długo jest arystokratyczne, jest społeczeństwem, a im mniej jest arystokratyczne, tym mniej jest społeczeństwem. Mówię tu oczywiście o społeczeństwie, a nie o państwie. Nikt nie powinien uważać, że arystokratyczne zachowanie polega na przybraniu, wobec groźnie wrzającej gniewem masy, kapryśno-zmanierowanej miny dworaka z Wersalu. Wersal - mam tu na myśli Wersal min i kaprysów - to nie jest arystokracja, a nawet wręcz przeciwnie: to śmierć i gnicie wspaniałej niegdyś arystokracji. Dlatego też jedyne, co u tych stworzeń zostało z arystokracji, to dostojny gest, z jakim przyjmowali spadającą na ich szyję gilotynę; godzili się na nią, jak wrzód godzi się na cięcie skalpela. Nie, ten kto rzeczywiście poczuwa się do prawdziwie głębokiej misji, jaką ma do spełnienia każda arystokracja, na widok masy rozpala się płomieniem działania podobnym temu, który pochłania duszę rzeźbiarza na widok dziewiczej bryły marmuru. Arystokracja społeczna nie przypomina w niczym owej niewielkiej grupki ludzi, która rości sobie wyłączne prawo do bycia społeczeństwem, która sama siebie nazywa „towarzystwem”⁴ i której życie polega na wzajemnym zapraszaniu się lub nie. Skoro wszystko na tym świecie ma swoją rację bytu i swoją misję do spełnienia, mają je również owe malutkie „światy elegancji”, ale jest to misja podrzędna i zupełnie nieporównywalna do herculesowych wprost zadań, jakie stoją przed autentycznymi arystokracjami. Nie miałbym nic przeciwko przedstawieniu państwu sensu istnienia owego eleganckiego świata, na pierwszy rzut oka tak bezsensownego, ale zajmujemy się teraz innym, bez porównania poważniejszym tematem. Zresztą, owo „lepsze towarzystwo” poddaje się także wpływom naszych czasów. Dużo dała mi do

² Tragiczne w tym procesie jest to, że jednocześnie z powstawaniem aglomeracji zaczynała wyludniać się wieś, co w sposób nieunikniony pociągało za sobą spadek liczby mieszkańców imperium.

³ Patrz *Espana invertebrada*, 1921 - to data pierwszej publikacji w formie serii artykułów w dzienniku „El Sol”. Korzystam tu z okazji, by zwrócić uwagę cudzoziemcom piszącym obficie na temat moich prac i mających często trudności ze sprecyzowaniem daty ich pierwszej publikacji, że prawie każda moja praca ukazywała się najpierw pod postacią artykułu bądź serii artykułów prasowych. Często upływało wiele lat, zanim zostawały one zebrane i wydane w formie książkowej (1946).

⁴ Nieprzetłumaczalna gra słów, po hiszpańsku zarówno „społeczeństwo” jak „towarzystwo” to *sociedad* (przyp. Maria Dietl).

myślenia pewna młoda dama, sam wdzięk młodości, gwiazda pierwszej wielkości na firmamencie madryckiego towarzystwa, która mi powiedziała niedawno, że: „Nie noszę balów, na które zaproszonych jest mniej niż osiemset osób”. Dzięki temu zdaniu pojąłem, że styl bycia mas odnosi dziś triumfy we wszystkich dziedzinach życia, przenikając nawet do tych ostatnich zakątków, które wydawały się zarezerwowane dla *the happy few*.

Tak więc obca mi jest zarówno wszelka interpretacja naszych czasów, która by nie dostrzegala pozytywnych cech tkwiących gdzieś w głębi zjawiska dominacji mas, jak również obcy mi są ci, którzy się na nią radośnie godzą i w których nie budzi ona dreszczu grozy. Każde przeznaczenie jest dramatyczne i tragiczne w swym ostatecznym wymiarze. Kto nigdy nie wyczuwał pod swymi palcami pulsującego niebezpieczeństwa naszych czasów, kto nigdy nie sięgnął do samych wnętrzości przeznaczenia, ten może powiedzieć, że głąskał się jedynie po własnym zółkłym policzku. Straszliwym, przerażającym składnikiem naszego przeznaczenia jest gwałtowny, miażdżący wszystko, moralny bunt mas, wspaniały, nieokiełznany i dwuznaczny jak wszelkie przeznaczenie. Dokąd nas zaprowadzi? Czy jest absolutnym złem, czy też może obrócić się na dobre? Oto jest, olbrzymi i potężny, rozparty w naszych czasach jak mityczny gigant, kosmiczny znak zapytania, o dwuznacznym jak zawsze kształcie, mającym w sobie coś z szubienicy i gilotyny, ale także coś, co być może przypominać ma łuk triumfalny!

Zjawisko, którego anatomię chcemy poznać, można ująć w dwu stwierdzeniach: po pierwsze, masy są obecnie w posiadaniu całego wachlarza możliwości życiowych, który jest w dużej mierze zbieżny z tym, co dotąd wydawało się zarezerwowane wyłącznie dla mniejszości; po drugie, masy zhardziały w stosunku do mniejszości; nie są im posłuszne, nie naśladują ich aninie szanują; a raczej wprost przeciwnie, odsuwają je na bok i zajmują ich miejsce.

Przeanalizujmy teraz pierwsze stwierdzenie. Chcę przez nie powiedzieć, że masy korzystają obecnie zarówno z przyjemności, jak i akcesoriów wymyślonych niegdyś przez grupy wybrane i tylko im właściwych, na ich wyłączny użytek. Charakterystyczne dla obecnych mas apetyty i potrzeby uznawano niegdyś za objaw wyrafinowania, ponieważ były własnością niewielu. Oto banalny przykład: w roku 1820 było w Paryżu nie więcej niż dziesięć łazienek w mieszkaniach prywatnych; patrz *Pamiętniki* hrabiny de Boigne. Ale co więcej: masy znają obecnie i używają w sposób dość efektywny wielu technik, które niegdyś znane były jedynie wyspecjalizowanym jednostkom.

Nie chodzi tu jedynie o techniki materialne, ale także o coś ważniejszego, o techniki prawne i społeczne. W wieku XVIII pewne mniejszości dokonały odkrycia, że każdy człowiek, przez sam fakt przyścia na świat i bez potrzeby jakichkolwiek szczególnych kwalifikacji, nabywa pewne podstawowe prawa polityczne, tak zwane prawa człowieka i obywatela, a także, że prawa te, wspólne dla wszystkich, są w ogóle jedynymi rzeczywiście istniejącymi. Wszelkie inne prawa, wynikające ze szczególnych uzdolnień, zostały odrzucone i potępione jako przywileje. Początkowo była to czysta teoria, myśl zrodzona w głowach niewielkiej grupki ludzi; następnie ci nieliczni, owa lepsza mniejszość, zaczęli wcielać ideę w życie, narzucając ją innym i domagając się posłuchu. Jednakże przez cały wiek XIX masy, choć pełne entuzjazmu dla tych idei jako ideału, nie czuły ich w sobie, nie były nimi na tyle przepojone, by dążyć do wcielenia ich w życie inaczej jak w ramach demokratycznego prawodawstwa, dalej tkwiąc w tej samej samoświadomości, co w czasach *ancien regime'u*. „Lud” - bo tak zaczęto wówczas nazywać masy - wiedział już, że sprawuje władzę, ale jeszcze w to nie wierzył. Obecnie ideał ten przekształcił się w rzeczywistość, nie odzwierciedloną w kodeksach prawnych będących przecież schematami leżącymi na zewnątrz życia publicznego, lecz zakorzenioną głęboko w sercu każdej jednostki, niezależnie od tego, jakie są jej poglądy, nawet jeśli są one skrajnie reakcyjne: *to znaczy nawet jeśli dana jednostka swą działalnością burzy i unicestwia instytucje, które owe prawa sankcjonują*. Moim zdaniem, kto nie zrozumie tej dziwnej sytuacji moralnej mas, ten nie będzie w stanie wytłumaczyć sobie żadnego z zachodzących obecnie zjawisk. Pojęcie panowania jednostki pozbawionej jakichkolwiek kwalifikacji, ludzkiej jednostki biologicznej jako takiej, przeszło od stadium ideału prawnego, którym było niegdyś, do stadium stanu psychologicznego kształtującego mentalność przeciętnego człowieka. Proszę teraz zauważyć, że w momencie, kiedy coś, co dotychczas było ideałem, staje się składnikiem rzeczywistości, to od razu, w sposób nieunikniony i nieodwracalny, przestaje być ideałem. Prestiż i magiczny autorytet, owe oddziaływające na człowieka atrybuty ideału, nagle się gdzieś ulatniają. Zrównujące ludzi prawa, owoc szlachetnej inspiracji demokratycznej, przekształciły się z dążeń i ideałów w potrzeby i wymagania, często nawet nie uświadomione.

Otóż, znaczenie tych praw polega na wyrwaniu duszy ludzkiej z wrodzonego jej stanu poddaństwa i uległości oraz na wpojeniu jej pewnego rodzaju świadomości jej pańskości i dostojeństwa. Czyż nie o to chodziło? Czyż nie chodziło o to, by każdy człowiek poczuł się gospodarzem, panem siebie samego i swego życia? W pełni się to udało. Na cóż więc już od trzydziestu lat narzekają liberałowie, demokraci, postępowcy? Czy są oni może jak te dzieci, które chcą jakiejś rzeczy, ale nie chcą jej naturalnych następstw? Pragnęli, by każdy przeciętny człowiek poczuł się panem. No to nie powinni się teraz dziwić, że zachowuje się po pańsku, że żąda dla siebie udziału we wszystkich przyjemnościach, że z pełnym zdecydowaniem narzuca innym swoją wolę, że odrzuca wszelką służalczość, że nikogo się nie słucha, że dba o swoje interesy i swój wolny czas, że przykładą dużą wagę do stroju: są to pewne odwieczne i niezmiennie cechy idące w parze ze świadomością pańskości. Obecnie zaczynają to być cechy człowieka przeciętnego, masy.

Stwierdzamy zatem, że współczesny przeciętny człowiek dysponuje możliwościami życiowymi, które niegdyś zarezerwowane były jedynie dla mniejszości stojących na najwyższych szczeblach hierarchii społecznej. Otóż, ludzie przeciętni to jakby powierzchnia, po której toczą się dzieje każdej epoki; w historii są oni tym, czym w geografii jest poziom morza. Jeśli więc teraz przeciętny poziom znajduje się tam, gdzie uprzednio docierały jedynie arystokracje, to znaczy po prostu, że poziom dziejów nagle się podniósł. Skok ten dokonał się za życia jednego pokolenia, choć poprzedzony był długimi i skomplikowanymi zmianami zachodzącymi w głębinach. Podniósł się poziom życia w ogóle, dotyczy to wszystkich jego dziedzin. Można powiedzieć, że współczesny prosty żołnierz ma wiele z dowódcy; współczesne wojsko składa się już z samych dowódców. Wystarczy zaobserwować energię, zdecydowanie, łatwość, z jaką przeciętny osobnik prze dziś ku życiu, korzysta z nadarzających się przyjemności, narzuca innym swoje decyzje.

Wszystko, co dobre i co złe w terażniejszości i w najbliższej przyszłości, ma swą przyczynę i swe korzenie w owym ogólnym podniesieniu się poziomowi dziejowego.

Dochodzimy teraz do zupełnie niespodziewanego stwierdzenia. To, że przeciętny poziom życia osiągnął obecnie wysokość, do jakiej niegdyś wznieść się mogła jedynie mniejszość, jest w Europie zjawiskiem nowym. Natomiast w Ameryce jest to zjawisko niejako przyrodzone, obecne od samych jej początków. Pragnąłbym być w tym miejscu dobrze zrozumiany, mam tu na myśli świadomość równości prawnej. Ów stan psychiczny, jaki daje poczucie bycia panem siebie i poczucie równości w stosunku do wszystkich innych, który w Europie był domeną grup wybranych, w Ameryce był powszechną rzeczywistością od samego zarania jej dziejów, już od XVIII wieku. I jeszcze jedna ciekawa zbieżność! Od chwili, kiedy w Europie ten stan psychiczny stał się udziałem zwykłych ludzi i podniósł się poziom ich egzystencji, styl życia w Europie we wszystkich dziedzinach nabrał takiego kształtu, że wielu ludzi skłonnych było twierdzić, iż „Europa się amerykanizuje”. Ci, którzy to mówią, nie przydają temu zjawisku większego znaczenia, uważają, że chodzi tu jedynie o powierzchowne zmiany obyczaju, o modę; zdezorientowani objawami zewnętrznymi, przypisują je jakiemś bliżej nie określone wpływowi Ameryki na Europę. Jest to, moim zdaniem, wielkie uproszczenie problemu, który jest znacznie głębszy i bardziej zaskakujący.

Grzeczność i uprzejmość nakazywałyby mi teraz powiedzieć ludziom zza oceanu, że rzeczywiście Europa się amerykanizuje, co związane jest ze wzrastającym oddziaływaniem Ameryki na Europę. Ale nie; prawda popada tu w konflikt z uprzejmością i musi zatriumfować. Europa wcale się nie amerykanizuje. Na razie nie udało się Europie odczuć żadnych poważniejszych wpływów amerykańskich. Być może teraz się to zaczyna; ale na pewno nie dotyczyło najbliższej przeszłości, z której wyrasta nasza terażniejszość. Mamy tu do czynienia z przerażającym wprost nagromadzeniem fałszywych pojęć, które zaciemniają pole widzenia zarówno nam, Europejczykom, jak i Amerykanom. Triumf mas, pociągający za sobą owo wspaniałe podniesienie się poziomu życia, wypływa w Europie z przyczyn wewnętrznych, jest następstwem dwu wieków prowadzonej przez postępowców edukacji mas przy jednoczesnym bogaceniu się społeczeństwa. Ale faktem jest, że rezultaty tych zmian są bardzo podobne do najważniejszych elementów kształtujących życie Ameryki. Sytuacja moralna przeciętnego Europejczyka upodobniła się do sytuacji moralnej Amerykanina i obecnie, po raz pierwszy w dziejach, Europejczyk zaczyna rozumieć życie Ameryki, które przedtem było dla niego zagadkowe i pełne tajemnic. Nie mamy tu więc do czynienia z jakimś wpływem, co byłoby dosyć dziwne, skoro byłby to wpływ wtórny, lecz z czymś, czegośmy się jak dotychczas najmniej spodziewali, to jest ze zrównaniem. Europejczycy zawsze mieli mgliste wrażenie, że poziom życia w Ameryce jest wyższy niż na Starym Kontynencie. To mało analizowane, ale silnie odczuwane przypuszczenie zrodziło ogólnie przyjmowany i nigdy nie podany w wątpliwość pogląd, że Ameryka to przyszłość. Jest rzeczą zrozumiałą, że przekonanie ogólnie akceptowane i silnie zakorzenione w umysłach nie mogło unosić się na wietrze jak orchidee, o których powiada się, że rozwijają się w powietrzu nie zapuszczając korzeni. Podstawą tego poglądu było owo mgliste postrzeżenie wyższego przeciętnego poziomu życia za oceanem, kontrastującego z niższym, w porównaniu z Europą, poziomem życia elitarnych mniejszości. A historia, podobnie jak rolnictwo, rozwija się w dolinach, a nie na szczytach, na poziomie życia przeciętnych ludzi, a nie wybijających się mniejszości.

Żyjemy w okresie zrównywania poziomów: zrównują się majątki, zacierają się różnice poziomu kulturalnego różnych klas społecznych, zrównują się płcie. Zrównują się również kontynenty. Ponieważ dotychczas poziom życia Europejczyka był niższy, na owym zrównywaniu jedynie zyskuje. A więc, z tego punktu widzenia, podnoszenie się mas oznacza wspaniały wzrost możliwości życiowych; czyli coś zupełnie sprzecznego z tym, co mówi się często o dekadencji Europy. Jest to powiedzenie mgliste i w najwyższym stopniu niejasne, bo nie wiadomo dobrze, o czym mowa: czy o państwach europejskich, czy o kulturze europejskiej, czy też o czymś leżącym głębiej i bez porównania ważniejszym, a mianowicie o europejskiej żywotności. O państwach europejskich i europejskiej kulturze będziemy jeszcze mówili w dalszym ciągu tej pracy - i, być może, pogląd o ich dekadencji okaże się słuszny. Jeśli chodzi o żywotność europejską, to należy od razu stwierdzić, że pogląd taki jest z gruntu fałszywy. Być może stwierdzenie to wyda się państwu mniej nieprawdopodobne i bardziej przekonujące, jeśli je wyrażę innymi słowami; chcę więc powiedzieć, iż obecnie przeciętny Włoch, Hiszpan czy Niemiec pod względem żywotności i stylu życia mniej się różni od Północnego

Amerykanka czy Argentyńczyka, niż to miało miejsce jeszcze trzydzieści lat temu. Jest to fakt, o którym Amerykanie powinni pamiętać.

III

Poziom naszych czasów

Panowanie mas jest zatem czymś wybitnie pozytywnym przez wzgląd na podniesienie się całego poziomu dziejów, a ponadto ujawnia, że obecnie życie przeciętnego człowieka osiągnęło poziom wyższy, niż to miało miejsce w przeszłości. Stwierdzając to przyznajemy zarazem, że życie może toczyć się na różnych poziomach i że można mówić o poziomie w odniesieniu do czasów, co ma więcej sensu, niżby się zrazu wydawało.

Dobrze będzie, jeśli się przy tym stwierdzeniu na chwilę zatrzymamy, bo stanowi ono dogodny punkt wyjścia do określenia jednej z najbardziej zadziwiających cech charakterystycznych naszej epoki.

Powiada się na przykład, że to czy tamto nie dorastało do poziomu swego czasu. W istocie nie chodzi tu o chronologiczny czas abstrakcyjny, bo ten zawsze jest taki sam, lecz o czasy życia, o to, co każde pokolenie nazywa „naszymi czasami”; to one charakteryzują się zawsze pewnym poziomem, który dziś może być wyższy niż wczoraj, może być taki sam albo też może się obniżyć. Obraz upadku zawarty w słowie „dekadencja” odzwierciedla tę intuicję. Tak samo każdy z nas dostrzega, z większą lub mniejszą jasnością, związek między swym własnym życiem a ogólnym poziomem czasów, w których żyjemy. Są tacy, którzy w stylu życia naszych czasów czują się rozbitkami nie mogącymi utrzymać się na powierzchni. Tempo, w jakim obecnie świat idzie naprzód, impet, energia, z jaką się dzisiaj wszystko dokonuje, napawają przerażeniem człowieka dawnego pokroju, a przerażenie to jest miarą różnicy między rytmem jego życia a poziomem życia epoki. Z drugiej strony ten, kto żyje pełnią życia i z upodobaniem przyjmuje obecny styl, świadomy jest związków zachodzących między poziomem różnych wcześniejszych epok. Jakie to są związki?

Błędne byłoby założenie, że człowiek danej epoki uznaje zawsze epoki przeszłe - dlatego tylko, że już minęły - za epoki o niższym poziomie niż ta, w której sam żyje. Wystarczy tu przypomnieć choćby zdanie Jorge Manrique'a, że „każda miniona epoka była lepsza”. Ale to także nie jest prawdą. Nie we wszystkich dawnych epokach odczuwano bowiem niższość wobec czasów minionych, ani też nie zawsze panowało powszechne poczucie wyższości w stosunku do przeszłych wieków. Każdą epokę historyczną charakteryzuje inny stosunek do owego dziwnego zjawiska, jakim jest poziom żywotności i zdumiewa mnie, że myśliciele i historycy nie odwoływali się nigdy w swych rozważaniach do tak oczywistego i istotnego faktu.

Nie ulega kwestii, że najbardziej rozpowszechniona była zacytowana wyżej opinia Jorge Manrique'a, w każdym razie traktując sprawę *grosso modo*. W większości epok historycznych nie uważano wcale, by własne czasy były lepsze od czasów dawniejszych. Wręcz przeciwnie, ludzie najczęściej przekonani byli o istnieniu kiedyś, w zamierzczłej przeszłości, jakichś lepszych czasów, życia bogatszego i pełniejszego. Wierzyli w „złoty wiek”, jak byśmy to powiedzieli my, wykształceni przez starożytnych Greków i Rzymian, albo w *Alcheringa*, jak by to określili dzicy mieszkańcy Australii. Znaczy to, iż ludzie ci mieli wrażenie, że rytm ich własnego życia jest jakiś niepełny, słaby, niezdolny całkowicie wypełnić układ krwionośny. Dlatego odczuwali podziw i szacunek dla przeszłości, dla epok „klasycznych”, w których życie było pełniejsze, bogatsze, doskonalsze i trudniejsze niż życie ich własnego czasu. Patrząc w przeszłość i wyobrażając sobie życie w owych wspaniałych epokach, nie mieli wcale poczucia wyższości, wręcz przeciwnie, czuli się niżsi tak samo jak stopień temperatury, gdyby obdarzony był świadomością, czułby się niższy od stopnia wyższego, zdając sobie sprawę z tego, że w tym wyższym zawiera się więcej kalorii niż w nim samym. W imperium rzymskim, mniej więcej w sto pięćdziesiąt lat po narodzeniu Chrystusa, zaczyna stopniowo narastać owo poczucie wyczerpywania się żywotności, osłabienia tętna, chylenia się ku upadkowi. Już Horacy pisał:

*Aetas parentum peior avis tulit
nos nequiores, mox daturos
progeniem vitiosorem.*⁵

Dwa wieki później w całym imperium nie było wystarczającej liczby dostatecznie dzielnych i walecznych Italczyków, by obsadzić wszystkie wakujące stanowiska centurionów i trzeba je było powierzyć najpierw

⁵ „Od dziadów mniejszych ojców przywitał wiek zmarły,
Tylko strzępy w dziedzictwie wzięły ojców dzieci
Po nas zostaną już karły”.
Ody, Księga III, przeł. L.H. Morstin, Warszawa 1967, s. 6.

Dalmatyńczykom, a potem barbarzyńcom znad Dunaju i Renu. W tym samym czasie zmalała płodność kobiet, dzięki czemu Italia stopniowo się wyludniała.

Spójrzmy teraz na innego rodzaju epoki, które pod względem żywotności wydają się być pełnym przeciwieństwem tych, o których mówiliśmy powyżej. Chodzi o nadzwyczaj ciekawe zjawisko i zdefiniowanie go jest dla nas bardzo ważne. Nie dawniej jak około trzydziestu lat temu, [tj. na początku XX wieku] politycy, przemawiając do tłumów, zwykli byli potępiać taki czy inny sposób rządzenia albo takie czy inne zachowanie powiadając, że nie jest ono godne naszych czasów. Ciekawe, że tego samego zwrotu użył Trajan w sławnym liście do Pliniusza, gdzie poleca mu wstrzymanie prześladowania chrześcijan wszczętego na skutek anonimowych donosów, ponieważ: *Nec nostri saeculi est*⁶. Mieliśmy więc w dziejach również epoki, w których panowało poczucie osiągnięcia najwyższego już, ostatecznego poziomu możliwości, czasy, w których ludzie wierzyli, że dotarli już do końca swojej drogi, że ich epoka jest ukoronowaniem odwiecznych wysiłków i ostatecznym spełnieniem nadziei. Jest to „pełnia czasów”, okres pełnej dojrzałości historycznego życia. Tak więc trzydzieści lat temu Europejczycy wierzyli, że życie ludzkie jest już nareszcie takie, jakie być powinno, do jakiego wdychały z utęsknieniem całe pokolenia i jakim powinno już na zawsze pozostać. Czasy pełni odczuwa się zawsze jako rezultat wysiłków wielu poprzednich epok przygotowawczych, epok niepełnych, podrzędniejszych, na których zrębie wyrósł wspaniały owoc naszych czasów. Owe epoki przygotowawcze, oglądane z wyżyn czasów pełni, sprawiają wrażenie epok, w których żyło się w ciągłym znoju i dążeniu do nieosiągalnych celów; wydaje się, że były to czasy niespełnionych nadziei, płomiennych prekursorów, ciągłego „jeszcze nie” i czasy przerażającego kontrastu pomiędzy jasnością i wyrazistością dążeń i nie dorastającą do nich rzeczywistością. Tak właśnie ujmował średniowiecze wiek XIX. W końcu nadchodzi dzień, w którym owe odwieczne, często tysiącletnie dążenia zaczynają nabierać realnych kształtów, stają się rzeczywistością. Wspięliśmy się na najwyższy poziom, doszliśmy do dawno wytkniętego celu, osiągnęliśmy nareszcie szczyt! Po „jeszcze nie” nastąpiło „nareszcie”.

Tak widzieli swoje życie nasi ojcowie i całe ich stulecie. Pamiętajmy o tym, że nasze czasy nastąpiły po czasach pełni. Stąd też ci, którzy ciągle jeszcze żyją po tamtej stronie, w czasach pełni, patrząc na świat ze swego punktu widzenia, odnoszą w sposób nieunikniony wrażenie, że obecne czasy są epoką schyłku, dekadencji.

Ale stary historyczny wyjadacz, trzymający rękę na pulsie czasów, nie da się zmylić żadnymi domniemanymi „pełniami”.

Jak już mówiłem, istotnym warunkiem osiągnięcia „czasów pełni” jest to, by jakieś pradawne dążenie, od wieków wytrwale drążące ludzkość, zostało w końcu zaspokojone. Owe czasy pełni to czasy sytości i samozadowolenia; a nawet, jak to było w wieku XIX, arcysamozadowolenia⁷. Ale teraz wiemy już, że owe wieki, tak z siebie zadowolone, tak udane, są w gruncie rzeczy martwe. *Autentyczna pełnia życia to nie pełne sytości zadowolenie, sukces, poczucie osiągnięcia szczytu*. Już Cervantes powiedział, że „droga zawsze jest lepsza od zajazdu”. Czasy, w których spełniły się ludzkie dążenia, w których ideały przybrały realny kształt, to czasy, w których się do niczego nie dąży, w których wyschły źródła pożądań. Innymi słowy, cała ta pełnia to w rzeczywistości koniec. Bywają epoki, które nie umieją odrodzić czy ożywić swych dążeń, umierają z sytości i zadowolenia, tak jak umiera szczęśliwy truteń po weselnym locie.⁸

Stąd też wynika owo zadziwiające zjawisko, że w najgłębszych pokładach epok domniemanej pełni tkwi zawsze jakiś dziwny smutek.

Pragnienie od dawna oczekujące na spełnienie, które w wieku XIX wydawało się bliskie realizacji, samo siebie określa krótko mianem „kultury nowoczesnej”. Już sama ta nazwa wzbudza niepokój: co to znaczy, że epoka sama siebie określa jako „nowoczesną”, a więc ostateczną, skończoną, wobec której wszystkie inne okresy dziejów to po prostu czas przeszły, skromne i nieśmiałe przygotowania do osiągnięcia pełni! To nie trafiające w cel, zbłąkane strzały!⁹

Czyż nie wyczuwa się tutaj istotnej różnicy pomiędzy naszymi czasami a dopiero co minioną epoką? Naszych czasów nie charakteryzuje już poczucie własnej skończonej doskonałości; wręcz przeciwnie, u samych ich korzeni pojawia się niejasne przeświadczenie, że czasy ostateczne, skończone, skamieniałe na wieki w ogóle nie istnieją. Przekonanie zatem, iż pewne czasy - czasy owej „nowoczesnej kultury” - są czymś skończonym i ostatecznym, wydaje nam się dowodem ślepoty i niebywalej wprost ciasnoty horyzontów. Zrozumiawszy to,

⁶ Odbiega od naszych czasów (przyp. Maria Dietl).

⁷ Na monetach z czasów cesarza Hadriana odczytać można takie inskrypcje: *Italia Felix, Saeculum aureum, Tellus stabilita, Temporum felicitas*. Oprócz wspaniałej dokumentacji numizmatycznej Cohena, patrz także Rostovtzeff; *The Social and Economic History of the Roman Empire* (1926), tablica LII i 588, nota nr 6.

⁸ Należy koniecznie przeczytać wspaniałą wypowiedź Hegla na temat czasów sytości i zadowolenia, zawartą we *Wstępie* do jego *Wykładów z filozofii dziejów* (Warszawa 1958, 1.1).

⁹ Pierwotne znaczenie słów „nowoczesny”, „nowoczesność”, które służą określaniu naszej epoki, wskazuje ostro i wyraźnie na obecność poczucia „wysokiego poziomu czasów”, które staram się tutaj przeanalizować. Nowoczesne (*moderno*) to to, co zgodne ze stanem (*modo*); oczywiście, w znaczeniu nowego stylu - nowatorstwa, mody - który w *określonej* teraźniejszości wypłynął ponad dawne, tradycyjne style. A zatem słowo „nowoczesny” wyraża zarówno świadomość istnienia nowego, lepszego niż dawniej życia, jak i imperatyw dorastania do poziomu czasów. Dla człowieka „nowoczesnego” - niebycie „nowoczesnym” jest równoznaczne z zapadnięciem się pod powierzchnię poziomu dziejowego.

doznajemy zarazem rozkosznego uczucia, że udało nam się wydostać ze ślepego zaułka, że wyrwaliśmy się znowu na otwartą przestrzeń pod rozgwieżdżone niebo autentycznego świata, głębokiego, strasznego, pełnego tajemnic, nieodgadnionego i niewyczerpanego, gdzie wszystko jest możliwe - i dobro, i zło.

Wiara w kulturę nowoczesną była wiarą smutną; była przekonaniem, że jutro będzie w istocie rzeczy takie samo jak dziś, że postęp polega na wiecznym posuwaniu się wzdłuż drogi identycznej z tą, którą przebyliśmy wczoraj. Droga taka to raczej wydłużające się w nieskończoność więzienie, z którego nie ma ucieczki.

Kiedy w początkach cesarstwa przyjeżdżał do Rzymu jakiś subtelny i delikatny prowincjusz - na przykład Lukan czy Seneka - to widok majestatycznych budowli cesarskich, owych symboli władzy najwyższej, zatykał mu na pewno dech w piersiach. Na tym świecie nie można już było oczekiwać niczego nowego. Rzym był wieczny. Jeśli istnieje pewna melancholia ruin, która się nad nimi unosi jak opary nad martwymi wodami, to widok Rzymu musiał budzić u wrażliwego prowincjusza uczucie podobne, choć o przeciwnym znaku, jakim jest melancholia wiecznych budowli.

Czyż nie jest rzeczą oczywistą, że w porównaniu z tamtym stanem emocjonalnym stan uczuć naszej epoki przypomina bardziej niefrasobliwą wesołość dzieci wybiegających ze szkoły po skończonych lekcjach? Teraz nie wiemy już, co się jutro stanie ze światem, i w głębi duszy nas to cieszy, bo ta nieodgadnioność, ów otwarty na wszystko horyzont stanowi o życiu autentycznym, o prawdziwej pełni życia.

Wyraźnie sprzeczne z tą diagnozą, którą oczywiście można by szerzej uzasadnić, jest narzekanie na dekadencję, ów płaczący lament zapełniający stronicę tyłu współczesnych dzieł. Jest to złudzenie optyczne, które wynika z wielu przyczyn. Omówimy je w innym miejscu; na razie chciałbym wskazać na tę najbardziej oczywistą. Wynika ona z tego, że wierni pewnej ideologii, moim zdaniem mocno już przestarzałej, widzimy w dziejach jedynie politykę czy kulturę, nie dostrzegając, że to tylko powierzchnia dziejów; że rzeczywistość historyczna to przede wszystkim czysta chęć życia, podobna do siły kosmicznej, nie ta sama, oczywiście, ale zbliżona do tej, która porusza morza, zapładnia zwierzęta, obsypuje drzewa kwiatami, powoduje migotanie gwiazd.

Diagnozom o dekadencji proponuję przeciwstawić następujące rozumowanie.

Dekadencja, czyli upadek, to niewątpliwie pojęcie komparatystyczne. Upada się z wyższego poziomu na niższy. Otóż tego typu porównań można dokonywać, patrząc na rzeczy z bardzo wielu najróżniejszych punktów widzenia. Dla fabrykanta produkującego bursztynowe fifki świat chyli się do upadku, bo dzisiaj nikt już prawie nie pali papierosów, pociągając dym przez bursztynową fifkę. Inne sposoby widzenia mogą być poważniejsze, co nie zmienia jednak faktu, że będą stronnicze, arbitralne i zewnętrzne w stosunku do samego życia, którego wartość staramy się właśnie ocenić. Jest tylko jeden naturalny i w pełni usprawiedliwiony punkt widzenia; by go osiągnąć, należy samemu umieścić się w nurcie życia i obserwować je od wewnątrz, starając się stwierdzić, czy ono samo odczuwa stan upadku, czyli jest słabe, mdłe i bezsilne.

No dobrze, załóżmy, że już patrzymy na życie od środka; jak mamy teraz poznać, czy czuje się ono w stanie dekadencji czy nie? Nie ulega dla mnie wątpliwości, że istnieje tutaj jeden decydujący symptom, a mianowicie: jeśli w życiu danego okresu nie widać preferencji dla żadnych poprzednich epok ze względu na zadowolenie z własnej, to w takim wypadku nie można w żadnym razie mówić o dekadencji. Do tego zmierzają całe moje rozważania na temat poziomu czasów. Bo właśnie w naszych czasach mamy do czynienia z nowym, zdumiewającym zjawiskiem, które, o ile mi wiadomo, jest w dotychczasowych dziejach czymś zupełnie wyjątkowym.

Podczas rozmów prowadzonych w salonach XIX wieku przez damy z wielbiącymi je poetami padało nieodmierzone pytanie: W jakiej epoce chciałaby Pani (Pan) żyć?. I tu każdy z obecnych, biorąc na barki ciężar własnego życia, próbował krążyć wyobraźnią po drogach historii w poszukiwaniu epoki najbardziej dla niego odpowiedniej. A więc w wieku XIX mimo poczucia, że żyje się pełnią życia, lub właśnie ze względu na nie, nie zrywano związku z przeszłością, z której to pokolenie wyrosło, widząc siebie po prostu jako jej punkt szczytowy. Stąd też podziwiano jeszcze epoki względnie klasyczne - czasy Peryklesa, odrodzenie - w których kształtowały się ogólnie uznawane wartości. To już wystarczy, by obudzić w nas podejrzliwość wobec owych czasów pełni życia, zapatrzonych w przeszłość, stanowiących jakoby jej ukoronowanie.

No dobrze; a jaka byłaby szczerza odpowiedź na podobne pytanie jakiegokolwiek reprezentanta naszych czasów? Moim zdaniem, nie ulega wątpliwości, że każda, bez wyjątku, epoka historyczna wydałaby mu się zbyt ciasna, by mógł w niej oddychać. Znaczy to, iż człowiek współczesny ma poczucie, że jego życie jest bardziej życiem niż jakiegokolwiek inne, dawniejsze, albo też, mówiąc inaczej, że ramy dawnego życia są już dla niego za ciasne. Takie odczucie istoty naszego życia przekreśla z punktu wszelkie, choćby najbardziej ostrożne i nieśmiałe, wywody na temat dekadencji. Przede wszystkim więc wydaje nam się, że nasze życie osiągnęło większy wymiar niż wszystkie inne. A zatem jak mogłoby ono mieć poczucie dekadencji. Sytuacja jest wręcz odwrotna; przez to, że czuje się bardziej życiem niż inne, straciło cały należny przeszłości szacunek. Dlatego też po raz pierwszy w dziejach mamy do czynienia z epoką, która czyni *tabula rasa* z wszelkiego klasycyzmu, która nie dostrzega w przeszłości żadnych odpowiednich dla siebie wzorów czy norm, która, pomimo iż nastąpiła po tylu wiekach stopniowej ewolucji, sprawia wrażenie fazy początkowej, jutrzeńki rodzącego się dnia, okresu

niemowlęstwa. Spoglądamy za siebie i sławny renesans wydaje nam się epoką wąskich horyzontów, prowincjonalizmu i żalonych gestów - w końcu, czemuż by nie użyć tego słowa? - epoką w *złym guście*.

Już wiele lat temu podsumowałem tę sytuację następującymi słowy: „Ten poważny rozdźwięk pomiędzy przeszłością a teraźniejszością jest w naszej epoce zjawiskiem powszechnym, należy zatem przypuszczać, że stąd też bierze swój początek charakterystyczny dla naszych czasów zamęt i ogólna dezorientacja. Czujemy, iż nagle my, ludzie teraźniejsi, zostaliśmy sami na ziemi, że zmarli nie umarli na niby, ale naprawdę, i że już nie mogą nam pomóc. Wyparowały już resztki ducha tradycji. Dawne modele, normy, wzory nie mają już zastosowania. Musimy teraz rozwiązywać swoje problemy bez aktywnego udziału przeszłości, sposobami w pełni teraźniejszymi - czy to w dziedzinie sztuki, nauki czy polityki. Europejczycy zostali sami, bez umarłych u swego boku, podobnie jak Piotr Schlemihl, utracili swój cień. Zawsze się tak dzieje, kiedy nadchodzi południe”.¹⁰ Jaki jest więc w końcu ten poziom naszych czasów? Nie są to czasy pełni, a jednak epoka nasza czuje się wyższa ponad wszystkie inne, włącznie z owymi znanymi dotychczas czasami pełni. Określenie odczucia, jakie ma nasza epoka wobec samej siebie, nie jest rzeczą łatwą: uważa się za lepszą od pozostałych, a jednocześnie czuje się początkiem czegoś, zarazem nie będąc wcale pewną, czy to nie agonია. Jak więc ją określić? Może tak: lepsza od pozostałych epok, ale gorsza od samej siebie. Pełna sił, a zarazem niepewna swego przeznaczenia. Dumna z potęgi, która ją samą napawa lękiem.

IV Rozrost życia

Panowanie mas, a także zwiastujący je wzrost poziomu, owego poziomu czasów, to symptomy innego, bardziej ogólnego zjawiska, nieomalże groteskowego i nieprawdopodobnego w swej oczywistości. Po prostu świat nagle się rozrósł, a wraz z nim i w nim samo życie. Życie stało się nagle naprawdę „światowe” i chcę przez to powiedzieć, że treścią życia przeciętnego człowieka jest obecnie cały glob; że każda jednostka żyje życiem całego świata. Niewiele ponad rok temu mieszkańcy Sewilli śledzili, za pośrednictwem gazet, godzina po godzinie życie kilku osób zbliżających się do bieguna; to znaczy, że na tle spalonej słońcem Andaluzji dryfowały, znoszone prądami, góry lodowe. Żaden zakątek ziemi nie jest już zamknięty w swym geometrycznym obszarze, jego życie staje się w wielu momentach życiem pozostałych części świata. Przez to, że zgodnie z prawami fizyki rzeczy znajdują się tam, gdzie odczuwa się ich działanie, mamy teraz do czynienia z prawdziwą wszech-obecnością każdego miejsca na ziemi. Owa bliskość tego, co dalekie, owa obecność tego, co nieobecne, spowodowała cudowne wręcz rozszerzenie się horyzontów życia każdego człowieka.

Świat rozrósł się także w czasie. Prehistoria i archeologia odkrywają przed nami zamierzchłe epoki historyczne. Całe cywilizacje i imperia, których jeszcze zupełnie niedawno nie znaliśmy nawet z nazwy, zostały włączone do naszej pamięci jak nowe kontynenty. Dzięki magazynom ilustrowanym i kinu najdalsze zakątki świata znalazły się w polu widzenia przeciętnego człowieka.

Ale ten przestrzenno-czasowy rozrost świata sam w sobie nie miałby żadnego znaczenia. Fizyczna przestrzeń i czas to idealnie ograniczone elementy wszechświata. Dlatego też kult czystej szybkości, który chwilowo opanował naszych współczesnych, jest może bardziej usprawiedliwiony, niżby się to mogło zdawać na pierwszy rzut oka. Szybkość, na którą składa się przestrzeń i czas, nie jest bardziej ograniczona od swoich części składowych; natomiast służy ich zacieraniu. Ograniczoność mogą pokonać jedynie inne granice. Człowiek uważał zawsze za punkt honoru opanowanie przestrzeni kosmicznej i czasu¹¹, co jest zupełnie pozbawione sensu. Nie ma się co dziwić, że sprawia nam dzieciinną przyjemność sama szybkość, dzięki której zabijamy przestrzeń i pokonujemy czas. Unicestwiając przestrzeń i czas, zarazem je ożywiamy. Sprawiamy, że użyczając nam swej żywotności, możemy *przebywać* w większej liczbie miejsc niż kiedyś, możemy się cieszyć większą liczbą przyjazdów i odjazdów, w krótszym czasie życia możemy zużyć więcej czasu kosmicznego.

Jednak w ostatecznym rachunku istotny rozrost świata nie polega na zwiększaniu się jego wymiarów, lecz na tym, że mieści się w nim więcej rzeczy.

Rzecz - w najszerszym tego słowa znaczeniu - jest tym wszystkim, czego można pożądać, co można zniszczyć, co można napotkać, co można kochać i co można nienawidzić: wszystkie te nazwy oznaczają najróżniejszego rodzaju czynności życiowe.

Weźmy na przykład taką czynność jak kupowanie. Wyobraźmy sobie dwu ludzi, jednego żyjącego obecnie, a drugiego w XVIII wieku, założmy, że mają podobny majątek, proporcjonalny do wartości pieniądza w obu epokach i porównajmy teraz wachlarz możliwości kupna otwierający się przed jednym i przed drugim.

¹⁰ J. Ortega y Gasset, *Dehumanizacja sztuki i inne eseje*, przeł. P. Niklewicz, Warszawa 1980, s. 277.

¹¹ Ponieważ człowiek jest śmiertelny - czas jego życia jest ograniczony - odczuwa nieodpartą potrzebę pokonywania odległości i czasu. Dla Boga, którego istnienie jest nieskończone, posiadanie samochodu nie miałoby najmniejszego sensu.

Różnica jest olbrzymia. Możliwości kupna stojące przed dzisiejszym człowiekiem są praktycznie rzecz biorąc nieograniczone. Nie jest łatwo wyobrazić sobie coś, na co mielibyśmy ochotę, a czego nie ma na rynku i odwrotnie: niemożliwością jest ogarnięcie wyobraźnią - a tym bardziej pożądanie - wszystkiego, co jest w sprzedaży. Mówiono mi, że rozporządzając proporcjonalnie takim samym majątkiem człowiek dzisiejszy nie może zakupić więcej rzeczy, niż to mógł zrobić człowiek z XVIII wieku. To nieprawda. Dziś można kupić bez porównania więcej rzeczy, ponieważ dzięki produkcji przemysłowej prawie wszystkie artykuły rynkowe wyraźnie staniały. Zresztą, dla moich rozważań nie jest ważne, czy to zjawisko jest udowodnione czy nie; chodzi o to, że dobrze obrazuje to, co miałem na myśli.

Czynność kupowania polega na zdecydowaniu się na jakiś przedmiot; tym samym najpierw jest wyborem, a ten z kolei zaczyna się od zdania sobie sprawy z oferowanych przez rynek możliwości. Wynika z tego, że życie, w sensie „kupowania”, polega przede wszystkim na przeżyciu możliwości kupna jako takich. Kiedy mówimy o życiu, zapominamy często o sprawie według mnie najbardziej istotnej, a mianowicie o tym, że życie nasze to przede wszystkim świadomość tego, co dla nas jest możliwe. Gdybyśmy zawsze mieli przed sobą tylko jedną możliwość, to nie byłoby sensu tak jej nazywać. Byłaby to raczej czysta konieczność. Podstawowy warunek istnienia tego zdumiewającego zjawiska, które zwie się naszym życiem, polega na tym, iż zawsze napotyka przed sobą różne drogi, a że jest ich wiele, nabierają one cech możliwości, spośród których zdecydować się musimy na jedną.¹² Powiedzieć, że żyjemy, to tyle, co powiedzieć, że należymy do środowiska określonych możliwości. Ten okalający nas obszar nazywamy zazwyczaj „okolicznościami”. Życie to przebywanie w pewnych „okolicznościach”, czyli w świecie.¹³ Takie jest bowiem pierwotne znaczenie pojęcia „świat”. Świat jest zbiorem stojących przed nami możliwości życiowych. Nie jest więc jakimś elementem obcym, stojącym poza naszym życiem, lecz stanowi jego autentyczną ramę. Przedstawia sobą to, czym możemy być, czyli to, co jest naszą możliwością życiową. Ta ostatnia musi się skonkretyzować, aby się urzeczywistnić, albo, innymi słowy, udaje nam się być jedynie drobną cząstką tego, czym moglibyśmy być. Dlatego też świat wydaje się nam tak ogromny, a my w nim tacy malutcy. Świat lub nasze możliwe życie zawsze przerasta nasze przeznaczenie lub nasze życie faktyczne.

Teraz chciałbym jednak przede wszystkim zwrócić państwu uwagę na to, jak rozrosło się życie ludzkie w jego możliwościowym wymiarze. Otóż obejmuje ono obszar możliwości nieporównywalnie większy niż kiedykolwiek przedtem. W dziedzinie intelektu napotykamy obecnie więcej sposobów dochodzenia do istoty zjawisk, więcej problemów, więcej nauk, więcej danych, więcej punktów widzenia. Podczas gdy w życiu pierwotnym zajęcia czy „zawody” policzyć można było na palcach jednej ręki: pasterz, myśliwy, wojownik, czarownik, to w chwili obecnej ich liczba jest bez porównania większa. Podobnie ma się sprawa z rozrywkami - a zjawisko to ma większą wagę, niż mu się zazwyczaj przypisuje - chociaż w tej dziedzinie zestaw możliwości nie jest tak obfity jak w innych. Nie ulega jednak wątpliwości, że przeciętny mieszkaniec miast - a miasta reprezentują współczesny styl życia - ma bez porównania większe możliwości zabawy i rozrywki, niż to miało miejsce jeszcze przed stu laty.

Co więcej, wzrost możliwości życiowych nie ogranicza się do tego, o czym dotychczas była mowa. Wzrosły one również w znaczeniu bardziej bezpośrednim i zagadkowym. Jest rzeczą ogólnie wiadomą, że w dziedzinie wysiłku fizycznego, w sporcie, osiąga się obecnie *wyniki* znacznie lepsze od wyników znanych z przeszłości. Nie wystarczy je podziwiać, odnotowując w pamięci kolejne *rekordy*, należy także zdać sobie sprawę z wpływu, jaki wywierają, utwierdzając nas w przekonaniu, że w naszych czasach organizm ludzki posiada większe zdolności, niż to miało miejsce kiedykolwiek w przeszłości. Podobnie ma się sprawa z nauką. W ciągu zaledwie kilku pięcioleci jej horyzonty kosmiczne rozszerzyły się w sposób wręcz niewiarygodny. Fizyka Einsteina obraca się w przestrzeniach, w porównaniu z którymi dawna fizyka Newtona wydaje się zajmować niewielkie poddasze.¹⁴ Ów ekstensywny rozrost wypływa z intensywnego wzrostu naukowej precyzji. W fizyce Einsteina przywiązuje się dużą wagę do najdrobniejszych nawet różnic, które niegdyś lekceważono i pomijano jako nie mające żadnego znaczenia. W końcu atom, będący wczoraj najdrobniejszą cząstką świata, obecnie rozrósł się do gigantycznych rozmiarów, sam się przekształcając w cały system planetarny. W tych rozważaniach nie chodzi o coś, co można by określić jako doskonalenie się kultury - to mnie na razie nie interesuje - lecz o wzrost subiektywnych możliwości w tej dziedzinie. Nie chodzi o to, że fizyka Einsteina jest dokładniejsza od fizyki Newtona, lecz o to, że człowiek nazwiskiem Einstein był w stanie osiągnąć większą

¹² W najgorszym razie, kiedy świat wydaje się sprowadzony do jednej możliwości, jednej drogi, to i tak są zawsze dwie: ta oraz zejście z tego świata. Ale zejście ze świata jest także częścią świata, tak samo jak drzwi są częścią składową pokoju.

¹³ Piszę o tym także we wstępie do swej pierwszej książki: *Meditaciones del Quijote* (1916). W *Las Atlantidas* nazywam to horyzontem. Patrz także esej *El origen deportivo del Estado*, zawarty w VII tomie *El Espectador*, Madrid 1930.

¹⁴ Świat Newtona był nieskończony; ale ta nieskończoność nie dotyczyła rozmiarów, była jedynie pustym ogólnikiem, abstrakcyjną utopią. Świat Einsteina jest skończony, ale w każdym punkcie pełny i rzeczywisty; jest to zatem świat bogatszy w rzeczy i w rezultacie przestrzennie większy.

precyzję i swobodę intelektualną¹⁵ niż człowiek o nazwisku Newton, tak samo jak współczesny mistrz boksu wymierza silniejsze ciosy niż mistrzowie dawniejsi.

Podobnie jak dzięki filmom i ilustracjom najdalsze zakątki kuli ziemskiej znalazły się w polu widzenia przeciętnego człowieka, tak samo dzięki gazetom i codziennym rozmowom docierają do niego wiadomości o wspaniałych *osiągnięciach* intelektualnych, znajdując swe potwierdzenie w najnowszej aparaturze technicznej, która wabi przechodniów z witryn sklepowych. Wszystko to razem sprawia, iż w umyśle przeciętnego człowieka rodzi się przemożne poczucie wyższości.

Nie chcę przez to powiedzieć, że życie ludzkie jest dzisiaj lepsze niż było dawniej. Nie miałem na myśli jakości dzisiejszego życia, a jedynie jego rozrost, jego ilościowy albo potencjalny rozwój. Chciałem za jego pomocą dokładnie opisać świadomość człowieka współczesnego, siły witalne polegające na poczuciu, iż stoją przed nim olbrzymie, większe niż kiedykolwiek, możliwości, wobec których cała przeszłość sprawia wrażenie karła.

Opis ten był mi potrzebny do tego, by odsunąć na bok myśli o dekadencji, a szczególnie o schyłku Zachodu, tak rozpowszechnione w ostatnim dziesięcioleciu. Przypomnijmy tu przeprowadzone wcześniej rozumowanie, które wydaje mi się równie proste, co oczywiste. Nie można mówić o schyłku, nie precyzując dokładniej, co chyli się ku upadkowi. Czy to pesymistyczne określenie odnosi się do kultury? Czy mamy obecnie do czynienia z upadkiem kultury europejskiej? Czy może raczej chodzi o schyłek europejskich organizacji narodowych? Prawdopodobnie o to właśnie chodzi. Ale czy to wystarczy, by można było mówić o schyłku Zachodu? W pewnym sensie tak. Tego typu dekadencje są upadkami częściowymi, dotyczącymi drugorzędnych elementów dziejowych, takich jak kultura i narody. Jest tylko jedna dekadencja absolutna: ta, która polega na wysychaniu sił żywotnych, a o tym można mówić tylko wtedy, kiedy się to czuje. Dlatego też poświęciłem tu tyle miejsca rozważaniom na temat zjawiska, któremu często nie poświęca się należytej uwagi, a mianowicie: świadomości czy odczucia, które są związane z poziomem życia odmiennym dla każdej epoki.

Skłoniło nas to do omówienia poczucia „pełni” odczuwanego przez pewne epoki, które pozostają w jaskrawym kontraście do odczuć innych epok, poczuwających się do dekadencji, do upadku z wyzyna dawnego, złotego wieku. Zakończyłem te rozważania stwierdzeniem oczywistego faktu, że nasze czasy charakteryzują się dziwnym, przyjętym z góry założeniem o ich wyższości w stosunku do wszelkiej innej epoki, a nawet więcej, że ludzie czują się oderwani od przeszłości, nie rozumieją i nie szanują dawnych epok klasycznych i ich zasad, zapatrzeni we własne życie, nowe i wspanialsze od wszystkich poprzednich.

Wątpię, aby bez dogłębnego zdania sobie sprawy z tego, co powyżej powiedziałem, można było zrozumieć nasze czasy, bo to właśnie jest ich problemem. Gdyby same siebie ujmowały jako okres dekadencji, to miałyby poczucie niższości w stosunku do innych, lepszych epok, a to byłoby równoznaczne z podziwem i szacunkiem dla zasad, które leżały u ich podstaw. Stojące przed naszymi oczami cele i ideały byłyby więc jasne i wyraźne, nawet gdyby brakowało sił i możliwości do ich urzeczywistnienia. Prawdą jednak jest coś przeciwnego: żyjemy w epoce, którą cechuje poczucie olbrzymich możliwości realizacji, ale która nie wie, co ma realizować. Panuje nad wszystkimi rzeczami, ale nie jest panią samej siebie. Czuje się zagubiona w nadmiarze własnych możliwości. Okazuje się, że współczesny świat mimo tego, iż dysponuje większą ilością środków, większą wiedzą, większymi niż kiedykolwiek przedtem możliwościami technicznymi, posuwa się naprzód w sposób najbardziej prymitywny, po prostu bezwolnie dryfując.

Stąd bierze się owa dziwna dwoistość poczucia siły, a zarazem zagubienia, które zagnieżdżyło się w duszy współczesnej. O naszej epoce można powiedzieć to samo, co mawiano o regencie panującym w okresie dzieciństwa Ludwika XV, mianowicie, że ma wszystkie talenty z wyjątkiem talentu posługiwania się nimi. W wieku XIX, owej epoce niezachwianej wiary w postęp, wydawało się, że wiele rzeczy jest *już* niemożliwych. Dziś, kiedy wszystko wydaje się nam możliwe, przeczuwamy, że możliwe może być też to, co najgorsze: cofnięcie się w rozwoju, barbarzyństwo, upadek¹⁶. Sam w sobie nie byłby to jeszcze objaw zły; oznaczałby, że ponownie stykamy się z niepewnością, która jest właściwością wszelkiego życia, z niepokojem zarazem bolesnym i rozkosznym, którego nie szczędzi nam każda chwila, o ile tylko potrafimy ją przeżyć do końca, do samego pulsującego jądra. Zazwyczaj uciekamy od owego napawającego trwożą tętna, dzięki któremu każda prawdziwie przeżyta chwila zamienia się w uciekające w dal malutkie serce; staramy się nabrać pewności, znieczulając się na bezwzględny dramat naszego przeznaczenia chloroformem obyczajów, że po raz pierwszy od prawie trzech wieków stajemy wobec świadomości, że nie wiemy, co nam przyniesie jutro.

Każdy, kto przybiera wobec życia postawę poważną, przyjmując za nią pełną odpowiedzialność, musi odczuwać pewnego rodzaju niepewność, która go skłania do ciągłej czujności. Regulamin legionów rzymskich nakazywał wartownikom trzymanie na wargach palca wskazującego, co miało ułatwić bezsenność i zachowanie czujności. Nie jest to zły gest, wydaje się nakazywać absolutną ciszę, ciszę nocną, tak byśmy mogli słyszeć jak

¹⁵ Swobodę intelektualną, to znaczy potencję umysłu mierzy się stopniem, w jakim jest on zdolny rozdzielać pojęcia tradycyjnie nierozłączne. Rozdzielanie pojęć jest czymś znacznie trudniejszym niż ich łączenie ze sobą czego dowiódł Kohler swymi badaniami nad inteligencją szympanów. Nigdy dotąd intelekt ludzki nie miał takiej zdolności rozdzielania pojęć jak obecnie.

¹⁶ Stąd biorą się diagnozy o dekadencji. Nie chodzi o to, że jesteśmy dekadentami, lecz o to, że będąc gotowi przyjąć każdą możliwość, nie wykluczamy także dekadencji.

rośnie przyszłość. Pewność właściwa epokom „pełni” - odnosi się to także do zeszłego wieku - polega na złudzeniu optycznym, które prowadzi do nieprzejmowania się przyszłością, wytyczanie zaś jej kierunków pozostawia mechanice wszechświata. Zarówno postępowy liberalizm, jak i socjalizm Marksa zakłada, iż upragniona, idealna przyszłość nastanie kiedyś w sposób nieunikniony, będąc wynikiem konieczności podobnej tej, z jaką mamy do czynienia w astronomii. I jedni, i drudzy, chronieni przez tę ideę przed własną świadomością, wypuszczają z ręki ster historii, przestają być czujni, tracą elastyczność i skuteczność działania. W ten sposób życie wymyka im się z rąk, wypowiada im posłuszeństwo i uwolnione z wszelkich więzów mknie teraz w jakimś nieznanym kierunku. Postępowiec, przybierając maskę doskonałego futurysty, nie zajmuje się przyszłością; jest przekonany o tym, że ta ostatnia nie kryje żadnych tajemnic czy niespodzianek, że nie czeka nas żadna istotna nowość, a będąc przeświadczony o tym, że świat rozwija się już we właściwym kierunku, bez odchyień czy kroków wstecz, traci niepokój co do przyszłości. Czy może nas zatem dziwić, że dzisiejszy świat wydaje się pozbawiony zamierzeń, oczekiwań czy ideałów. Nikt nie zajmował się ich formułowaniem. Taki był rezultat zejścia ze sceny historii kierowniczych mniejszości stanowiący zawsze odwrotną stronę medalu buntu mas.

Ale czas już, byśmy wrócili do tej właśnie sprawy. Po wskazaniu dobrych stron buntu mas należy teraz spojrzeć na te złe i bardziej niebezpieczne.

V

Dane statystyczne

W tym eseju chciałbym postawić z grubsza diagnozę naszych czasów, naszego współczesnego życia. Pierwsza jej część została już przedstawiona, można ją streścić w następujących słowach: nasze życie jako zbiór możliwości jest wspaniałe, bujne i bogate, lepsze od wszystkich znanych z historii. Dlatego właśnie, że jest większego formatu, wystąpiło z brzegów tradycyjnych zasad norm i ideałów. Jest bardziej życiem niż wszystkie dawniejsze życia i przez to samo jest bardziej problematyczne. Nie może kierować się wzorami z przeszłości.¹⁷ Musi odnaleźć własne przeznaczenie.

Należałoby więc teraz uzupełnić tę diagnozę. Życie, które jest przede wszystkim tym, czym być możemy, to życie możliwe, polega także przez to samo na rozstrzygnięciu wśród licznych możliwości tego, czym mamy faktycznie być. Okoliczności i rozstrzygnięcia są dwoma podstawowymi składnikami życia. Okoliczności, czyli możliwości, są tym, co naszemu życiu zostało narzucone, co zastaliśmy gotowe. Stanowią to, co nazywaliśmy światem. Życie nie wybiera sobie świata, żyć to znaczy znaleźć się w świecie, określonym i niewymienialnym, w tym dzisiejszym świecie. Nasz świat jest wymiarem przeznaczenia, które scala nasze życie. Ale to przeznaczenie życiowe nie przypomina mechanicznego przeznaczenia. Nie zostaliśmy wystrzeleni w życie na kształt kuli karabinowej, której trajektoria jest całkowicie z góry określona. Przeznaczenie, które przypada nam w udziale, kiedy przychodzimy na ten świat - a świat, to zawsze *ten* świat, ten dzisiejszy - jest czymś zupełnie innym. Zamiast narzucać nam jedną trajektorię, narzuca ich wiele i w konsekwencji zmusza nas... do wyboru. Zdumiewający warunek ludzkiego żywota! Żyć to znaczy czuć się zmuszonym *przez przeznaczenie* do wolności, do rozstrzygnięcia o tym, kim w tym świecie będziemy. Nie dana nam jest ani chwila wytchnienia od podejmowania decyzji. Nawet kiedy zrozpaczeni poddamy się losowi, wtedy także postanawiamy niczego więcej nie postanawiać.

A zatem fałszywe jest stwierdzenie, że w życiu „rozstrzygają okoliczności”. Wręcz przeciwnie: okoliczności stawiają nas przed wiecznie nowymi dylematami i zmuszają do ich rozstrzygnięcia. Ale to my rozstrzygamy, rozstrzyga o tym nasz charakter.

Wszystko to odnosi się także najpierw do życia zbiorowego. Również w tym wypadku mamy najpierw do czynienia z szerokim wachlarzem możliwości, a następnie z postanowieniem, które wybiera i przesądza faktyczny tryb życia zbiorowego. Owo postanowienie wypływa z charakteru danej społeczności, albo też, co na jedno wychodzi, typu człowieka, który w niej dominuje. W naszych czasach, w społeczeństwie dominuje człowiek masowy; to on jest tym, kto rozstrzyga. Nie chcę przez to powiedzieć, że dzieje się tak już w epoce demokracji, w czasach powszechnych wyborów. W wyborach powszechnych masy nie podejmują decyzji, ich rola polega na przyłączeniu się do decyzji podjętej przez taką czy inną mniejszość. Te ostatnie przedstawiają swoje „programy” - znakomite słówko. Programy te są w istocie programami życia zbiorowego. Nakłania się w nich masy do zaakceptowania pewnego projektu decyzji.

¹⁷ Ze wzorów przeszłości można jednak korzystać, ale już nie w sensie pozytywnym, tylko negatywnym. Przeszłość nie powie nam, co mamy robić, powie nam za to, czego mamy unikać.

Dziś dzieje się coś zupełnie innego. Jeśli się patrzy na życie publiczne w krajach, gdzie sukcesy mas są ostatnio największe, a mam tu na myśli kraje śródziemnomorskie, to najbardziej zdumiewa fakt, że pod względem politycznym żyje się tam z dnia na dzień. Jest to zjawisko nader dziwne. Władza publiczna znajduje się w rękach przedstawiciela mas, które są tak potężne, że zniszczyły całkowicie wszelką możliwą opozycję. Opanowały władzę publiczną w tak wielkim stopniu, że trudno byłoby znaleźć w dziejach okresy tak potężnych i wszechogarniających rządów. A jednak władza publiczna, rząd, żyje z dnia na dzień; nie przedstawia się jako zwiastun jakiejś wyraźnie określonej przyszłości, nie sprawia wrażenia początku czegoś, czego rozwój czy ewolucję można by sobie wyobrazić. Ogólnie biorąc, nie posiada programu, działa bez planu na przyszłość. Nie wie, dokąd zmierza, bo też w istocie rzeczy donikąd nie dąży, nie idzie żadną określoną drogą, nie obiera żadnej z góry przewidzianej trajektorii. Owa władza publiczna, pragnąc usprawiedliwić swe istnienie, nie napomyka nawet o przyszłości, ogranicza się do czasu teraźniejszego, powiadając z rozbrajającą szczerością: „Jestem narzuconą przez okoliczności, nadzwyczajną formą rządu”, to znaczy, iż rządzi ona dlatego, że domaga się tego teraźniejszość, a nie przez wzgląd na przyszłość. Stąd też jej działalność sprowadza się do unikania konfliktów dnia dzisiejszego. Władza nie dąży do ich rozwiązywania, lecz od nich ucieka, posługując się dla ich chwilowego zażegnania wszystkimi dostępnymi środkami, nie zważając nawet na to, że ich użycie może już w niedalekiej przyszłości zrodzić jeszcze poważniejsze konflikty. Tak zawsze wygląda bezpośrednia władza publiczna mas - jest zarazem wszechwładna i efemeryczna. Człowiek masowy to człowiek, którego życie nie ma wytkniętego celu, a on sam bezwładnie i bezwolnie dryfuje. Dlatego też niczego nie tworzy, choć jego możliwości, jego władza mogą być olbrzymie.

W naszych czasach właśnie tego typu ludzie podejmują decyzje. Dobrze byłoby więc poddać analizie ich charakter.

Klucz do analizy znajdziemy powracając do początku eseju, gdzie zadaliśmy sobie pytanie: skąd wzięły się owe tłumy, które obecnie szczerze wypełniają scenę dziejów?

Parę lat temu wybitny ekonomista, Werner Sombart, wystąpił z kilkoma podstawowymi danymi statystycznymi, które, o dziwo, nie dotarły jakoś do świadomości wszystkich zajmujących się problemami współczesności. Już same te liczby wystarczą do wyjaśnienia naszej wizji współczesnej Europy, a nawet jeśli nie okażą się wystarczające, to w każdym razie pomogą nam do jej zrozumienia. Są to następujące dane: od wieku VI, kiedy to zaczyna się historia Europy, do roku 1800 - to znaczy przez dwanaście wieków - liczba ludności Europy nie zdołała przekroczyć 180 milionów. Natomiast w okresie od 1800 do 1914 - a zatem w nieco ponad sto lat - liczba ludności Europy wzrosła od 180 do 460 milionów! Uważam, iż porównanie tych dwu liczb wystarczy, by rozproszyć wszelkie wątpliwości co do możliwości rozrodczych ubiegłego wieku. W ciągu trzech pokoleń wyprodukował on tak olbrzymią masę ludzką, że zalała ona jak lawa scenę dziejów. Jeszcze raz powtarzam, do zrozumienia obecnego triumfu mas wystarczyłyby już same te dane, które go zwiastują i w których znajduje on swoje odbicie. Z drugiej strony, należy jeszcze dodać, jako najbardziej konkretny składnik, rozrost życia, o którym była już mowa uprzednio.

Dane te wskazują również na to, że zupełnie nieuzasadniony jest podziw, z jakim mówimy o wzroście ludnościowym nowych krajów, takich jak na przykład Stany Zjednoczone Ameryki. Zadziwia nas to, że w ciągu jednego wieku udało im się osiągnąć liczbę 100 milionów mieszkańców, podczas gdy prawdziwie zdumiewająca jest płodność Europy. Mamy tu jeszcze jeden powód do odrzucenia tezy o amerykańzowaniu Europy. Nawet ta cecha, która w sposób najbardziej oczywisty zdawała się charakteryzować Amerykę - szybkość przyrostu ludności - nie jest bynajmniej jej tylko właściwa. W minionym wieku liczba ludności w Europie wzrosła bez porównania bardziej niż w Ameryce. Nadmiar ludności w Europie stworzył Amerykę.

Chociaż dane zebrane przez Wernera Sombarta nie są tak szeroko znane, jak by na to zasługiwały, to i tak fakt znacznego przyrostu ludności europejskiej jest dość oczywisty i wiadomy, by dalej się już nad nim nie rozwodzić. Tak więc, nie interesują mnie tutaj przytoczone wyżej cyfry dotyczące liczby ludności, lecz to, że ich porównanie uwypukla przecież oszałamiające tempo tego przyrostu. Tylko to ma teraz dla nas wagę. Owa zawrotna szybkość reprodukcji oznacza, że na scenę dziejów ciskano masy ludzkie całymi garściami, i to w tak przyspieszonym tempie, że trudno było je przepoić wartościami tradycyjnej kultury.

Wskutek tego dzisiejszy przeciętny Europejczyk ma psychikę zdrowszą i silniejszą, ale zarazem bardziej prymitywną niż jego przodkowie z XIX wieku. Dlatego też sprawia nieraz wrażenie człowieka pierwotnego przeniesionego niespodziewanie w sam środek jakiejś starej cywilizacji. Szkoły, z których tak dumny był wiek miniony, uczyły masy jedynie posługiwania się technikami nowoczesnego życia, ale nie były w stanie ich wychować. Dano im narzędzia pozwalające intensywnie żyć, ale nie uwrażliwiono ich na wielkie historyczne obowiązki; zaszczepiono im gwałtownie pychę i moc nowoczesnych środków działania, ale nie ducha. Dlatego też duch nie jest im do niczego potrzebny; nowe pokolenia przejmują rządy nad światem, tak jakby był on rajem, na którym nie odcisnęły się żadne ślady przeszłości i jakby nie istniały wyrastające z tradycji skomplikowane problemy.

Tak więc wypłynięcie na powierzchnię dziejów olbrzymich tłumów to zasługa i odpowiedzialność minionego wieku. Fakt ten sam w sobie stwarza odpowiednią perspektywę do sprawiedliwej oceny tego stulecia. Musiało w nim być coś nadzwyczajnego, nieporównywalnego, skoro udało mu się zebrać tak obfite ludzkie

żniwo. Dziwne i bez sensu byłoby preferowanie zasad leżących u podstaw innych epok, o ile się przedtem nie pojęło, należycie nie przetrawiło wagi i znaczenia powyższego faktu. Cała historia sprawia wrażenie gigantycznego laboratorium, w którym czyniono wszystkie możliwe próby, by otrzymać wzór życia publicznego najbardziej korzystny dla rozwoju „rośliny ludzkiej”. Po wykonaniu wszystkich możliwych prób stanęliśmy w obliczu faktu, iż poddając nasienie ludzkie działaniu dwu czynników: demokracji liberalnej i techniki udało się w ciągu jednego wieku potroić populację gatunku europejskiego.

Fakt aż tak uderzający zmusza nas - o ile oczywiście nie wolimy nie dostrzegać faktów - do uznania następujących konsekwencji: po pierwsze, oparta na technice demokracja liberalna jest najwyższym z dotychczas znanych typem życia publicznego; po drugie, ten typ życia nie jest najlepszy, jaki sobie można wyobrazić, ale najlepszy musiałby także zawierać to, co w tych dwóch czynnikach jest najistotniejsze; i po trzecie, samobójstwem byłby jakikolwiek nawrót do form życia poprzedzających wiek XIX.

Raz uznawszy to wszystko z całą jasnością, jakiej wymaga oczywistość faktów, należy teraz zwrócić się przeciwko wiekowi dziewiętnastemu.

Podobnie jak oczywiste jest to, że byłoby w nim coś nadzwyczajnego, nieporównywalnego, tak samo oczywiste jest i to, że musiało w nim tkwić jakieś podstawowe zło, że posiadał jakieś ograniczone niedostatki, skoro zrodził kastę ludzi, ludzi masowych i zbuntowanych. Oni to obecnie stawiają w stan zagrożenia samo istnienie tych właśnie zasad, którym zawdzięczają swą egzystencję. Jeśli ten typ ludzi będzie w dalszym ciągu panował w Europie - a nie ulega wątpliwości, że teraz ci właśnie ludzie o wszystkim rozstrzygają - to wystarczy trzydzieści lat, aby cały nasz kontynent cofnął się do epoki barbarzyństwa. Techniki prawne i materialne ulatniają się z równą łatwością, z jaką uległo zapomnieniu tyle najróżniejszych tajników produkcji.¹⁸ Życie kurczy się. Obecna obfitość możliwości przekształci się w ich zanik, w poczucie męczącej niemożności; nastąpi okres prawdziwej dekadencji. Dlatego też bunt mas to nic innego jak opisana przez Rathenaua „wertikalna inwazja barbarzyńców”.

Ważne jest zatem gruntowne poznanie tego człowieka masowego, który jest czystą możliwością zarówno największego dobra, jak największego zła.

VI

Wstęp do anatomii człowieka masowego

Jaki jest zatem ów człowiek masowy, który zdominował dziś życie publiczne - zarówno polityczne, jak i pozapolityczne? Dlaczego jest taki, jaki jest, czyli jak do tego doszło, że się takim stał?

Odpowiedzieć trzeba od razu na oba pytania, bo odpowiedzi te wzajemnie się uzupełniają. Ludzie, którzy dążą obecnie do wysunięcia się na czoło europejskiego życia, bardzo się różnią od tych, którzy w XIX wieku temu życiu nadawali ton, choć jednak przyjdzie ich przygotowane było i ukształtowane przez wiek XIX. Każdy człowiek o przenikliwym umyśle, żyjący w latach 1820, 1850 czy 1880, mógł dzięki prostemu rozumowaniu przewidzieć *a priori* powagę obecnej sytuacji historycznej. I rzeczywiście, nie dzieje się dzisiaj nic nowego, czego by z góry nie przewidziano już sto lat temu. „Masy nacierają” powiedział apokaliptycznie Hegel. „Jeśli nie znajdzie się nowa siła duchowa, to nasza epoka, która jest epoką rewolucyjną, skończy się katastrofą”, zapowiadał August Comte. „Widzę nadciągającą falę nihilizmu!” - wołał ze skał Engandyny wążacz Nietzsche. Nieprawdą jest twierdzenie, że toku dziejów nie można przewidzieć; przepowiadano go już niezliczoną ilość razy. Jeśli przyszłość nie byłaby do przewidzenia, to pozostałaby niezrozumiała nawet wtedy, kiedy się spełnia i staje się sama czasem przeszłym. Myśl, że historyk jest odwrotnością proroka, zawiera streszczenie całej filozofii dziejów. Oczywiście, przewidzieć można jedynie ogólną strukturę przyszłości; ale przecież po prawdzie to samo odnosi się do pojmowania teraźniejszości oraz przeszłości. Dlatego też, jeśli chce się dobrze widzieć swoją epokę, to trzeba na nią patrzeć z daleka. Z jak daleka? To bardzo proste: dokładnie z takiej odległości, z jakiej nos Kleopatry przestaje być widoczny.

Jak przedstawia się życie tego człowieka tłumnego, którego taką obfitość zrodził i ciągle jeszcze rodzi wiek XIX? Przede wszystkim cechują je powszechne ułatwienia w sprawach materialnych. Nigdy dotąd przeciętny człowiek nie miał takiej łatwości w rozwiązywaniu swoich problemów ekonomicznych. Podczas gdy, proporcjonalnie rzecz biorąc, topniały wielkie fortuny, a życie robotników przemysłowych było coraz cięższe, horyzont ekonomiczny przeciętnego człowieka z jakiegokolwiek klasy społecznej stawał się z dnia na dzień coraz

¹⁸ Hermann Weyl, jeden z najwybitniejszych współczesnych fizyków, towarzyszył i kontynuator Einsteina, zwykł mawiać w prywatnych rozmowach, że gdyby nagle umarło dziesięć czy dwanaście określonych osób, to jest sprawą prawie pewną, że cały wspaniały wręcz dorobek fizyki współczesnej byłby dla ludzkości na zawsze zaprzepaszczone. Trzeba było wielu wieków, by przygotować umysł ludzki do poruszania się w abstrakcyjnych zawiłościach fizyki teoretycznej. Jakież przypadkowe zdarzenie mogłoby unicestwić te wspaniałe możliwości stojące przed ludzkością, które ponadto są podstawą techniki przyszłości.

szerszy i jaśniejszy. Każdego dnia jego poziom życia wzbogacał się o jakiś nowy zbytek. Z każdym dniem jego pozycja zyskiwała na pewności i coraz większej niezależności od cudzej woli i decyzji. To, co kiedyś uważano za dobrodziejstwo losu, budzące w człowieku pokorne poczucie wdzięczności, teraz przekształciło się w prawo, za które nie jest się wdzięcznym, lecz którego się wymaga.

Od roku 1900 również robotnik zaczyna nabierać poczucia pewności, a życie jego staje się coraz pełniejsze. Musi jednak o to walczyć. Znajduje się bowiem w innej sytuacji niż członek klasy średniej, któremuspołeczeństwo oraz państwo zapewniają dobrobyt; oba stanowią cud sprawnej organizacji.

Do łatwości i pewności ekonomicznej należy jeszcze dodać fizyczną: komfort i porządek publiczny. Życie toczy się po wygodnej drodze i wydaje się mało prawdopodobne, by miały je zakłócić jakieś gwałtowne i niebezpieczne wstrząsy.

Siłą rzeczy taka otwarta i swobodna sytuacja sprawia, iż w najgłębszych pokładach dusz zwyczajnych ludzi ugruntowuje się życiowe przekonanie, że „wielka i szeroka jest Kastylia”, jak to zgrabnie i celnie ujmuje stare powiedzenie ludowe. To znaczy, że współczesnemu człowiekowi życie we wszystkich jego podstawowych i najbardziej istotnych dziedzinach jawi się jako *pozbawione trudności i problemów*. W pełni docenić wagę tego faktu można dopiero wtedy, kiedy się sobie uzmysłowi, że w przeszłości taka lekkość i łatwość życia była dla ludzi prostych czymś zupełnie nieosiągalnym. Wręcz przeciwnie, życie rysowało im się jako ciężkie i pełne znoju przeznaczenie - zarówno w sensie ekonomicznym, jak i fizycznym. Odbierali je *a nativitate* jako nagromadzenie trudności i klęsk, które trzeba cierpliwie znosić, skoro jedynym wyjściem jest pogodzenie się z losem i pokorne zajęcie należnego sobie miejsca.

Jeszcze jaskrawiej widać różność tych sytuacji, gdy od sfery materialnej przejdzie się do sfery prawnobywatelskiej i moralnej. Od drugiej połowy XIX wieku nie stoją już przed zwykłym człowiekiem żadne bariery społeczne. To znaczy, że również w formach życia publicznego nie napotyka żadnych ograniczeń czy przeszkód. Nic go nie zmusza do utrzymywania swego życia w ryzach. W tej dziedzinie także „wielka i szeroka jest Kastylia”. Nie istnieją „stany” czy „kasty”. Nie ma ludzi prawnie uprzywilejowanych. Każdy człowiek uczy się od małego, że wszyscy są równi wobec prawa.

Nigdy w ciągu dziejów nie znajdował się człowiek w okolicznościach życiowych podobnych choć z grubsza do tych, jakie powyżej opisano. Mamy więc do czynienia z zapoczątkowaną w XIX wieku radykalną zmianą kondycji ludzkiej. Życiu ludzkiemu nadano nowe ramy, nowe zarówno pod względem fizycznym, jak i społecznym. Trzy czynniki sprawiły, iż stworzenie nowego świata stało się możliwe: liberalna demokracja, badania naukowe i industrializacja. Dwa ostatnie można streścić w jednym słowie - technika. Żaden z tych czynników nie był wynalazkiem XIX wieku, wszystkie trzy zrodzone były w dwu poprzednich stuleciach. Zasługą XIX wieku nie było ich wynalezienie, lecz wdrożenie w życie. Wszyscy to przyznają. Nie wystarczy jednak abstrakcyjne uznanie, trzeba sobie jeszcze zdać sprawę z nieuniknionych następstw tego faktu.

Wiek XIX był w istocie wiekiem rewolucyjnym. Tej rewolucji nie należy jednak szukać na barykadach, które zresztą jej nie czynią. Oto zwyczajni ludzie, olbrzymie masy społeczne znalazły się nagle w warunkach życiowych diametralnie różnych od tych, w których dotychczas żyły. Życie publiczne zostało wyrwone do góry nogami. Rewolucja to nie powstanie przeciwko istniejącemu porządkowi, lecz wprowadzenie nowego porządku będącego odwróceniem starego. Dlatego też nie ma żadnej przesady w powiedzeniu, że z punktu widzenia życia publicznego człowiek zrodzony przez wiek XIX jest kimś zupełnie nowym w stosunku do ludzi wszystkich poprzednich stuleci. Człowiek XVIII wieku różnił się, oczywiście, od tego z XVII, a ten ostatni od tego z wieku XVI, ale wszyscy oni wydają się w istocie rzeczy bardzo do siebie podobni, nieledwie identyczni, jeśli ich porównać z nowym człowiekiem XIX wieku. Dla „pospółstwa” wszystkich epok „życie” to było przede wszystkim ograniczenie, zobowiązanie, zależność, słowem - przygniatający ciężar. Jeśli ktoś woli, można to nazwać uciskiem, jednak pod warunkiem, że słowo to będziemy rozumieć nie tylko w sensie prawnym i społecznym, lecz także kosmicznym. Ten ostatni rodzaj ucisku towarzyszył niezmiennie ludzkości od zarania dziejów do pierwszych lat XIX wieku, kiedy to rozpoczął się praktycznie nieograniczony rozwój nauki i techniki. Przedtem nawet dla człowieka możnego i bogatego świat był pełen biedy, trudności i niebezpieczeństw.¹⁹

Świat, który od urodzenia otacza nowego człowieka, nie skłania go do jakichkolwiek ograniczeń, nie zakłada żadnego weta ani nie stawia przed nim żadnych barier, a nawet wręcz przeciwnie, rozbudza w nim nowe potrzeby, które, teoretycznie rzecz biorąc, rosnąć mogą w nieskończoność. Dlatego też mamy tu do czynienia z następującym zjawiskiem - i to jest bardzo ważne - otóż świat XIX wieku i początków XX nie tylko zapewnia ludziom dobra i możliwości, do jakich już rzeczywiście doszedł, ale co więcej, utwierdza ich w głębokim przekonaniu, że jutro będą jeszcze bogatsi, jeszcze doskonalsi i żyć będą jeszcze pełniej, jak gdyby była to sprawa jakiegoś żywołowego, niczym nie skrępowanego wzrostu. Jeszcze dzisiaj, choć pojawiają się już pierwsze oznaki niewiary, bardzo nieliczni żywią jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, że za pięć lat samochody

¹⁹ Nie na wiele zda się bogactwo większe niż innych, jeśli otaczający świat jest ubogi i wobec tego nader ograniczony jest zakres ułatwień i wygod, z których może skorzystać człowiek dzięki swemu bogactwu. Życie przeciętnego człowieka dzisiaj jest łatwiejsze, wygodniejsze i bezpieczniejsze niż życie możnego pana niegdyś. Co z tego, że nie jest bogatszy od innych, kiedy świat w ogóle jest bogatszy i zapewnia mu wygodne drogi, kolej żelazną, telegraf, hotele, bezpieczeństwo osobiste i aspirynę?

będą tańsze i wygodniejsze niż teraz. Przekonanie to jest równie mocne jak pewność, że jutro znowu wszędzie słońce. Podobieństwo to ma charakter formalny, bo w istocie człowiek prosty, stykając z otaczającym go światem, który mu się jawi technicznie i społecznie tak doskonały, uważa go za dzieło Natury i nawet do głowy mu nie przyjdzie pomyśleć o heroicznych wysiłkach genialnych jednostek, które umożliwiły doprowadzenie świata do jego obecnej postaci. Jeszcze mniej byłby skłonny uznać, że wszystkie te wygodny wymagają w dalszym ciągu pewnych rzadkich ludzki zalet, których brak może w ciągu kilku chwil spowodować zawalenie się całej tej wspaniałej budowli.

W diagram psychologiczny współczesnego człowieka masowego możemy więc wpisać dwie podstawowe cechy: swobodną ekspansję życiowych żądań i potrzeb, szczególnie w odniesieniu do własnej osoby, oraz silnie zakorzeniony brak poczucia wdzięczności dla tych, którzy owo wygodne życie umożliwili. Obie te cechy są charakterystyczne dla psychiki rozpuszczonego dziecka. I rzeczywiście nie będzie pomyłką, jeśli na duszę współczesnych mas spojrzemy przez pryzmat tej psychiki. Nowy plebs, dziedzicząc dorobek długiej i znakomitej przeszłości - znakomitej ze względu na natchnienie i trud - jest przez współczesny świat po prostu rozpuszczony. Rozpuszczać to znaczy nie ograniczać żądań i potrzeb, to znaczy wpajając danemu osobnikowi przekonanie, że wszystko mu wolno i że do niczego nie jest zobowiązany. Dziecko tak wychowywane nie ma okazji doświadczyć granicy własnych możliwości. Chronione przed jakimikolwiek ograniczeniami zewnętrznymi, przed każdym zderzeniem z innym, dochodzi do przekonania, że żyje samo na świecie, przyzwyczajając się zarazem do nieliczenia się z innymi, a zwłaszcza do nieuwzględniania tego, że może być ktoś od niego ważniejszy czy względem niego nadrzędny. Poczucia cudzej nadrzędności można doświadczyć jedynie na własnej skórze, kiedy ktoś silniejszy od nas zmusza do wyrzeczenia się jakiejś potrzeby, do powstrzymania się od czegoś, do ograniczenia własnych żądań. W ten sposób uczymy się podstawowej zasady dyscypliny: „Tu kończę się ja, a zaczyna się ktoś drugi, komu wolno więcej niż mnie. Na tym świecie istnieje najwidoczniej alternatywa: ja i ktoś względem mnie nadrzędny”. W innych epokach życie codzienne uczyło ludzi tej prostej mądrości, bo ówczesny świat był tak nieporadnie zorganizowany, że częste były wszelkiego rodzaju katastrofy i nie było w nim nic pewnego, bezpiecznego czy trwałego. Natomiast współczesne masy ludzkie otacza świat pełen możliwości, a na dodatek pewny i bezpieczny, zastają one wszystko gotowe, będące do ich dyspozycji, ogólnie dostępne, jak słońce i powietrze, nie wymagające jakiegokolwiek uprzedniego wysiłku. Żaden człowiek nie jest wdzięczny drugiemu za powietrze, którym oddycha, ponieważ powietrza nikt nie wyprodukował i należy ono do całości tego, co „jest”, o czym mówimy, że jest „naturalne”, bo nie odczuwamy jego braku. Owe rozpuszczone masy są wystarczająco mało inteligentne, by wierzyć, że cała ta materialna i społeczna organizacja, będąca jak powietrze do ich dyspozycji, jest tego samego pochodzenia, co i ono i chociaż także czasem zawodzi, to jednak wydaje się prawie tak doskonała, jak gdyby była dziełem natury.

Moja teza jest zatem następująca: właśnie doskonałość, z jaką w XIX wieku zorganizowano pewne dziedziny życia, spowodowała to, że korzystające z owych dobrodziejstw masy nie uważają ich już za organizację, lecz za element przyrody. Tak też można wyjaśnić demonstrowany przez masy, absurdalny stan ducha: nie interesuje ich nic poza własnym dobrobytem, a jednocześnie nie mają poczucia więzi z przyczynami tego dobrobytu. Zdobywszy cywilizacji nie odbierają jako cudownych, genialnych konstrukcji, których istnienie należy pieczołowicie podtrzymywać; wierzą więc tylko, że ich rola sprowadza się do wymagania istnienia tych ostatnich, jak gdyby chodziło o przyrodzone prawa. W zamieszkach wywoływanych brakiem żywności masy ludowe domagają się zazwyczaj chleba; i często zdobywają go, niszcząc piekarnie. Może to posłużyć jako symbol stosunku, oczywiście przy zachowaniu należytych proporcji, współczesnych mas do cywilizacji, która je żywi.²⁰

²⁰ Masa, jaka bądź, plebejska lub „arystokratyczna”, pozostawiona sama sobie ma zawsze skłonność - z chęci do życia - do niszczenia podstaw własnej egzystencji. Uważam, że wspaniałą karykaturą skłonności *propter vitam, vivendi perdere causam* [z przywiązania do życia stracić rację bytu] jest to, co się zdarzyło w Nijar, niewielkiej mieścinie w pobliżu Almerii, kiedy 13 września 1759 roku ogłoszono objęcie tronu przez Karola III. Obwieszczenie odczytano na rynku. „Następnie rozkazano przynieść napitki dla całego zgromadzenia. Wypito sześćdziesiąt siedem kwart wina i cztery beczułki wódki. Te trunki tak rozgrzały ludzi, że dziarsko pokrzykując udali się w stronę publicznych spichlerzy, zagarniając całe złożone w nich zboże oraz 900 realów z kasy. Stamtąd ruszyli w kierunku monopolu tytoniowego, zabierając pieniądze i tytoń, samo robili w sklepach, każąc sobie oddawać, dla większej jeszcze radości, wszystkie napitki i całą żywność, będącą na składzie. Przedstawiciele duchowieństwa byli w tej działalności równie sprawni, namawiając kobiety, by wyrzucały na ulice wszystko, co mają w domu, co z radością czyniły, tak że w domach nie zostało nic, ani chleb, ani pszenica, ani mąka, ani fasola, ani grzanki, ani tłuczki, ani miednice, ani krzesła. W ten sposób całe miasteczko zostało zniszczone”. Dokument z tamtych czasów, będący w posiadaniu Pana Sanchez de Toca, cytowany jest przez Manuela Danvila w *Reinado de Carlos III*, t. II, przypis 2, s. 10. Miasteczko to, przeżywając intensywnie radość z powodu nowego monarchy, zniszczyło samo siebie. Wspaniała Nijar! Do ciebie należy przeszłość!

VII

Życie szlachetne i życie pospolite albo trud i bezczynność

Jesteśmy więc tym przede wszystkim, do bycia czym zaprasza nas świat, a podstawowe rysy naszej duszy są odcisnięte w niej jak na glinianej tabliczce. Ogólny obraz świata to także ogólny obraz naszego życia. Dlatego też kładę tak wielki nacisk na stwierdzenie, że świat, który zrodził współczesne masy, ma zupełnie nowe, nie znane dotąd oblicze. Podczas gdy w przeszłości dla zwyczajnego człowieka życie było jednym pasmem trudności, niebezpieczeństw, niedostatków, ograniczeń i uzależnienia, to ten nowy świat wydaje się obszarem praktycznie nieograniczonych możliwości, obszarem bezpiecznym, gdzie nikt nie jest uzależniony od nikogo.

Duszę człowieka współczesnego kształtuje to pierwotne i niezmiennie wrażenie, podobnie jak dusze ludzi z dawniejszych epok urabiało wrażenie odwrotne. To podstawowe wrażenie przekształca się w wewnętrzny głos, który szemrząc nieustannie w głębi duszy wpaja nam uparcie i nieustępliwie definicję życia będącą także imperatywem. O ile tkwiące głęboko przekonania tradycyjne powiadały: „Życie to znaczy czuć się ograniczonym, a tym samym czuć się uzależnionym od tego, co nas ogranicza”, o tyle nowy głos wewnętrzny woła: „Życie to nie być ograniczonym przez cokolwiek; to swobodnie puścić wodze swoim chęciom i skłonnościom. Nic, praktycznie biorąc, nie jest niemożliwe, nic nie jest niebezpieczne i nikt nie jest z zasady nadrzędny w stosunku do nikogo”.

To podstawowe doświadczenie zmienia zasadniczo tradycyjną, odwieczną strukturę duchową człowieka masowego, który zawsze czuł się materialnie ograniczony i uzależniony od nadrzędnych względem niego sił społecznych. Takie właśnie w jego pojęciu było życie. Jeśli udawało mu się polepszyć swoją pozycję, jeśli mógł się wdrapać na wyższy szczebel drabiny społecznej, przypisywał to szczęśliwemu zrządzeniu losu. Albo też widział w tym wynik podejmowanych przez siebie ogromnych wysiłków i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, ile go to kosztowało trudu. W obu wypadkach mieliśmy do czynienia z sytuacją wyjątkową w stosunku do normalnego życia, wyjątkową, bo u jej podłoża leżały jakieś szczególne przyczyny.

Natomiast dla nowych mas owa pełna swoboda manewrów życiowych jest czymś stałym i naturalnym, pozbawionym szczególnych przyczyn. Żadna zewnętrzna siła nie zmusza ich do narzucenia sobie jakichś ograniczeń, a tym bardziej do stałego liczenia się z istnieniem innych instancji, szczególnie instancji nadrzędnych. Jeszcze do niedawna chiński kulis był przekonany, że jego powodzenie życiowe zależy od cnót osobistych cesarza. A zatem życie jego było na stałe związane z ową najwyższą instancją, od której było uzależnione. *Natomiast człowiek, którego analizujemy, przyzwyczał się nie odnosić własnej osoby do żadnej zewnętrznej instancji.* Zadowolony jest z siebie takiego, jakim jest. Skłonny jest zupełnie szczerze - i to nie przez próżność - jako rzecz najbardziej naturalną w świecie przyjmować i brać za dobrą monetę wszystko, co w sobie napotyka: mniemania, pożądania, upodobania i wybory. Dlaczego by nie miał tak robić, skoro - co już stwierdziliśmy - nikt ani nic go nie zmusza do uprzytomnienia sobie, iż jest człowiekiem drugiej kategorii, nader ograniczonym, niezdolnym do stworzenia ani zachowania nawet tej organizacji, która zapewnia jego życiu pełnię i zadowolenie, co z kolei daje mu podstawę do owej afirmacji własnej osoby?

Człowiek masowy nigdy nie odwołuje się do czynników zewnętrznych, o ile nie zostaje do tego gwałtownie zmuszony przez *okoliczności*. Jako że obecne okoliczności do tego go nie zmuszają, odwieczny człowiek masowy, zgodnie ze swoim temperamentem, nie odwołuje się do nikogo, czując się w pełni panem swojego życia. Natomiast człowiek wybrany czy wybitny odczuwa wewnętrzną potrzebę odwoływania się do norm zewnętrznych, od niego samego doskonalszych, którym dobrowolnie może służyć. Przypomnijmy, że człowiek wybitny tym się różni od człowieka pospolitego, że ten pierwszy ma duże wymagania wobec siebie samego, natomiast ten drugi, zachwycony własną osobą, niczego od siebie nie wymaga, będąc zupełnie zadowolony z tego, kim jest.²¹ W przeciwieństwie do tego, co się powszechnie sądzi, to właśnie ludzie wybrani, a nie masy, żyją w prawdziwym poddaństwie. Życie nie ma dla nich smaku, jeśli nie polega na służeniu czemuś transcendentnemu. Dlatego też takiej służby nie odbierają jako ucisku. Jeśli tego im brakuje, wówczas odczuwają niepokój i wynajdują nowe normy, jeszcze trudniejsze, bardziej wymagające, które ich gnębią. To jest życie rozumiane jako narzucona sobie dyscyplina - życie szlachetne. Szlachectwo określa wymagania i obowiązki, a nie przywileje. *Noblesse oblige.*

Nach seinem Sinne leben ist gemein,

²¹ Człowiek jest intelektualnie masowy wtedy, gdy postawiony wobec jakiegoś problemu zadowala się tymi myślami, które na ten temat Przyjdą mu akurat do głowy. Człowiekiem wybitnym jest natomiast ten, kto nie zadowala się tym, co mu od razu, bez uprzedniego wysiłku, Przyjdzie do głowy, lecz za godne siebie uznaje jedynie to, co go jeszcze przewyższa, a czego poznanie i zrozumienie wymaga zdwojonego wysiłku.

Przywileje szlachty nie były wynikiem dobrowolnych ustępstw czy łaski, lecz przeciwnie, były przez nią zdobyte. Utrzymywanie tych przywilejów w zasadzie zakładało, iż jednostka uprzywilejowana zdolna jest w każdej chwili do ich obrony, gdyby zaszła tego potrzeba lub gdyby ktoś podawał w wątpliwość ich zasadność.²³ A zatem prywatne prawa czy *przywileje* nie są biernym posiadaniem i dobrodziejstwem, lecz są wyznacznikiem wysiłków danej osoby. Natomiast prawa powszechnie, jak prawa „człowieka i obywatela”, są biernym posiadaniem, czystą korzyścią i dobrodziejstwem, szczodrym darem losu, własnością każdego człowieka, która nie łączy się z żadnym wysiłkiem, podobnie jak oddychanie czy unikanie szaleństwa. Tak więc powiedziałbym, że ma się prawa bezosobowe, a prawa osobiste się podtrzymuje i zabezpiecza.

W najwyższym stopniu denerwująca jest degeneracja w języku potocznym słowa tak pełnego natchnienia jak słowo „szlachectwo”. Ponieważ dla wielu jest ono równoznaczne z dziedzicznym „szlachectwem krwi”, zaczęło ono oznaczać coś w rodzaju praw powszechnych, zaczęło oznaczać jakoś statyczną i bierną, którą się otrzymuje i przekazuje jak bezwładną i bezwolną rzecz. Ale prawdziwe znaczenie, *etymo*, słowa *szlachectwo* jest w swej istocie dynamiczne. Szlachetny to znaczy „znany”, w tym sensie, że znany wszystkim, sławny, ktoś, kto dał się poznać, wybijając się ponad anonimową masę. Określenie to implikuje istnienie jakiegoś szczególnego wysiłku, który dał powody do sławy. Tak więc słowo szlachetny²⁴ jest równoznaczne z określeniem w trudzie wypracowany, doskonały. Szlachectwo czy sława syna to już zwyczajne dobrodziejstwo losu. Syn jest znany, ponieważ ojcu udało się zdobyć sławę. Jest znany z odbicia i szlachectwo dziedziczne w istocie ma charakter pośredni, jest blaskiem odbitym, jest szlachectwem księżycowym, które zawdzięcza się zmarłym. Żywe, autentyczne, dynamiczne jest w nim tylko to, co pobudza potomków do utrzymania tego poziomu wysiłków i trudu, jaki udało się osiągnąć przodkom. Zawsze jednak, nawet w tym bledszym znaczeniu, *noblesse oblige*. Szlachectwo pierwotne samo sobie narzuca obowiązki, natomiast szlachectwo dziedziczne ma zobowiązania wobec swego dziedzictwa. W każdym razie istnieje pewna sprzeczność w przekazywaniu szlachectwa następcom. Bardziej logiczni są Chińczycy, którzy odwracają kierunek przekazywania; nie ojciec uszlachca syna, lecz syn, zdobywszy szlachectwo przekazuje je przodkowi, dzięki swoim wysiłkom uszlachcając swych skromnych ojców i dziadów. Dlatego też nadając szlachectwo, wprowadza się jego gradację, w zależności od tego, ile pokoleń wstecz zostało uszlachconych; są tacy, których wysiłki zostały wynagrodzone jedynie uszlachceniem ojca, ale są i inni, którym zawdzięcza szlachectwo Pięć albo dziesięć pokoleń wstecz. Przodkowie żyją z człowieka współczesnego, którego szlachectwo jest rzeczywiste, żyjące; jednym słowem *jest*, a nie *było*.²⁵

„Szlachectwo” jako określenie formalne pojawia się dopiero w imperium rzymskim i właśnie jako przeciwieństwo szlachectwa dziedzicznego, którego nastąpił schyłek.

Dla mnie szlachectwo to synonim życia pełnego trudu i wyrzeczeń, zawsze gotowego do doskonalenia się, do przechodzenia od tego, co już jest, do wyższych jeszcze celów i obowiązków. Tak rozumiane życie szlachetne jest jaskrawym przeciwieństwem życia pospolitego, bezwładnego, ograniczającego się statycznie do siebie samego, skazanego na wieczne zaskorupienie w sobie, jako że żadna siła zewnętrzna nie zmusza go do wyjścia poza siebie samo.

Dlatego też ludzi w ten sposób żyjących nazywamy masą nie tyle ze względu na ich liczbę, ile ze względu na to, że życie ich jest bezwładne i bezwolne.

Im dłużej żyjemy, tym wyraźniej widzimy, że większość mężczyzn - i kobiet - jest zdolna do podjęcia jakiegoś wysiłku tylko wtedy, gdy wymaga tego zewnętrzna konieczność. Dlatego też te nieliczne, znane nam jednostki, które umieją zdobyć się na spontaniczność i luksus wysiłku, pozostawiają niezatarte piętno w naszej pamięci, nabierając nieledwie monumentalnych wymiarów. To właśnie są ludzie wybrani, szlachetni, jedyjni, którzy umieją być aktywni, a nie tylko reaktywni, dla których życie jest ciągłym napięciem, nieustannym treningiem. Trening = *askesis*. To są właśnie asceci²⁶.

Proszę się nie dziwić tej pozornej dygresji. By móc zdefiniować współczesnego człowieka masowego, który jest tak samo masowy jak zawsze, ale obecnie pragnie zająć miejsce należne ludziom wybitnym, trzeba go przedstawić na tle dwu czystych form, które się w nim pomieszały: normalnej masy i autentycznego szlachectwa. Teraz będziemy szybciej iść naprzód, bo, moim zdaniem, mamy już w ręku klucz czy też psychologiczne równanie, za pomocą którego możemy określić dominujący dziś typ człowieka. Cała reszta jest konsekwencją i następstwem tej podstawowej struktury, którą można streścić następującymi słowami: świat

²² „Pospolitym jest żyć według własnego upodobania. Człowiek szlachetny dąży do porządku i prawa”. *Goethes Werke*, t. V, Hamburg 1952, s. 504 (3 schemat do dramatu *Córka naturalna*). [Źródła cytatów ustalił, sprawdził ich brzmienie z oryginałem, a także wskazał polskie przekłady Tadeusz Namowicz] (przyp. Maria Dietl).

²³ Patrz *Espana invertebrada*, Madrid 1922, s. 156.

²⁴ Po hiszpańsku *noble*, po łacinie *nobilis*, *nobile* oznacza zarówno „szlachetnie urodzony”, jak i „znany”, „ogólnie poważany” (przyp. Maria Dietl).

²⁵ Chodzi tu o sprowadzenie słowa „szlachectwo” do jego pierwotnego sensu, który wyklucza dziedziczenie. Nie ma tu miejsca na analizowanie faktu, że tylekroć w historii pojawiało się „szlachectwo krwi”. Problem ten pozostawiamy tu nienaruszony.

²⁶ Patrz *El origen deportivo del Estado*, w: *El Espectador*, t. VII, Madrid 1930.

stworzony przez wiek XIX, wytwarzając automatycznie nowego człowieka, obdarzył go niebywałymi apetytami, a także potężnymi środkami do zaspokajania tych apetytów, i to we wszystkich dziedzinach - ekonomicznej, fizycznej (rozwój higieny, przeciętny poziom zdrowia lepszy niż kiedykolwiek), państwowo-prawnej oraz w technice (mam tu na myśli olbrzymie nagromadzenie wiedzy cząstkowej oraz praktyczną skuteczność, jaka cechuje współczesnego przeciętnego człowieka, a której w dziejach tak mu brakowało). W XIX wieku, uzyskawszy całą tę potęgę, człowiek, zdany już tylko na siebie samego, zgodnie z właściwą mu naturą zaskorupił się w sobie. Dlatego też mamy obecnie do czynienia z masą potężniejszą niż w jakiegokolwiek innej epoce, która jednak w odróżnieniu od mas tradycyjnych jest sama hermetycznie zamknięta, nie troszczy się o nic i o nikogo i, wierząc w swoją samowystarczalność, staje się niesforna i nieokiełznana.²⁷ Jeśli sprawy potoczą się tak dalej, to z każdym dniem stanie się bardziej widoczne, że w Europie - a przez odbicie na całym świecie - masy coraz mniej będą zdolne poddać się kierownictwu w jakiegokolwiek dziedzinie życia. Możliwe jest, iż w ciężkich godzinach, które nastaną dla naszego kontynentu, masy zżerane niepokojem wykażą chwilowy przypływ dobrej woli i uznają, przynajmniej w pewnych, najbardziej trudnych sprawach, kierownictwo lepszych mniejszości.

Ale nawet dobra wola niewiele tu pomoże. Podstawową tkankę duszy człowieka masowego stanowi hermetyzm i niesforność, bo od samego urodzenia niezdolny jest do uznawania autorytetu zewnętrznego w postaci osób lub czynów. Chciałby iść za kimś, ale nie potrafi. Chciałby słuchać, ale okazuje się, że jest głuchy.

Z drugiej strony nie należy się ludzić, że przeciętny stojący u władzy człowiek, niezależnie od tego, jak podniósł się jego poziom życiowy w porównaniu z ludźmi innych epok, potrafi sam kierować procesem cywilizacyjnym. Powiadam procesem, a nie postępem. Zwykle utrzymanie cywilizacji na obecnym poziomie jest rzeczą niesłychanie skomplikowaną, wymagającą znajomości działania niezliczonej ilości subtelnych mechanizmów. Źle będzie nimi kierował przeciętny człowiek, który wprawdzie nauczył się używania wielu stworzonych przez cywilizację narzędzi, ale równocześnie odznacza się gruntowną nieznajomością zasad leżących u samych podstaw tej cywilizacji.

Raz jeszcze pragnę przypomnieć czytelnikom, którzy cierpliwie czytają te rozważania, by nie nadawali temu, co powyżej napisałem, znaczenia przede wszystkim politycznego. Działalność polityczna, najbardziej skuteczna i najbardziej widoczna odmiana życia publicznego, jest też, z drugiej strony, odmianą ostatnią, wynikającą z innych, bardziej wewnętrznych i nieuchwytnych. Tak więc niesforność polityczna nie byłaby sprawą tak poważną, gdyby nie wynikała z głębszej i bardziej istotnej niesforności intelektualnej i moralnej. A zatem, dopóki nie przeanalizujemy należycie tych ostatnich, nie będziemy w stanie nadać ostatecznej jasności tezom tego eseju.

VIII

Dlaczego masy wtrącają się do wszystkiego i dlaczego czynią to tylko w sposób gwałtowny

Mamy więc do czynienia z sytuacją paradoksalną, ale w gruncie rzeczy całkiem naturalną; wystarczyło, że świat i życie stanęły w całej okazałości przed człowiekiem poślednim, by dusza jego zaskorupiła się w sobie. Uważam, iż bunt mas, ten olbrzymi problem stojący dzisiaj przed ludzkością, polega właśnie na owym zamknięciu się duszy przeciętnego człowieka.

Wiem dobrze, że wielu moich czytelników myśli inaczej niż ja. To także jest rzeczą zupełnie naturalną i tylko potwierdza moją teorię. Gdyby nawet moje twierdzenia okazały się fałszywe, to zawsze jeszcze prawdą będzie to, że wielu z tych czytelników, którzy się ze mną nie zgadzają, nie poświęciło nigdy nawet pięciu minut na przemyślenie całej tej skomplikowanej problematyki. Jakże więc mieliby myśleć tak samo jak ja? Człowiek, który przypisuje sobie prawo posiadania własnego zdania na jakiś temat, nie zadając sobie uprzednio trudu, by go przemyśleć, jest doskonałym przykładem owego niezmiennego i absurdalnego sposobu bycia człowiekiem, który nazwałem „zbuntowaną masą”. To właśnie znaczy mieć duszę hermetycznie zamkniętą. W tym wypadku chodzi o hermetyczność intelektualną. Dany osobnik poruszając się wśród pewnego zbioru idei, który w sobie nosi, zadowala się nimi, uznając się zarazem za intelektualnie dojrzałego i pełnego. Nie zwracając najmniejszej uwagi na to, co się dzieje wokół niego, rozsiada się wygodnie i na stałe wśród swoich własnych idei. Oto właśnie mechanizm zamknięcia się w sobie.

Człowiek masowy uważa się za uosobienie doskonałości. Człowiek wybitny musi być bardzo próżny, by czuć się doskonałym, a jego wiara we własną doskonałość nie jest czymś wrodzonym, czymś pozostającym w organicznym związku z jego osobowością, lecz wynika z jego próżności i nawet dla niego samego ma charakter

²⁷ Na temat niesforności mas, szczególnie mas hiszpańskich, pisałem już w *Espana invertebrada* i do tego chciałbym się tu odwołać.

fikcyjny i problematyczny. Dlatego też człowiek próżny potrzebuje innych, u których szuka potwierdzenia opinii, jaką chciałby mieć o sobie samym. Na szczęście człowiek szlachetny, nawet wtedy, kiedy „zaślepia” go próżność, nie czuje się nigdy prawdziwie doskonały i pełny. Inaczej ma się rzecz z przeciętnym człowiekiem naszych czasów, z nowym Adamem - jemu nie przyjdzie nawet do głowy powątpiewać o własnej doskonałości. Jego wiara w siebie samego jest isticie rajska, tak samo jak wiara Adamowa. Wrodzona hermetyczność duszy wyklucza zaistnienie warunku koniecznego do odkrycia własnej niedoskonałości, jakim jest porównanie siebie z innymi. Porównać się z bliźnim to znaczy wyjść na chwilę z siebie samego i przenieść się do duszy kogoś innego. Ale dusza przeciętna niezdolna jest do transmigracji, najszlachetniejszej formy sportu.

Mamy tu więc do czynienia z taką samą odwieczną różnicą jak ta, która dzieli ludzi na głupich i mądrych. Człowieka mądrego ciągle gnębi obawa o to, by nie zgłupieć, i dlatego podejmuje wysiłki, by umknąć owej nieustannie grożącej głupocie, i na tym właśnie polega inteligencja. Natomiast głupiec nie żywi względem siebie żadnych obaw, czuje się najmądrzejszy na świecie i stąd też bierze się ów godny pozazdroszczenia spokój, z jakim dureń rozsiada się wygodnie w swojej własnej głupocie. Durnia nie sposób wyrwać z objęć własnej głupoty, tak samo jak pewnych owadów nie da się wydobyć z otworu, w którym żyją, nie sposób stworzyć mu chociaż na chwilę oczu i zmusić do porównania własnej skrzywionej wizji świata z bardziej subtelnymi i ostrymi sposobami widzenia otaczającej go rzeczywistości. Głupiec jest niezniszczalny i nieprzenikniony. Dlatego też Anatol France zwykł był mawiać, że człowiek głupi jest znacznie bardziej szkodliwy niż człowiek zły, a to dlatego, że ten drugi czasami odpoczywa, podczas gdy głupiec nigdy.²⁸

Nie chodzi o to, że człowiek masowy jest głupi. Wręcz przeciwnie, dzisiaj jest bystrzejszy i ma większe zdolności intelektualne niż jego poprzednicy w jakiegokolwiek innej epoce. Ale zdolności te do niczego mu nie służą; co więcej, niejasne poczucie, że je posiada, prowadzi jedynie do tego, że jeszcze szczelniej zamyka się w sobie, zupełnie ich nie wykorzystując. Raz na zawsze uznaje za święty zbiór komunałów, szczątków idei, przesądów czy po prostu pustych słów, które za sprawą przypadku nagromadził w swoim wnętrzu, by potem ze śmiałością, którą wytłumaczyć można tylko naiwnym prostactwem, narzucać je innym. To właśnie uznałem, w pierwszym rozdziale tego eseju, za cechę charakterystyczną dla naszych czasów: nie to, że człowiek pospolity wierzy, iż jest jednostką nieprzeciętną, a nie pospolitą, lecz to, że żąda praw dla społeczności czy wręcz domaga się tego, pospolitość stała się prawem.

Panowanie społeczności intelektualnej w dzisiejszym życiu publicznym jest być może najnowszym i najbardziej kontrastującym z przeszłością elementem obecnej sytuacji. W każdym razie nigdy przedtem w historii Europy pospółstwo nie pretendowało do tego, by mieć własne „idee” na temat różnych spraw. Miało swoje przeświadczenia, swoje tradycje, doświadczenia, przysłowia, nawyki myślowe, ale nie rościło sobie pretensji do teoretycznych poglądów na to, czym rzeczy są lub być powinny - na przykład na politykę czy literaturę. Wydawało im się dobre lub złe to, co polityk czynił lub planował czynić; odpowiednio do tego albo go popierali, albo nie, ale ich postawa sprowadzała się zawsze do pozytywnej bądź negatywnej reakcji na twórczą działalność innych. Człowiekowi pospolitemu nie przychodziło nigdy do głowy przeciwstawienie „ideom” polityka jakichś innych, własnych; ani nawet osądzanie „idei” polityka przed trybunałem ewentualnych własnych „idei”. To samo odnosi się do sztuki i innych dziedzin życia publicznego. Wrodzona świadomość własnego ograniczenia i braku kwalifikacji do teoretyzowania²⁹ stanowiła dla niego barierę nie do przebycia. Automatycznym następstwem tego stanu rzeczy było to, że pospółstwo nie myślało nawet o choćby najmniejszym wpływanie na decyzje głównie o teoretycznym charakterze, dotyczące większości dziedzin życia publicznego. Natomiast dzisiaj przeciętny człowiek ma bardziej taksujące „idee” na temat tego, co się we wszechświecie dzieje i co się dzieć powinno. Dlatego też zatracił umiejętność słuchania. Po co słuchać innych, skoro wszystko, czego potrzeba, ma się już we własnym wnętrzu? Teraz już nie czas na słuchanie, a wręcz przeciwnie, na sądenie, wyrokowanie, rozstrzyganie. Nie ma obecnie mowy o życiu publicznym, na które nie miałyby wpływu pospółstwo, jakkolwiek byłoby ślepe i głuche, narzucające wszystkim swoje „poglądy”.

Ale czyż jest to zaleta? Czyż nie znamionuje postępu fakt, że masy mają obecnie „idee”, to znaczy, że są kulturalne? W żadnym razie. Owe „idee” człowieka przeciętnego nie są ideami autentycznymi, ani ich posiadanie nie stanowi o kulturze. Idea szachuje prawdą. Kto chce mieć jakieś idee, musi najpierw łaknąć prawdy i przyjąć reguły gry, jakie to za sobą pociąga. Nie ma sensu mówić o ideach czy poglądach, jeśli się nie uzna instancji, która by je regulowała, szeregu norm, do których można by się odwoływać w dyskusji. Istnienie norm to podstawa kultury. Nieważne, jakie one są. Chodzi mi o to, że nie ma kultury, gdzie nie ma norm, do których mogliby się odwoływać nasi bliźni. Nie ma kultury, gdzie nie ma zasad praworządności, do których można by się odwołać. Nie ma kultury, gdzie nie ma szacunku dla pewnych ostatecznych stanowisk intelektualnych, do których mogłyby się odnieść strony w dyskusji.³⁰ Nie ma kultury, gdzie stosunkami

²⁸ Często zadawałem sobie następujące pytanie: nie ulega wątpliwości, że dla wielu lud./i zawsze jedną z najprzykrejszych udręk życiowych były kontakty czy wręcz zderzenia z głupotą bliźnich. A zatem jak to jest możliwe, że nigdy nie pokuszono się - o ile mi wiadomo - o jakies studium na ten temat, o napisanie *eseju o głupocie*?

²⁹ Nie chodzi tu o zonglerkę słowną: każde formułowanie poglądu je teoretyzowaniem.

³⁰ Jeśli ktoś w dyskusji z nami nie jest zainteresowany w dostosowaniu się do prawdy, jeśli nie chce być prawdziwym, to jest intelektualnym barbarzyńcą. W istocie rzeczy taką właśnie postawę przyjmuje człowiek masowy, kiedy mówi, wykląda czy pisze.

ekonomicznymi nie kierują jakieś ustalone zasady. Nie ma kultury, gdzie w polemikach estetycznych nie uznaje się potrzeby uzasadniania dzieł sztuki.

Kiedy nie ma tego wszystkiego, to nie ma kultury; mamy wtedy do czynienia z barbarzyństwem w dokładnym tego słowa znaczeniu. I to właśnie - nie miejmy złudzeń - zaczyna się w Europie ogarniętej postępującym buntem mas. Podróżnik, który przybywa do barbarzyńskiego kraju, wie, że na jego terytorium nie rządzą żadne zasady, do których można by się odwołać. Nie istnieją normy barbarzyńskie. Barbarzyństwo to brak wszelkich norm i możliwej apelacji.

Wyższy lub niższy stopień kultury mierzy się większą lub mniejszą ścisłością norm. Tam, gdzie jest ona niewielka, normy kierują życiem jedynie *grosso modo*; tam, gdzie jest znaczna, przenikają do najdrobniejszych szczegółów, kierują wszelkiego typu działalnością. Słabość hiszpańskiej kultury intelektualnej, czyli kulturalnego lub zdyscyplinowanego posługiwania się intelektem, nie objawia się w tym, że wie się u nas więcej lub mniej, lecz w zwyczajowym już braku gotowości do poddania się prawdzie, często demonstrowanym przez tych, którzy mówią i piszą. A zatem rzecz nie w tym, by do prawdy dotrzeć lub nie - nie w naszych to jest rękach - lecz w braku skrupułów, który pozwala nie spełniać podstawowych warunków potrzebnych do dotarcia. Zachowujemy się wciąż jak ów nieśmiertelny wiejski księżulo, który zwycięsko odpiera ataki manichejczyków, nie zadając sobie uprzednio trudu, by choćby zainteresować się, na czym polega ich doktryna.

Każdy bez trudu zauważy, że od jakiegoś czasu zaczęły się w Europie dziać „rzeczy dziwne”. Jako konkretny przykład tych dziwnych zjawisk wymienię tu dwa ruchy polityczne: syndykalizm i faszyzm. Nie dlatego wydają się dziwne, że są nowe. Entuzjazm dla nowości jest do tego stopnia zakorzeniony w duszach Europejczyków, że to ich właśnie dziełem była najbardziej niespokojna historia ze wszystkich znanych w dziejach świata. Dziwność tych ruchów nie wynika zatem z tego, że są nowe, lecz z tego, że nowości te mają zaskakujący charakter. Pod postacią syndykalisty czy faszysty po raz pierwszy w Europie pojawia się typ człowieka, który *nie chce drugiemu przyznać racji ani nie pragnie sam mieć racji*, lecz po prostu jest zdecydowany narzucić swoje poglądy innym. I to właśnie jest owa nowość: prawo do tego, by nie mieć racji, podstawa do bezpodstawności. Widzę w tym najbardziej wyczuwalny objaw nowego stylu bycia mas, które zdecydowane są kierować społeczeństwem, nie mając po temu ani zdolności, ani kwalifikacji. Struktura duchowa nowego człowieka objawia się w sposób najbardziej widoczny i brutalny w jego działalności politycznej, ale kluczem do całej sprawy jest hermetyczność intelektualna. Człowiek przeciętny ma w swojej duszy zestaw gotowych „myśli”, brak mu jednak umiejętności myślenia. Nie ma nawet pojęcia o owym subtelnym żywiole, z którego idee czerpią swe soki żywotne. Chce wydawać sądy, ale nie chce uznawać warunków i założeń koniecznych do ich wydawania. Stąd też, praktycznie rzecz biorąc, jego „idee” są niczym innym, jak pragnieniami ujętymi w słowa niczym w muzycznych romansach.

Mieć jakąś ideę to wierzyć, iż posiada ona swe racje, a innymi słowy, wierzyć, iż istnieje jakiś rozum, jakiś świat zrozumiałych prawd. Myśleć, sądzić to tyle, co odwoływać się do owej instancji, uznawać jej nadrzędność, przyjmować jej kodeks i jej wyroki, czyli wierzyć, że wyższą formą współżycia jest dialog między racjami naszych idei. Ale człowiek masowy, podejmując dyskusję, czuje się od razu zagubiony i instynktownie odrzuca konieczność szanowania owej najwyższej instancji będącej poza nim. Dlatego „nowe” w Europie to hasło „koniec z dyskusjami” i niechęć do wszelkich form współżycia, które same przez się powodują poszanowanie norm obiektywnych we wszystkich dziedzinach życia, począwszy od prywatnej rozmowy, przez naukę, aż do parlamentu. Oznacza to odrzucenie współżycia w kulturze, czyli współżycia w ramach jakichś norm i powrót do współżycia barbarzyńskiego. Przechodzi się do porządku dziennego nad normalną procedurą postępowania, dążąc bezpośrednio do narzucenia innym swojego widzimisię i swoich życzeń. Hermetyczność duszy, która - jak już o tym była mowa - skłania masę do interweniowania w każdej dziedzinie życia publicznego, prowadzi nieuchronnie do tego, że jej jedyną procedurą postępowania staje się bezpośrednia akcja.

W dniu, kiedy odtwarzać będziemy genezę naszych czasów, stwierdzimy, że pierwsze tony tej dziwnej melodii rozbrzmiewały już w grupach syndykalistów i francuskich realistów, którzy około roku 1900 odkryli nowy sposób działania nazwany „bezpośrednią akcją”. Człowiek zawsze odwoływał się do gwałtu; czasami były to po prostu czyny kryminalne, ale te nas tutaj nie interesują. W innych natomiast wypadkach do przemocy uciekali się ludzie, którzy, działając w obronie rozumu lub sprawiedliwości, w którą wierzyli, wyczerpali już wszelkie inne możliwe środki. Rzeczą pożałowania godną jest to, że kondycja ludzka zmusza nas co jakiś czas do uciekania się do tego rodzaju gwałtów, trudno jednak zaprzeczyć, iż jest to wyraz najwyższego hołdu dla rozumu i sprawiedliwości. Bo przecież tego typu przemoc nie jest niczym innym jak powstaniem rozumu przeciwko sobie samemu. Siła staje się faktycznie *ultima ratio*. Dostyć głupio zwykło się ujmować to powiedzenie jako ironiczne, choć oddaje ono dobrze myśl o pierwotnym podporządkowaniu siły normom racjonalnym. Cywilizacja jest niczym innym jak próbą sprowadzenia siły do *ultima ratio*. Obecnie widać to aż za dobrze, bo „bezpośrednia akcja” jest odwróceniem porządku i proklamacją gwałtu jako *prima ratio*, a dokładniej rzecz biorąc, jako jedynej racji. Ta właśnie norma sugeruje odrzucenie wszelkich norm i przekreślenie wszelkiego typu działań pośrednich pomiędzy wytknięciem sobie celu i jego osiągnięciem. To *Magna Charta* barbarzyństwa.

Należy tu przypomnieć, że kiedy masy wkraczają w życie publiczne, to niezależnie od motywów, jakie nimi powodują, czynią to zawsze w formie „bezpośredniej akcji”. A więc był to zawsze właściwy masom sposób działania. Pojawienie się oficjalnie pojęcia „bezpośredniej akcji” jako uznanej normy właśnie teraz, kiedy decydujący wpływ mas na życie publiczne przestał być czymś przypadkowym i sporadycznym, wyraźnie potwierdza tezę przewodnią tego eseju.

Całość współzycia ludzkiego dostała się pod panowanie nowego systemu odrzucającego wszelkie instancje pośrednie. W stosunkach międzyludzkich odrzucone zostało „dobre wychowanie”. Literatura przyjmująca postać „bezpośredniej akcji” to obelga. W stosunkach seksualnych zniesione zostają stopnie pośrednie.

Stopnie pośrednie, kurtuazja, obyczaje, sprawiedliwość, rozum! Skąd się to wszystko wzięło, po co stworzono tyle komplikacji? Można to streścić w jednym słowie: „cywilizacja”, które wywodzi się od idei *civis*, od pojęcia obywatela. Chodzi o to wszystko, co umożliwia istnienie miasta, wspólnoty czy w ogóle jakiegokolwiek współzycia między ludźmi. Dlatego też jeśli na wszystkie te elementy cywilizacji spojrzymy od środka, to stwierdzimy, iż mają one ten sam rdzeń. U podłoża ich wszystkich leży rdzenne i coraz to silniejsze dążenie do tego, by każdy człowiek liczył się z innymi. Cywilizacja jest zatem przede wszystkim wolą współzycia. Im mniej się ktoś liczy z innymi, tym mniej jest cywilizowany i tym bardziej barbarzyński. Barbarzyństwo jest tendencją do rozdzielania się. Dlatego też wszystkie epoki barbarzyństwa były okresami rozpraszania się ludzkości na wiele malutkich, oddzielnych i wzajemnie sobie wrogich grup.

W polityce formą, która reprezentuje najwyższy poziom woli współzycia, jest demokracja liberalna. Doprowadza ona do krańcowości postulat liczenia się z bliźnimi, stając się modelowym przykładem „akcji pośredniej”. Liberalizm to zasada prawa politycznego, według którego władza publiczna, mimo swej potęgi, sama sobie narzuca ograniczenia, tak aby nawet kosztem tej władzy zostawić w rządonym przez siebie państwie miejsce do życia dla wszystkich tych, którzy nie myślą ani nie czują tak jak ona, czyli tak jak silniejsi, jak większość. Liberalizm - należy to dziś przypomnieć - jest najwyższą formą wspaniałomyślności, jest prawem, które większość nadaje mniejszościom i jako takie jest najszlachetniejszym wołaniem, jakie rozległo się na ziemi od zarania jej dziejów. Proklamuje wolę współzycia z wrogiem, a co więcej, z wrogiem słabszym od siebie. Jest rzeczą wprost nieprawdopodobną, by rodzaj ludzki był w stanie dojść do czegoś tak pięknego, tak paradoksalnego, tak eleganckiego, tak akrobatycznego i zarazem tak nienaturalnego. Dlatego też nie powinno nas specjalnie dziwić, że nagle ten sam rodzaj ludzki wydaje się zdecydowany wszystko to odrzucić. Za trudne to zadanie i zbyt skomplikowane, by mogło na ziemi przyjąć się na trwałe.

Współżyć z wrogiem! Rządzić, dopuszczając do głosu opozycję! Czyż taka słabość nie wydaje się już czymś zupełnie niezrozumiałym? Coraz mniejsza liczba państw, w których dopuszcza się istnienie opozycji, jest najcięższym oskarżeniem, jakie można rzucić obecnej rzeczywistości. W prawie wszystkich współczesnych państwach jednorodna masa ciśnie na władzę publiczną, miażdżąc i zmiatając z powierzchni ziemi wszystkie grupy opozycyjne. Masa - któż by to pomyślał, mając przed oczami ów ciasno zbity tłum? - nie pragnie współzycia z nikiem, kto do niej nie należy. Masa śmiertelnie nienawidzi wszystkiego, co nie jest nią samą.

IX Prymitywizm i technika

Chciałbym zatem jeszcze raz mocno podkreślić, że jesteśmy obecnie pogrążeni w rozważaniach na temat określonej sytuacji, czyli sytuacji obecnej, która jest w sposób istotny dwuznaczna. Wspominałem już na początku o tym, że wszystkie elementy współczesnej sytuacji, a w szczególności bunt mas, mają dwa oblicza. Każde z nich nie tylko dopuszcza, ale wręcz domaga się dwoistej interpretacji: pozytywnej i negatywnej. Dwuznaczność ta nie leży w naszych poglądach, lecz w samej rzeczywistości. Nie chodzi o to, że współczesna sytuacja może nam się wydawać z jednej strony dobra, a z drugiej zła, lecz o to, że sama w sobie zawiera potencjalnie dwie możliwości: triumfu i śmierci.

Nie chciałbym obciążać tego eseju zbędnym balastem metafizyki dziejów, ale jest przecież rzeczą oczywistą, że w tym, co piszę, opieram się na fundamencie swoich przekonań filozoficznych, które wyłożyłem lub o których napomykałem w innych pracach. Nie wierzę w bezwzględne zdeterminowanie dziejów. Wręcz przeciwnie, uważam, że wszelkie życie, a zatem również życie historyczne, składa się z odrębnych momentów stosunkowo słabo od siebie wzajemnie uzależnionych, w każdym z nich rzeczywistość waha się, drepcze w miejscu, nie wiedząc właściwie, na co się zdecydować, jaką obrać drogę spośród wielu otwierających się możliwości. Metafizyczne wahanie i niepewność nadaje życiu ową niepowtarzalną wibrację i drzenie.

A więc, bunt mas *może* być etapem przejściowym do nowej, z niczym nie porównywalnej organizacji ludzkości, ale *może* także okazać się dla ludzkości katastrofą. Nie ma powodów po temu, by przeczyć

rzeczywistości postępu, ale konieczne jest także skorygowanie wiary w to, iż postęp jest czymś pewnym i oczywistym. Będziemy w lepszej zgodzie z faktami, jeśli uznamy, że nie ma żadnego pewnego postępu, żadnej ewolucji, którym by nie groziła „inwolucja” i cofnięcie. Wszystko, dosłownie wszystko jest w dziejach możliwe, zarówno zwycięski, niczym nie ograniczony postęp, jak i okresowa regresja. A dzieje się tak dlatego, że życie, zarówno indywidualne, jak i zbiorowe, osobiste, jak i historyczne, jest jedynym elementem wszechświata, którego istotą jest zagrożenie. Składa się ono z samych niebezpieczeństw. Dokładnie rzecz biorąc jest ono dramatem.³¹

To, co jest prawdą w ogóle, nabiera jeszcze większej intensywności w „momentach krytycznych”, jak ten, w którym się obecnie znajdujemy. A zatem objawy nowego sposobu zachowania, jakie obserwujemy w obecnym, opanowanym przez masy świecie, o wspólnym mianowniku „bezpośredniej akcji”, mogą również zwiastować przyszłą doskonałość. Jest rzeczą oczywistą, że każda stara kultura, rozwijając się, wlecze za sobą starą tkankę i niemały ciężar skostniałych substancji szkodliwych dla życia, a nawet trujących. Istnieją instytucje martwe, wartości już przeżyte i pozbawione znaczenia, rozwiązania niepotrzebnie skomplikowane, normy, które stały się nieistotne. Wszystkie te elementy akcji *pośredniej*, czy cywilizacji przejść muszą przez okres gorączkowego uproszczenia. Romantyczne fraki i gorsy aż proszą się o zemstę obecnych rozchełstanych i nonszalanckich „podwiniętych rękawów”. W tym wypadku uproszczenie oznacza higienę i lepszy gust, a zatem jest rozwiązaniem doskonalszym, jak to zawsze bywa, kiedy udaje się osiągnąć więcej przy mniejszej liczbie środków. Romantyczne drzewo miłości też wymagało ogrodniczych zabiegów, by mogły zeń odpaść doczepione do gałęzi sztuczne magnolie, a także skłębione i powykręcane pnącza i konary uniemożliwiające swobodne rozkoszowanie się słońcem.

W ogóle życie publiczne, a w szczególności polityka, wymagały pilnego nawrotu do autentyzmu; Europa nie byłaby w stanie dokonać prężnego skoku naprzód, jakiego od niej oczekiwali optymiści, gdyby nie zrzuciła z siebie krepujących ją szat, gdyby nie ograniczyła się do tego, co najistotniejsze, gdyby nie wróciła do siebie samej. Entuzjazm, jaki żywie dla nagości i autentyczności, świadomość, że jest to rzecz nieuchronna, jeśli mamy przygotować nadejście godnej szacunku przyszłości, skłania mnie do żądania pełnej wolności w mówieniu i myśleniu o przeszłości. To przyszłość powinna panować nad przeszłością i ona to określa nasze zachowanie i stosunek do tego, co było.³²

Rzecz jednak w tym, by nie popełnić głównego grzechu wszystkich rządzących wiekiem XIX: braku poczucia własnej odpowiedzialności, która powodowała uspienie czujności i zanik gotowości działania. Wybór drogi najmniejszego oporu, jaką stwarza rozwój wypadków, lekceważących niebezpieczeństwa i zwiastujące je znaki nawet w okresach najbardziej pomyślnych, to właśnie brak odpowiedzialności. Dzisiaj należy w tych, którzy są do tego zdolni, rozwijać poczucie szczególnej odpowiedzialności i rzeczą najpilniejszą wydaje się ciągle podkreślanie groźby, jaką kryją w sobie pewne objawy występujące obecnie w naszym życiu.

Nie ulega kwestii, że w ocenie bilansu naszego życia publicznego czynniki szkodliwe mają znaczną przewagę nad czynnikami korzystnymi, zwłaszcza gdy w naszych rozważaniach weźmiemy pod uwagę nie tyle chwilę obecną, ile to, co one zwiastują na przyszłość.

Cały przyrost konkretnych możliwości, jakich zazała życie, może w pewnym momencie zostać sam przez siebie unicestwiony w zderzeniu z najstraszniejszym problemem europejskiego przeznaczenia, jakim jest - jeszcze raz powtarzam - to, że przewodnictwo społeczne dostało się obecnie w ręce ludzi, których nie interesują zasady cywilizacji. Nie chodzi o to, że nie interesują ich zasady tej czy innej cywilizacji; z tego, co można sądzić w chwili obecnej, nie obchodzą ich zasady żadnej cywilizacji. Zajmują ich, oczywiście, środki uspokajające, samochody i kilka jeszcze rzeczy. To tylko potwierdza zasadniczy brak zainteresowania kulturą. Rzeczy te są jedynie jej wytworami i zapał, z jakim się do nich podchodzi, jeszcze ostrzej uwypukla brak wrażliwości na zasady, które im samym dały początek. Wystarczy tu zwrócić uwagę na jeden fakt: od kiedy istnieją *nuove scienze*, nauki fizyczne - a więc od czasów odrodzenia - zapał do nich ciągle wzrasta. Dokładniej rzecz biorąc: z pokolenia na pokolenie proporcjonalnie coraz większa była liczba osób zajmujących się tymi czysto

³¹ Nie muszę chyba dodawać, że nikt prawie nie bierze poważnie tych stwierdzeń, a nawet ci, którzy mają po temu jak najlepsze intencje, rozumieją je jako zwykłe, poniekąd wzruszające, metafory. Jedynie czytelnik dość prostoduszny i szczery, który nie jest bynajmniej przekonany o tym, iż wie doskonale, czym jest życie albo przynajmniej czym ono nie jest, zdolny jest pojąć pierwotne znaczenie tych określeń i to właśnie on je *rozumie*, niezależnie od tego, czy są one prawdziwe czy fałszywe. Wśród wszystkich pozostałych panuje ostantacyjna jednomyślność, z jedną tylko różnicą: jedni uważają, iż *mówiąc poważnie, życie jest* egzystencjalnym procesem zachodzącym w ludzkiej duszy, a drudzy są zdania, że jest ono ciągiem następujących po sobie reakcji chemicznych. Wątpię, czy polepszy to moją sytuację w oczach tych hermetycznie zamkniętych w sobie czytelników, jeśli cały swój sposób myślenia streszczę powiadając, że *pierwotne i podstawowe* znaczenie wyrazu „życie” pojawia się wtedy, kiedy się go używa w biografii, a nie w biologii. Dzieje się tak z tej prostej przyczyny, że każda biologia jest w ostatecznym rachunku jedynie rozdziałem określonych biografii, jest tym, czym zajmują się w swoim życiu (dającym się ująć w biografii) biologowie. Cała reszta to abstrakcja, fantazja i mity.

³² Owa lekkość w stosunku do przeszłości nie jest więc spowodowana rozdrażnieniem rebelii, lecz wręcz przeciwnie, zupełnie oczywistym obowiązkiem każdej „epoki krytycznej”. Jeśli bronię dziewiętnastowiecznego liberalizmu przed masami, które go w sposób niecywilizowany atakują, to wcale nie znaczy, że wyrzekam się pełnej swobody w traktowaniu tegoż liberalizmu. Na odwrót: prymitywizm, który w tym eseju ukazuje swe najbardziej odpychające oblicze, jest z drugiej strony i w pewnym sensie nieodzownym warunkiem każdego większego, historycznego kroku naprzód. Patrząc, co kilka lat temu napisałem na ten temat w eseju *Biologia y Pedagogia*, w: *El Espectador*, t. III, Madrid 1921, r. „La paradoja del salvajismo”.

teoretycznymi badaniami. Po raz pierwszy do zastoju w tej dziedzinie - powtarzam, proporcjonalnie rzecz biorąc - doszło w obecnym pokoleniu ludzi między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia. Coraz trudniej znaleźć dziś nowych kandydatów do pracy w laboratoriach nauk ścisłych, a dzieje się tak właśnie w okresie szczytowego rozwoju przemysłu, kiedy ludzie przejawiają coraz większe zapotrzebowanie na narzędzia i leki tworzone przez naukę i technikę.

Gdybyśmy mieli czas i miejsce, to można by wyliczyć podobne przykłady niespójności w polityce, sztuce, moralności, religii i w innych sferach życia codziennego.

Co oznacza ta paradoksalna sytuacja? Zamierzeniem mego eseju jest właśnie sformułowanie odpowiedzi na to pytanie. A więc oznacza to, że dominujący obecnie typ człowieka to prymityw, to *Naturmensch*, który pojawił się pośród cywilizowanego świata. Świat jest cywilizowany, lecz nie są cywilizowani jego mieszkańcy: nie zdają sobie nawet sprawy z istnienia cywilizacji, po prostu używają jej tak, jak gdyby to była przyroda. Nowy człowiek pożąda samochodu i cieszy się nim, wierząc, iż jest to zwykły owoc jakiegoś rajskiego drzewa. Nie dociera do niego sztuczny charakter cywilizacji, a jego zapal do narzędzi nie obejmuje już zasad, dzięki którym możliwe było ich powstanie. Kiedy wcześniej parafrazowałem słowa Rathenaua mówiąc, że jesteśmy obecnie świadkami „wertikalnej inwazji barbarzyńców”, można było uznać - jak to się często robi - iż jest to po prostu „zgrabne powiedzonko”. Teraz widzimy, że stwierdzenie to może być prawdą lub fałszem, ale że jest przeciwieństwem „zgrabnego powiedzonka”, że jest to formalna definicja zawierająca w sobie wyniki całej skomplikowanej analizy. Współczesny człowiek masowy jest faktycznie prymitywem, który bocznymi drzwiami wślizgnął się na starą i szacowną scenę cywilizacji.

Mówi się dzisiaj wiele o wprost niebывалych postępach techniki, ale nie zauważyłem, by nawet ludzie najinteligentniejsi mieli świadomość dosyć dramatycznie wyglądającej przyszłości. Nawet Spengler, tak subtelny i głęboki - chociaż zarazem wielki dziwak - w tym wypadku wydaje mi się zbyt optymistą. Twierdził, iż po epoce „kultury” nastąpi epoka „cywilizacji”, mając na myśli przede wszystkim technikę. Spenglerowska idea „kultury”, a dziejów w ogólności, jest tak odległa od tej, jaką wyłożyłem w tym eseju, iż trudno tu nawet w dużym uproszczeniu komentować wnioski, do jakich doszedł. Dokonując pewnego przeskoku i pomijając szczegóły, by móc sprowadzić do wspólnego mianownika nasze punkty widzenia, tak z grubsza można by przedstawić nasze rozbieżności: Spengler uważa, że technika może istnieć dalej, nawet wówczas, gdy zaniknie jakiegokolwiek zainteresowanie dla zasad leżących u podstaw kultury. Ja w to nie wierzę. Technika to w istocie rzeczy nauka, a nauka nie może istnieć, kiedy zabraknie zainteresowania nią samą. Stanie się tak, jeśli ludzie przestaną okazywać zapal do ogólnych zasad kultury. Kiedy zainteresowanie tymi sprawami zupełnie zaniknie - co zdaje się właśnie mieć miejsce - technika będzie w stanie przetrwać jeszcze jakiś czas, tak długo, jak długo trwać będzie rozpęd nadany jej przez kulturę, która ją stworzyła. Żyje się z techniką, ale nie z techniki. Ona sama ani nie oddycha, ani się nie potrafi wyżywić, nie jest *causa sui*, lecz praktycznym rezultatem wydawałoby się nikomu niepotrzebnych, teoretycznych rozważań.³³

Twierdząc więc, że obecne zainteresowanie techniką nie gwarantuje niczego, a już najmniej jej postępu czy choćby przetrwania. Słusznie uważa się technicyzm za jedną z cech charakterystycznych „nowoczesnej kultury”, to znaczy kultura, w skład której wchodzi ten rodzaj nauki, który rodzi korzyści materialne. Dlatego chcąc krótko scharakteryzować współczesne aspekty życia, które przekazał nam wiek XIX, wystarczy wymienić dwa elementy: demokrację liberalną i technikę.³⁴ Ale zdumiewa mnie lekkość, z jaką mówiąc o technice zapomina się o tym, że soki żywotne czerpie ona z nauk teoretycznych i że warunkiem jej postępu jest istnienie możliwości rozwoju tych właśnie nauk. Czy myślano kiedy o tym wszystkim, co w dalszym ciągu musi tkwić w umysłach ludzkich, by dalej mogli się pojawiać prawdziwi „ludzie nauki”? Czy naprawdę poważne jest przekonanie o tym, że jak długo istnieć będą dolary, tak długo trwać będzie nauka? Idea ta, w której wielu ludzi znajduje uspokojenie, jest niczym innym, jak tylko jeszcze jednym dowodem prymitywizmu.

Nie chodzi tu o największą nawet liczbę najróżniejszych składników, które wystarczy zlać do jednego naczynia i dobrze wstrząsnąć, by uzyskać koktajl nauk fizykochemicznych! Nie potrzeba szczególnie zagłębiać się w temacie, by stwierdzić oczywisty fakt, że nauki fizyko-chemiczne w całej rozciągłości wieków i na całym obszarze kuli ziemskiej zdołały się ukonstytuować i w pełni rozwinąć w niewielkim czworoboku, w który wpisany jest Londyn, Berlin, Wiedeń i Paryż. A również w tym czworoboku miało to miejsce tylko w wieku XIX. Dowodzi to, iż nauki eksperymentalne są jednym z najdziwniejszych i najbardziej nieprawdopodobnych twórców historii. Czarownicy, kapłani, wojownicy i pasterze znani byli zawsze i wszędzie. Ale, jak się okazuje, po to, by na świecie mogła się pojawić owa nowa fauna ludzi-eksperymentatorów, musiały powstać warunki dziwniejsze i bardziej nieprawdopodobne od tych, jakich wymagają narodziny jednorożca. Tak

³³ Dlatego też, moim zdaniem, niczego nie wyjaśnia ten, komu się wydaje, że coś wyjaśnia powiadając, że Amerykę Północną określa jej „technika”. Jedną ze spraw, które w sposób niesłychanie poważny zakłócają świadomość europejską, jest zbiór dziecinnie naiwnych przesądów na temat Ameryki Pomocnej, które usłyszeć można nawet z ust ludzi wykształconych i kulturalnych. Jest to szczególnie przypadek zachwiania proporcji, o czym będę jeszcze dalej mówił, pomiędzy zawilocią współczesnych problemów a zdolnością chłonną umysłów ludzkich.

³⁴ Dokładniej rzecz biorąc, demokracja liberalna i technika wzajemnie się implikują, będąc ze sobą tak ściśle związane, że nie sposób wyobrazić sobie jednej bez drugiej i dlatego należałoby znaleźć trzecie słowo, które zawierałoby w sobie oba te znaczenia. Byłaby to dopiero prawdziwie adekwatna nazwa na określenie wieku XIX.

naoczny i oczywisty fakt powinien nas zmusić do zastanowienia się nad ulotnym i nieuchwytnym charakterem inspiracji naukowej³⁵. Szczęśliwi ci, którzy wierzą, że jeśli Europa zginie, to rozwój nauki będą mogli kontynuować Amerykanie!

Ważną sprawą byłoby gruntowne zgłębienie i dokładne wyszczególnienie historycznych korzeni nauk eksperymentalnych, a co za tym idzie, techniki. Ale nie łudźmy się, że nawet jeśli sprawę ostatecznie wyjaśnimy, to człowiek masowy będzie chciał ją zrozumieć. Nie uwzględnia on żadnych racji, przekonać się może jedynie, kiedy odczuwa coś na własnej skórze.

Jest jednak pewna przyczyna, która nie pozwala mi na stracenie złudzeń co do skuteczności prawienia tych racjonalnych, a więc subtelnych morałów. Czy nie jest zbyt absurdem, że w obecnych warunkach przeciętny człowiek nie odczuwa spontanicznie, bez potrzeby żadnych kazań, najwyższego zapału do wspomnianych nauk i do zrodzonej przez nie biologii? Zastanówmy się bowiem nad obecną sytuacją: podczas gdy wszelkie inne dziedziny kultury stały się w sposób oczywisty mocno problematyczne - polityka, sztuka, normy społeczne, a nawet moralność - jedna tylko codziennie dowodzi, w sposób najbardziej bezdyskusyjny i najłatwiej dostrzegalny dla mas, swej wspaniałej skuteczności: jest to dziedzina nauk empirycznych. Każdego dnia umożliwia stworzenie nowego wynalazku, z którego korzystają przeciętni ludzie. Każdego dnia powstaje za jej sprawą nowy środek przeciwbólowy czy nowa szczepionka, będące dobrodziejstwem przeciętnego człowieka. Cały świat wie, że jeśli nie ulegnie osłabieniu inspiracja naukowa, jeśli trzykrotnie, a nawet dziesięciokrotnie zwiększy się liczba laboratoriów, to zwiększy się automatycznie bogactwo, wygoda, zdrowie i dobrobyt. Czyż można sobie wyobrazić doskonalszą i bardziej przekonującą propagandę na rzecz którejś z zasad naszego życia? Jak to się dzieje, że jednak mimo to nie ma cienia wątpliwości, że masy nie są gotowe do najdrobniejszych nawet wyrzeczeń finansowych w celu lepszego wyposażenia nauki? Wręcz przeciwnie, ludzie nauki stali się po wojnie nowymi pariasami społecznymi. Zaznaczam, iż mam tu na myśli fizyków, chemików i biologów - a nie filozofów. Filozofii nie jest potrzebna ani opieka, ani uwaga, ani sympatia mas. Chętnie podtrzymuje pogląd o swej zupełnej bezużyteczności³⁶, uwalniając się tym samym od jakiegokolwiek przydatności dla ludzi masowych. Sama siebie ma za istotę problematyczną, przyjmując z radością swobodę niebieskiego ptaka, nie proszącego nikogo o uwagę, o obronę czy zrozumienie. Cieszy się zwyczajną ludzką radością, jeśli się komuś do czegoś przyda; ale soków żywotnych nie czerpie z przynoszonych innym korzyści - ani ich potrzebuje, ani o nie dba. Jak mogłaby mieć komuś za złe, że jej nie bierze poważnie, skoro sama ma wątpliwości co do własnej egzystencji i żyje o tyle, o ile sama siebie zwalcza, sama sobie odmawia życia? Pozostawmy więc filozofię na boku, bo to innego rodzaju przygoda.

Ale nauki eksperymentalne potrzebują mas tak samo, jak one ich potrzebują, jeśli nie mają zginąć. Bez tych nauk ludzkości groziłaby katastrofa, bez fizyki i chemii nie można już wyżywić wszystkich mieszkańców naszej planety.

Czyż można oczekiwać, że racjonalne przestrogi będą miały większą moc przekonującą niż samochód, którym ci ludzie jeżdżą, czy zastrzyk pantoponu, który w sposób *cudowny* uśmierza ich ból! Brak równowagi między ciągle odczuwalnymi i potencjalnymi dobrodziejstwami nauki a okazywanym jej zainteresowaniem jest tak zastraszający, że po tych zachowaniach można już dziś oczekiwać jedynie barbarzyństwa. *Tym bardziej, że z tego, co można zauważyć, owo lekceważenie nauki jako takiej w sposób najbardziej wyrazisty manifestują, w olbrzymiej swej masie, sami technicy - lekarze, inżynierowie itd. Wykonują zazwyczaj swą pracę, pozostając w istocie rzeczy w identycznym stanie ducha jak ci, którzy zadowolają się używaniem samochodu czy kupnem aspiryny - nie przejawiają nawet cienia głębokiej solidarności z przyszłymi losami nauki i cywilizacji. Są i tacy, których bardziej niepokoją inne objawy rodzącego się barbarzyństwa, które dobywając coś na jaw, a nie pomijając, przez to działanie bardziej rzucają się w oczy i przekształcają się w widowisko. Dla mnie rzeczą najstraszniejszą jest owa dysproporcja pomiędzy korzyściami, jakie przeciętny człowiek czerpie z nauki, a wdzięcznością, którą jej okazuje, lub raczej której nie okazuje.*³⁷ Ten brak należytej wdzięczności uwypuklić można przypomnieniem, iż Murzyni w Afryce centralnej również jeżdżą samochodami i używają aspiryny. Typ Europejczyka, który obecnie *zaczyna* dominować - taka jest moja hipoteza - byłby w *stosunku do skomplikowanej cywilizacji, w której się narodził, człowiekiem prymitywnym, barbarzyńcą, który wyłonił się spod sceny świata, „wertikalnym najeźdźcą”*.

³⁵ Nie mówimy tu o sprawach głębszych. Większość samych naukowców nie ma dziś nawet najmniejszego pojęcia o niesłychanie poważnym i niebezpiecznym kryzysie wewnętrznym, który drąży ich nauki.

³⁶ Arystoteles, *Metafizyka*, 892 a 10.

³⁷ Monstrualność tego zjawiska po stokroć wzrasta, jeśli sobie uprzytomnimy to, o czym była już uprzednio mowa, mianowicie że wszystkie inne zasady, z których europejska kultura czerpie soki życiowe, takie jak: polityka, prawo, sztuka, moralność, religia, same przeżywają kryzys, znajdując się - przynajmniej przejściowo - w upadku. Jedynie nauka nie chyli się ku upadkowi, jej osiągnięcia są z każdym dniem bardziej obiecujące. Nie ma tu więc konkurencji i nie można wyjaśniać okazywanych jej przez człowieka przeciętnego przejawów niechęci i lekceważenia tym, że zaabsorbował go entuzjazm wobec innej dziedziny kultury.

X

Prymitywizm a historia

Przyroda jest czymś zastanym. Istnieje sama przez się. Na łonie natury, w dziczy, możemy bezkarnie być dzikusami. Możemy się nawet zdecydować na zawsze nimi pozostać, ryzykując co najwyżej spotkanie z innymi istotami, które nimi nie będą. W zasadzie możliwe jest istnienie ludów wiecznie pierwotnych. I są takie. Breyszig nazwał je „ludami wiecznej jutrzeńki”; zatrzymały się one w stadium bezruchu jakby zamrożonego poranka, który nigdy nie przejdzie w żadne południe.

Tak dzieje się w świecie, który jest tylko Przyrodą. Inaczej jest w świecie, który jest cywilizacją, jak nasz. Cywilizacja nie jest czymś zastanym, nie istnieje sama przez się. Jest tworem - a zatem wymaga istnienia twórcy czy rzemieślnika. Jeśli chce Pan korzystać z owoców cywilizacji, ale nie będzie Pan dbał o jej utrzymanie..., to bardzo się Pan rozczaruje! W dwóch wypadkach na trzy znajdzie się Pan nagle bez cywilizacji. Chwila nieuwagi, i kiedy się Pan rozejrzy wokół siebie, okaże się, że wszystko uleciało! Zupełnie jakby ktoś zdarł tapety, które pokrywały Przyrodę, pojawi się nagle wokół Pana czysta i niczym nie zepsuta, prymitywna dzicz. Dzicz zawsze jest prymitywna. I na odwrót, j Wszystko, co prymitywne, to dzicz.

Romantyków wszystkich epok pociągały sceny przemocy, kiedy to żywioł naturalny i przedludzki powracał, aby zadać gwałt człowieczej słabości kobiety. Malowali więc ląbedzia pokrywanego przerażoną Ledę, byka z Pazyfae oraz Antiope gwałconą przez kozła. Uogólniając, można by powiedzieć, że dla romantyków krajobraz ruin, gdzie dzika roślinność dusi w swym uścisku kamienie o geometrycznych kształtach, będące tworem cywilizacji, miał w sobie coś nieuchwytnie nieprzyzwoitego. Kiedy prawdziwy romantyk zobaczy nową dla siebie budowlę, od razu szuka wzrokiem, gdzieś na akroterium czy może w załomach dachu, jakiejś najmniejszej choćby roślinki. Bowiem zwiastuje ona, że w końcu wszystko jest ziemią, że wszędzie kiedyś znowu zakiełkuje dzicz.

Glupotą byłoby śmiać się z romantyków. Oni również mają rację. W tych niewinnie perwersyjnych obrazach tkwi wielki i odwieczny problem stosunków między cywilizacją a stojącą za nią przyrodą, między tym, co racjonalne, a tym, co kosmiczne. Jestem nawet gotów zająć się tym przy innej sposobności, a także stać się w odpowiedniej chwili romantykiem.

Teraz jednak czeka mnie inne zadanie. Chodzi o powstrzymanie nacierającej dziczy. „Dobry Europejczyk” powinien obecnie skupić swą uwagę na problemie, który, jak wiadomo, stanowi poważną troskę stanów australijskich, a więc jak przeszkodzić temu, by opuncje nie zajmowały coraz większego obszaru i nie spychały ludzi do morza. W latach czterdziestych ubiegłego wieku jakiś śródziemnomorski emigrant - może z Malagi, może z Sycylii? - przepelniony miłością do ojczyźnych stron, zabrał ze sobą do Australii maleńką opuncję. Obecnie Poważna część rocznego budżetu tego kraju przeznaczona jest na zwalczanie opuncji, która zdobyła kontynent, zagarniając co roku nowy kilometr kwadratowy terenu.

Człowiek masowy jest przekonany, że cywilizacja, w której się urodził i z której korzysta, jest czymś równie spontanicznym i pierwotnym jak przyroda, i *ipso facto* staje się prymitywem. Wydaje mu się, że cywilizacja to dzicz. Już o tym mówiłem, ale teraz trzeba to twierdzenie uściślić.

Zasady leżące u podstaw świata cywilizowanego, który należy utrzymać przy życiu, dla współczesnego człowieka przeciętnego nie istnieją. Nie interesują go wartości leżące u podstaw kultury, nie solidaryzuje się z nimi, nie czuje się wcale skłonny do tego, by im służyć. Jak to się stało? Istnieje po temu wiele powodów, ale teraz chciałbym się szczególnie zająć jednym z nich.

Cywilizacja, w miarę swego rozwoju, staje się coraz bardziej skomplikowana i coraz trudniejsza. Problemy, przed którymi obecnie stoimy, są niesłychanie splecione. Coraz mniej jest ludzi, których umysł jest w stanie im sprostać. Okres powojenny jest dobrym tego przykładem. Odbudowa Europy - jak to wyraźnie widać - jest sprawą nader skomplikowaną i przekracza możliwości przeciętnego Europejczyka. Nie chodzi o to, że zabrakło po temu środków. Brakuje głów. Dokładniej rzecz biorąc: jest kilka takich głów, choć bardzo niewiele; ale ordynarne cielsko Europy Środkowej nie chce ich osadzić na swojej szyi.

Dysproporcje między złożoną subtelnością problemów do rozwiązania a poziomem umysłów staną się jeszcze większe, jeśli nie znajdzie się jakiś środek zaradczy i to właśnie jest największym dramatem naszej cywilizacji. Opiera się ona na trafnych i płodnych zasadach i dlatego zwiększa się ilościowo i jakościowo jej dorobek, przekraczając możliwości odbioru normalnego człowieka. Nie sądzę, by podobna sytuacja istniała kiedykolwiek w przeszłości. Wszystkie dotychczasowe cywilizacje zginęły na skutek niedostatków zasad, na których zostały zbudowane. Cywilizacji europejskiej grozi coś wręcz przeciwnego. W Grecji i Rzymie nie zawiódł człowiek, lecz jego zasady. Imperium rzymskie upadło na skutek braku odpowiedniej techniki. Świat starożytny osiągnął znaczną liczbę ludności i tak szeroka społeczność wymagała rozwiązania pewnych problemów materialnych, którego dokonać mogła jedynie technika. Jej brak doprowadził do powikłań, regresji i zniszczenia kultury antycznej.

Obecnie zawodzi człowiek, nie nadążając za rozwojem własnej cywilizacji. Z przykrością słucha się wypowiedzi ludzi stosunkowo kulturalnych i wykształconych na najbardziej istotne tematy dnia dzisiejszego. Sprawiają wrażenie wiejskich parobków, którzy grubymi i niezgrabnymi paluchami starają się uchwycić leżącą na stole igłę. I tak na przykład omawiając tematy polityczne i społeczne posługują się prymitywnymi pojęciami sprzed dwustu lat, które dotyczyły sytuacji dwieście razy mniej skomplikowanych.

Rozwinięta cywilizacja to nic innego jak nagromadzenie się trudnych i zawitych problemów. Dlatego też im większy jest jej postęp, w tym większym znajduje się ona niebezpieczeństwie. Życie jest coraz lepsze, ale nie ulega wątpliwości, że jest ono też coraz bardziej skomplikowane. Oczywiście, większemu skomplikowaniu się problemów towarzyszy doskonalenie się środków potrzebnych do ich rozwiązywania. Jest jednak rzeczą konieczną, by każde nowe pokolenie przyswajało sobie umiejętność stosowania tych nowych, udoskonalonych środków. Jednym z nich - przechodząc na chwilę do konkretów - nieodłącznie związanym z postępowaniem cywilizacji, jest świadomość pozostającej za plecami przeszłości, posiadanie wielkiego doświadczenia; krótko mówiąc - historia. Wiedza historyczna jest jedną z pierwszorzędných technik zachowywania i kontynuowania rozwiniętej cywilizacji. Nie dlatego, że podsuwa gotowe rozwiązania dla nowo powstających konfliktów życiowych (życie jest zawsze inne, niż było przedtem), ale dlatego, że pozwala uniknąć podstawowych błędów popełnionych w przeszłości. Ale jeśli ktoś, starzejąc się, napotyka coraz większe trudności, a na domiar złego stracił pamięć i nie jest w stanie korzystać z nagromadzonych doświadczeń, wówczas następuje klęska. Taka właśnie jest, moim zdaniem, sytuacja współczesnej Europy. Dzisiejszych ludzi „kulturalnych i wykształconych” cechuje wprost nieprawdopodobna nieznamość historii. Twierdzą, iż obecnie przywódca europejski ma znacznie mniejszą wiedzę historyczną niż ten w XVIII, a nawet XVII wieku. Niebawo postęp, jaki się dokonał w wieku XIX, stał się możliwy dzięki wiedzy historycznej, którą posiadały mniejszości rządzące - rządzące *sensu lato*. Myśląc o polityce, miały one zawsze przed oczami wiek XVIII, tak aby uniknąć błędów politycznych popełnianych w przeszłości; nowe zasady polityki opracowywano zawsze z *perspektywy* tamtych błędów i tym samym była ona ukoronowaniem doświadczenia pokoleń. Ale już w wieku XIX zaczęła zanikać „kultura historyczna”, chociaż historia jako dziedzina nauki dzięki wysiłkom specjalistów poczyniła wielkie postępy.³⁸

Było to też przyczyną większości właściwych temu wiekowi błędów, których skutki dziś odczuwamy. W ostatnich trzydziestu latach XIX wieku rozpoczął się powolny, jeszcze utajony schyłek, cofanie się ku barbarzyństwu; czyli, innymi słowy, nawrót do naiwności i prymitywizmu ludzi, którzy przeszłości nie mają albo o niej zapomnieli.

Dlatego też *bolszewizm* i *faszizm* są dwoma „nowymi” w polityce wynalazkami, które odkryto w Europie i na jej krańcach. Stanowią one wyraźny przykład istotnego regresu. Mam tu na myśli nie tyle pozytywną treść ich doktryn, która, wyodrębniona z całości, jest oczywiście częściową prawdą - któż na tym świecie nie ma choćby odrobiny racji? - ile *antyhistoryczny*, anachroniczny sposób, w jaki tę część prawdy ujmują. Te typowe ruchy ludzi masowych, kierowane przez ludzi poślednich, pozaczasowych, pozbawionych pamięci i „świadomości historycznej”, przybierają od początku formy przestarzałe, zupełnie jakby pojawiwszy się obecnie, należały zarazem do dawno wymarłej fauny.

Zagadnienie nie polega na tym, czy się jest, czy nie jest komunistą i bolszewikiem. Nie zamierzam tu dyskutować samego credo. Anachroniczne i trudne do pojęcia jest to, że komunistą z roku 1917 bierze się do robienia rewolucji, która w swojej formie jest taka sama jak wszystkie poprzednie, nie uwzględniając i nie dążąc do zmiany nawet najdrobniejszych braków i błędów rewolucji dawniejszych. Dlatego też to, co się stało w Rosji, nie jest wcale interesujące z historycznego punktu widzenia i bynajmniej nie zwiastuje czegoś nowego. Wręcz przeciwnie, wydarzenia te są monotonnym powielaniem odwiecznego wzoru rewolucji, są doskonałym przykładem rewolucyjnego banału, i to do tego stopnia, że nie ma takiego frazesu (wśród wielu na temat rewolucji ukutych przez ludzkość), który by w niej nie znalazł smutnego potwierdzenia. „Rewolucja pożera własne dzieci!”, „Rewolucję zaczyna ugrupowanie umiarkowane, następnie jej ster przechodzi w ręce ekstremistów i wkrótce zaczyna się odwrót ku restauracji”, itd. Do tych wielce szacownych twierdzeń dorzucić można jeszcze kilka prawd mniej znanych, ale nie mniej istotnych, jak np. ta, że rewolucja nie trwa dłużej niż piętnaście lat, co zbiega się z okresem żywotności jednego pokolenia.³⁹ Ten, kto naprawdę dąży do stworzenia nowej rzeczywistości społecznej, musi przede wszystkim skupić swoją uwagę na tym, by w sytuacji, którą tworzy, nie powtarzały się owe najbanalniejsze błędy zawarte w historycznym doświadczeniu ludzkości. Dla mnie genialnym politykiem jest taki, który ledwie rozpocznie działalność, już przyprawia o szal profesorów

³⁸ Już tu można dostrzec pierwsze oznaki zależności między stanem nauki w danej epoce a stanem kultury, o czym za chwilę będziemy mówili.

³⁹ Pokolenie aktywnie działa w ciągu mniej więcej trzydziestu lat. Ale działalność ta dzieli się na dwa etapy i przyjmuje dwie formy: w pierwszej, z grubsza rzecz biorąc, połowie tego okresu nowe pokolenie propaguje swoje idee, wybory i gusty, które w końcu nabierają żywotnej mocy i już niepodzielnie panują w drugim etapie życia pokolenia. Następne pokolenie, wychowane pod panowaniem poprzedniego, ma już nowe idee, wybory i gusty, które publicznie wyraża. Jeśli idee i gusty pokolenia panującego mają charakter ekstremistyczny, a tym samym rewolucyjny, to nowe pokolenie z reguły jest antyekstremistyczne i antyrewolucyjne, to znaczy w duszy skłania się ku restauracji. Oczywiście, pod słowem „restauracja” nie należy rozumieć prostego „powrotu do dawnego”; żadna restauracja nigdy taka nie była.

historii z różnych uczonych instytutów, którzy nagle spostrzegają, iż wszystkie „prawa” ich nauki okazują się nieważne, rozbite, sponiewierane.

To samo można powiedzieć o odwrotnej stronie bolszewizmu, tj. o faszyzmie. Ani jeden, ani drugi ruch nie „dorastają do poziomu naszych czasów”, nie zawierają w sobie skondensowanej przeszłości, co jest warunkiem niezbędnym do tego, by ją móc przewyższyć. Z przeszłością nie walczy się jak równy z równym. Przyszłość zwycięża dopiero wtedy, kiedy ją w całości polknie. Jeśli choć część zostawi na zewnątrz - jest stracona.

Bolszewizm, jak i faszyzm - te dwie pseudojutrzenki - nie zwiastują nadejścia poranku nowego dnia, lecz jakiegoś innego, dawniejszego, już mocno sfatygowanego; a zatem i jedno, i drugie to prymitywizm, tak samo jak są nim wszystkie ruchy społeczne, które sprowadzają się do gwałtownego zwalczania tego czy innego fragmentu przeszłości, zamiast spokojnie trawić ją w całości.

Nie ulega wątpliwości, że dziewiętnastowieczny liberalizm trzeba zastąpić czymś doskonalszym. Ale tego właśnie nie jest w stanie dokonać ten, kto, jak faszyści, sam siebie określa jako antyliberała. Bo antyliberalizm czy brak liberalizmu jest właśnie tym, co cechowało ludzi żyjących przed nastaniem epoki liberalizmu. Istnieje nieodwracalna chronologia życia. Liberalizm następuje po antyliberalizmie albo też, co na jedno wychodzi, jest doskonalszą od niego formą życia, tak samo jak armata jest doskonalszą bronią niż włócznia. W pierwszej chwili wydaje się, że postawa „antyczemuś” jest wtórna wobec tego „czegoś”, założenie, iż jest reakcją na to coś, sugeruje uprzednie istnienie tego czegoś. Ale nowość, jaką przedstawia owo *anty*, przechodzi w pusty frazes przeczenia, którego pozytywna treść przypomina dawno zarośnięte ruiny. Ktoś, kto deklaruje, że jest antypiotrowy nie czyni nic innego, tłumacząc rzecz na język pozytywny, jak tylko stwierdza, że jest zwolennikiem świata, na którym nie ma Piotra. Ale taki właśnie był świat wtedy, kiedy Piotr się jeszcze nie narodził. A zatem przeciwnik Piotra zajmuje miejsce nie po nim, lecz przed nim, cofając się do sytuacji dawniejszej, ale kiedy ona przemienie, znowu w sposób nieunikniony pojawi się Piotr. A więc z wszystkimi tymi zwolennikami postawy *anty* dzieje się to samo, co według legendy stało się niegdyś z Konfucjuszem, który narodził się, oczywiście, po swoim ojcu; ale - ot, niespodzianka! - podczas gdy ojciec miał wówczas niespełna trzydzieści lat, to Konfucjusz miał od razu osiemdziesiąt. Wszelkie *anty* to nic innego jak zwyczajne, puste *nie*.

Wszystko byłoby nadzwyczaj proste, gdyby jednym zwyczajnym *nie* można było unicestwić całą przeszłość. Ale przeszłość, z samej swojej istoty ma charakter *revenant*, powracający. Mimo odrzucenia, ciągle powraca w sposób nieunikniony. Dlatego też jedyną autentyczną metodą jej przewyciężenia nie jest jej odrzucenie, ale liczenie się z nią. Mając ją ciągle przed oczyma, należy zachowywać się tak, by ją pokonać, unikając powtarzania błędów. Słowem, żyć należy „na poziomie czasów”, będąc zarazem silnie i świadomie uwrażliwionym na bieg dziejów.

Przeszłość ma rację, swoją rację. Jeśli się jej nie przyzna, to będzie się o nią dopominać, narzucając się przy okazji z innymi racjami, których nie posiada. Liberalizm miał pewną rację, i tę trzeba mu przyznać *per saecula saeculorum*. Ale nie miał całej racji i to właśnie, co było w nim niesłuszne, należy odrzucić. Europa musi zachować istotę liberalizmu. Jest to warunek konieczny do tego, by go mogła przewyciężyć.

Mówiłem tu w sposób pośredni o faszyzmie i bolszewizmie, skupiając się jedynie na ich anachronicznych rysach. Anachroniczność ta jest, według mnie, nieodłączną cechą wszystkich ruchów, które dziś wydają się odnosić sukcesy. Obecnie triumfuje człowiek masowy i dlatego też jedynie ruchy dla niego stworzone i przepojone jego prymitywizmem mogą dziś liczyć na powodzenie. Nie zamierzam tu wchodzić w głębsze treści faszyzmu czy bolszewizmu, tak samo jak nie jest moim zamiarem rozstrzygnięcie odwiecznego dylematu pomiędzy rewolucją i ewolucją. W tym eseju pragnę jedynie wysunąć skromne żądanie, by zarówno ewolucja, jak i rewolucja miała charakter historyczny, a nie anachroniczny.

Tematy, które tu rozważam, są politycznie neutralne, ponieważ dotyczą znacznie głębszych warstw niż polityka i toczące się w jej łonie spory. Konserwatysta czy radykał nie muszą wcale być zarazem mniej lub bardziej masą, różnice między nimi - które zawsze w dziejach były bardzo powierzchowne - w najmniejszym nawet stopniu nie przeszkadzają temu, by obaj reprezentowali ten sam typ człowieka - zbuntowanego człowieka pospolitego.

Europa znajdzie się w sytuacji bez wyjścia, jeśli jej los nie zostanie złożony w ręce ludzi prawdziwie „współczesnych”, którzy wyczuwają podskórny puls dziejów, rozumieją dzisiejszy poziom życia i żywią wstręt do postaw archaicznych i wszelkiego prymitywizmu. Jedynie dzieje ujęte całościowo i prawdziwie mogą nas od tego uchronić.

XI

Epoka „zadufanego paniczyka”

Podsumowanie. Nowe zjawisko społeczne, które tu analizujemy, wygląda tak: wydaje się iż po raz pierwszy o dziejach Europy decyduje człowiek pospolity jako taki. Albo też mówiąc w stronie czynnej: człowiek pospolity, uprzednio kierowany, postanowił sam rządzić światem. Owo postanowienie o wysunięciu się na społeczny plan pierwszy zrodziło się w nim automatycznie, jak tylko dojrzał nowy, reprezentowany przezeń, typ człowieka. Jeżeli, mając na uwadze współczesne życie publiczne, rozpatrzmy strukturę psychologiczną tego nowego typu człowieka masowego, to stwierdzimy, że 1) cechuje go wrodzone i głęboko zakorzenione przekonanie o tym, że życie jest łatwe, dostatnie i pozbawione jakichkolwiek tragicznych ograniczeń; a co za tym idzie, każdego przeciętnego osobnika wypełnia poczucie panowania i triumfu, które 2) skłania go do afirmacji siebie samego takim, jakim jest, i uznawania własnych treści moralnych i intelektualnych za w pełni doskonałe. To samozadowolenie powoduje, iż zamyka się w sobie, odcinając się od wszelkich instancji zewnętrznych, że nie słucha, że swoich opinii nie poddaje ocenie innych i że z nikim się nie liczy. Jego wewnętrzne poczucie panowania każe mu ciągle wykazywać przewagę. Postępuje więc tak, jak gdyby na tym świecie istniał tylko on i ludzie jemu podobni. 3) wtrąca się do wszystkiego, narzucając wszystkim swoje spolskie przekonania, a czyni to bezceremonialnie, bez żadnych wahań czy względów na innych, słowem, stosuje metodę „akcji bezpośredniej”.

Ten zestaw cech nasuwa nam myśl o pewnych niedoskonałych sposobach bycia człowiekiem - takich jak „rozpuszczone dziecko” czy zbuntowany prymityw; innymi słowy - barbarzyńca. (Normalny prymityw, wręcz przeciwnie, jest człowiekiem chętnie ulegającym autorytetowi odwiecznie istniejących wyższych instancji, takich jak: religie, tabu, tradycje społeczne, obyczaje). Nie należy się dziwić temu, iż wypowiadam tu sarkastyczne uwagi na temat tego typu istot ludzkich. Esej ten jest niczym innym jak pierwszą próbą ataku na zwycięskie pozycje tego typu ludzi oraz zapowiedzią, że niektórzy Europejczycy zdecydowani są stawić stanowczo czoło tyranii. Na razie mowa jest tylko o próbie ataku; generalny szturm zostanie przypuszczony później, być może już całkiem niedługo, przyjmując inną formę niż to, co zostało tu zaprezentowane. Generalny atak musi przybrać taką postać, by człowiek masowy nie zdążył przygotować obrony, by obserwując nadchodzące zdarzenia, nie miał nawet pojęcia, że to właśnie jest szturm generalny.

Ów człowiek, który obecnie przenika wszędzie, narzucając wszystkim swe wrodzone barbarzyństwo, w sumie jest rozpuszczonym dzieckiem dziejów ludzkości. Rozpuszczone dziecko to dziedzic, który zachowuje się tylko i wyłącznie jak dziedzic. W naszym wypadku dziedzictwem jest cywilizacja - wygody, pewność, bezpieczeństwo - w ogólności zdobycze cywilizacji. Jak to już zauważyliśmy, człowiek o takim zestawie cech i o takim właśnie charakterze pojawić się mógł jedynie w warunkach życiowych wygód i ułatwień, jakie mu stworzyła cywilizacja. Jest to jedna z wielu deformacji, jakie w duszy ludzkiej powodują dostatek i luksus. Skłonni jesteśmy do iluzorycznej wiary w to, iż życie zrodzone w świecie dostatku będzie lepsze, pełniejsze i bardziej wartościowe niż to, które polega na walce z niedostatkiem. Tak jednak nie jest. Istnieją po temu najbardziej fundamentalne przyczyny, o których nie będziemy teraz mówić. Zamiast wyliczać powody tego stanu rzeczy, wystarczy tu przypomnieć ciągle powtarzające się zjawisko, które jest tragedią każdej arystokracji dziedzicznej. Dziedziczny arystokrata rodzi się i wzrasta w warunkach życiowych, których sam nie stworzył, i które nie są organicznie związane z jego własnym, osobistym życiem. Od momentu urodzenia, sam nie wiedząc jak i dlaczego, znajduje się nagle umiejscowiony pośród swoich bogactw i przywilejów. Wewnętrznie nie ma z nimi nic wspólnego, bo nie od niego pochodzą. Są olbrzymim kokonem kogoś innego, innej istoty żywej, jakiegoś jego przodka. Zmuszony jest żyć jako dziedzic, musi używać kokonu należącego do innego życia. Do czego nas to prowadzi? Jakie życie będzie udziałem dziedzicznego „arystokraty”, jego własne czy tamto wielkiego przodka? Ani jedno, ani drugie. Skazany jest na *reprezentowanie* tamtego, a tym samym na *niebycie* ani tamtym, ani sobą. Jego życie zetraca, w sposób nieunikniony, wszelką autentyczność, przechodząc w czystą reprezentację, czy też stając się fikcją innego życia. Nadmiar środków, którymi zmuszony jest operować, nie pozwala mu przeżyć własnego przeznaczenia, powoduje atrofie życia osobistego. *Każde życie to walka, to usilne dążenie do bycia sobą samym*. Trudności, jakie napotykamy w realizowaniu swego życia, są tym właśnie czynnikiem, który rozbudza i uruchamia nasze możliwości działania, nasze zdolności. Gdyby nasze ciało nie ciążyło, nie moglibyśmy chodzić. Gdyby atmosfera nie wywierała na nas nacisku, to czulibyśmy, iż nasze ciało jest czymś niekształtnym, ulotnym, urojonym. Tak samo osobowość dziedzicznego „arystokraty” nie zmuszona do pokonywania trudności i do jakiegokolwiek życiowego wysiłku traci swój własny, osobisty wyraz. Rezultatem tego jest owa specyficzna głupota starej arystokracji, której tragiczny, wewnętrzny mechanizm nie został dotychczas opisany, a który w sposób nieuchronny prowadzi każdą arystokrację dziedziczną do degradacji.

Już ten przykład wystarczy, by podważyć naszą naiwną skłonność do wiary, iż dostatek czy nadmiar zasobów mają na życie dobroczynny wpływ. Wręcz przeciwnie. Świat o nadmiarze możliwości⁴⁰ rodzi automatycznie poważnie zdeformowane, patologiczne typy ludzkie - można je wszystkie określić wspólnym mianem „człowieka-dziedzica”; „arystokrata” jest jedynie szczególną odmianą tego typu, inną odmianą jest rozpuszczone dziecko, a jeszcze inną, najpełniejszą i najbardziej radykalną, jest współczesny człowiek masowy. (Z drugiej strony należałoby tu może bardziej pogłębić uprzednie uwagi o „arystokratkach”, wskazując na to, jak wiele cech charakterystycznych dla tej grupy, występujących we wszystkich epokach i u wszystkich ludów, odnaleźć można w człowieku masowym. Na przykład: skłonność do czynienia z zabawy i sportu głównej sprężyny życia; pielęgnacja własnego ciała, dbałość o urodę i strój; brak romantyzmu w stosunkach z kobietami; zabawianie się z intelektualistami z odczuwaniem w głębi duszy pogardy dla nich, skazywanie ich na chłostę rękami lokajów i zbirów; upodobanie do życia pod rządami absolutnymi i niechęć do dyskusji politycznych⁴¹ itd.).

A więc, podkreślam to raz jeszcze, z przykrością stwierdzam, że ów nieokrzesany człowiek, ten nowy barbarzyńca jest automatycznym produktem nowoczesnej cywilizacji, szczególnie tej odmiany cywilizacji, która panowała w wieku XIX. Ci nowi barbarzyńcy nie pojawili się w cywilizowanym świecie z zewnątrz, jak „potężni biali barbarzyńcy” z V wieku, nie zrodzili się w nim nagle, nie wiadomo skąd, jak zdaniem Arystotelesa żabi skrzek w błotnistej kałuży, lecz stanowią naturalny owoc jego rozwoju. Należy tu sformułować prawo, potwierdzone przez paleontologię i biogeografię, które mówi, że życie ludzkie pojawiło się i rozwinęło dopiero wtedy, kiedy środki pozostające w jego dyspozycji równoważyły napotykane trudności. Odnosi się to zarówno do sfery duchowej, jak i fizycznej. Odwołam się tu do bardzo konkretnego wymiaru życia biologicznego. Okazuje się, że gatunek ludzki najlepiej się rozwijał w tych strefach naszej planety, gdzie po okresie gorąca następował okres intensywnych chłódów. W tropikach zwierzę zwane człowiekiem ulega degradacji, i odwrotnie, rasy podrzędniejsze - jak np. Pigmeje - spychane są do tropików przez rasy zrodzone później i będące na wyższym szczeblu ewolucji.⁴²

Tak więc cywilizacja XIX wieku jest tego rodzaju, że pozwala zwyczajnemu człowiekowi rozsiać się wygodnie w świecie dostatku, w którym dostrzega on jedynie obfitość środków, pozostając ślepym na trudności i niepokoje. Widzi się otoczony wspaniałymi narzędziami, dobroczynnymi lekarstwami, mądrą organizacją państwa, wygodnymi przywilejami. Ale zupełnie nie zauważa trudu, jakiego wymaga wynalezienie tych narzędzi i lekarstw, a także zapewnienie ich dalszej produkcji; nie dostrzega kruchości równowagi, na której opiera się organizacja państwa, i nie czuje się prawie do niczego zobowiązany. Owa jednostronność widzenia powoduje u niego zafałszowanie świata, niszczy jego żywotny rdzeń, pociągając za sobą utratę kontaktu z samą istotą życia, które jest absolutnym zagrożeniem, radykalną niepewnością. Formą najbardziej sprzeczną z życiem ludzkim, jaką ono może przyjąć, jest postać „zadufanego paniczka”. Dlatego też, kiedy ta forma życia zaczyna dominować, należy natychmiast podnosić alarm przestrzegając, iż życiu ludzkiemu grozi zwyrodnienie, czyli względna śmierć. Tak więc poziom życia w Europie jest dzisiaj wyższy niż kiedykolwiek w przeszłości, ale spojrzenie w przyszłość budzi obawy, że poziom ten nie utrzyma się czy jeszcze bardziej się podniesie, ale wręcz przeciwnie, opadnie, cofając się do stanu z minionych epok.

Uważam, iż wskazuje na to wyraźnie pojawienie się anomalii, jaką jest typ „zadufanego paniczka”. Jest to bowiem typ człowieka, który przyszedł na świat po to, by robić to, co mu się podoba. W istocie, takie właśnie wyobrażenie o życiu ma rodzinny „beniaminek”. Wiemy już dobrze dlaczego: po prostu w gronie rodziny wszystko, nawet najcięższe wykroczenia, mogą ująć bezkarnie. Krąg rodzinny jest tworem względnie sztucznym i toleruje w swoim łonie wiele czynów, które w społeczeństwie, na ulicy, automatycznie pociągnęłyby za sobą fatalne dla sprawcy konsekwencje. „Paniczek” to ktoś, kto uważa, iż poza domem może się zachowywać tak samo jak w domu, i kto nie wierzy, by cokolwiek mogło za sobą pociągnąć fatalne, nieodwracalne skutki. Dlatego też uważa, iż może robić, co mu się żywnie podoba.⁴³ Cóż za wielkie nieporozumienie! *Vossa merce ira*

⁴⁰ Należy pamiętać o tym, by nie mieszać pojęć wzrostu czy nawet obfitości środków z pojęciem ich nadmiaru. W wieku XIX wzrastały życiowe ułatwienia, powodując ów cudowny rozkwit życia - zarówno w sensie ilościowym, jak i jakościowym. Ale nadszedł moment, w którym świat cywilizowany postawiony wobec możliwości chłonnych człowieka przeciętnego okazał się światem nadmiernej obfitości, przesadnie bogatym, światem *nadmiaru*. Oto jeden tylko przykład: pewność i zaufanie, jakie wydajemy się wiązać z postępem (ciągły wzrost możliwości życiowych) zdemoralizowałby zwyczajnego człowieka, wpajając mu pewność siebie, która jest fałszywa, atroficzna, zła.

⁴¹ Zarówno w tym, jak i w innych wypadkach wyjątek od tego, co powiedziałem wyżej, zdaje się stanowić arystokracja angielska. Jednakże, choć jest to podziwu godny przypadek, wystarczy nakreślić z grubsza główne kontury dziejów Wielkiej Brytanii, by stwierdzić, że ten wyjątek potwierdza regułę. Wbrew temu, co się na ogół sądzi, arystokracja brytyjska w mniejszym stopniu niż inne arystokracje europejskie wystawiona była na oddziaływanie „nadmiaru”, zawsze żyła w większym niż inne zagrożeniu. I dlatego właśnie, że żyła w zagrożeniu - wiedziała, że musi i potrafiła narzucić innym szacunek dla siebie - przy założeniu permanentnego stanu czujności. Zapomina się zazwyczaj o pewnym zasadniczym fakcie, mianowicie o tym, że Anglia prawie do końca XVIII wieku była najbardziej zagrożonym krajem w Europie Zachodniej. To właśnie uratowało arystokrację. Ponieważ nie cierpiała na nadmiar bogactwa, wcześniej została zmuszona do podjęcia działalności w sferze handlu i przemysłu, co na kontynencie pozostawało zajęciem niegodnym szlachcica, a tym samym zamiast trzymać się kurczowo starych przywilejów, wcześniej zaczęła życie gospodarczo-twórcze.

⁴² Patrz Olbricht, *Klima und Entwicklung*, (1923).

⁴³ Naród w stosunku do wspólnoty narodów jest tym samym, tylko w większym wymiarze, co dom w stosunku do społeczeństwa. Jak dalej zobaczymy, jednym z najbardziej wyraźnych, a zarazem najpoważniejszych objawów „paniczykostwa” jest decydowanie się niektórych narodów na to, by w życiu międzynarodowym „czynić to, co im się żywnie podoba”. Nazywa się to naiwnie „nacjonalizmem”. Ja, który z

*a onde o levem*⁴⁴, jak to się mówi do papugi w portugalskiej bajce. Nie chodzi o to, że nie *powinno* się robić tego, na co się ma ochotę, rzecz w tym, iż nie można zrobić czegoś innego niż to, co każdy z nas *musi* zrobić, czym *musi* być. Można najwyżej odmówić czynienia tego, co się czynić powinno; ale to wcale nie daje nam swobody robienia tego, co nam się podoba. Mamy tu jedynie negatywną wolność woli - *wolność odmowy*. Możemy niewątpliwie uciec od najbardziej dla nas autentycznego przeznaczenia, ale stajemy się wówczas więźniami niższych jego pokładów. Nie jestem w stanie wskazać każdemu czytelnikowi, jakie jest jego indywidualne, autentyczne przeznaczenie z tej prostej przyczyny, że większości swoich czytelników nie znam: ale można to zrobić w tych fragmentach czy rysach przeznaczenia, które są wspólne dla wielu ludzi. I tak na przykład każdy współcześnie żyjący Europejczyk jest przeświadczony, i to nawet bardziej niż co do innych wyrażanych przez siebie sądów i opinii, że każdy człowiek w Europie *musi* mieć liberalne przekonania. Nie chcę się tu wdawać w dyskusję na temat tego, czy panować powinna taka albo inna forma wolności. Chodzi mi o to, że nawet najbardziej reakcyjny Europejczyk w głębi duszy zdaje sobie sprawę z tego, że to, co Europa osiągnęła w ostatnim wieku pod hasłem liberalizmu, jest w ostatecznym rachunku czymś nieuniknionym i nieodwracalnym, że taki już jest człowiek Zachodu, czy mu się to podoba, czy nie.

Pomimo iż nie ulega wątpliwości, że wszystkie dotychczasowe konkretne próby wdrożenia w życie tego niewybaczalnego imperatywu wolności politycznej, już na stałe wpisane w europejskie przeznaczenie, były fałszywe i nieudane, to jednak czymś ostatecznie oczywistym pozostaje to, iż w ostatnim stuleciu ma on za sobą *istotną rację*. Tej *ostatecznej* oczywistości ulega zarówno europejski komunista, jak faszysta, choćby nie wiem jak starali się przekonać innych czy samych siebie, że tak nie jest, tak samo jak ulega jej - czy mu się to podoba, czy nie, czy w to wierzy, czy nie - katolik, dla którego największą wyrocznią jest *Syllabus*⁴⁵. Wszyscy „wiedzą”, że gdzieś tam dalej, za słuszną krytyką zwalczającą różne objawy liberalizmu, tkwi jego nieodwracalna prawda, nie teoretyczna, naukowa czy intelektualna, ale zupełnie innego i bardziej doniosłego typu - prawda przeznaczenia. Prawdy teoretyczne nie tylko, że są dyskusyjne, ale cała ich siła i sens leży w tym, że są dyskutowane; rodzą się z dyskusji, żyją o tyle tylko, o ile są dyskutowane, są *wyłącznie* tworem dyskusji. Natomiast przeznaczenia - czyli tego, co w sensie witalnym ma być albo czego być nie ma - się nie dyskutuje, można je jedynie przyjąć lub go nie przyjąć. Jeśli je przyjmujemy, jesteśmy autentyczni; jeśli nie przyjmujemy go, jesteśmy zaprzeczeniem, zafalszowaniem nas samych⁴⁶. Przeznaczenie nie polega na robieniu tego, na co mamy chęć, objawia się ono raczej w świadomości, iż *musimy* robić to, na co nie mamy ochoty.

Tak więc „zadufanego paniczyka” charakteryzuje to, że „wie”, jak być powinno, ale mimo to, i właśnie dlatego, zarówno przez swoje słowa, jak i przez swe czyny stara się dowiedzieć, iż jego przekonania są wręcz odwrotne. Faszysta występuje przeciwko wolności politycznej właśnie dlatego, że wie, iż w ostatecznym rachunku jest ona czymś niezwykłym i że stała się w sposób nieodwracalny czymś istotnym dla życia europejskiego, w czym zawsze znajduje oparcie w ostatniej godzinie ten, komu wolności zabraknie. Albowiem właśnie brak powagi, „żart”, to egzystencjalna dominanta człowieka masowego. Nic, co robi, nie ma nieodwracalnego charakteru, podobnie jak psoty domowego „beniaminka”. Cały ten pośpiech, by we wszystkich dziedzinach życia przyjmować postawy stanowcze, ostateczne, tragiczne to tylko zewnętrzne pozory. Ludzie bawią się w tragedię, bo nie wierzą, by w świecie cywilizowanym możliwa była prawdziwa tragedia.

Byłoby wielkim uproszczeniem, gdybyśmy uznali za autentyczne *ja* tę osobowość, którą nam dana osoba ostentacyjnie manifestuje. Jeżeli ktoś upiera się przy tym, iż wierzy, że dwa plus dwa równa się pięć, a nie mamy powodów, by sądzić, iż jest umyślowo nie w porządku, to należy uznać za pewne, że wcale w to nie wierzy, choćby nie wiadomo jak głośno tego dowodził, a nawet dał się za to zabić.

Przez starą Europę dmie wicher wszechogarniającej i nader różnorodnej farsy. Prawie wszystkie postawy, które się przyjmuje i manifestuje, są wewnątrznie fałszywe. Cały wysiłek skierowany jest na ucieczkę od własnego przeznaczenia, na niedostrzeganie go, na unikanie konfrontacji z *tym, czym się być powinno*. Życie jest tym bardziej humorystyczne, im bardziej tragiczna jest przybrana maska. Życie jest humorystyczne zawsze

jednej strony żywię wstręt do internacjonalizmu, z drugiej uważam za groteskowe owo przejściowe „paniczykostwo” różnych pomniejszych narodów.

⁴⁴ Pójdiesz tam, dokąd cię zaprowadzę (przyp. Maria Dietl).

⁴⁵ Ten, kto *jest przekonany*, zgodnie z naukami Kopernika, że słońce nie opada za horyzontem, ciągle jednak *widzi*, że opada, a zatem jako że widzenie pociąga za sobą przekonanie pierwotne, w dalszym ciągu *wierzy*, że *opada*. Chodzi o to, że *przekonanie* oparte na nauce przeciwstawia się w sposób ciągle skutkom *przekonań* pierwotnych czy spontanicznych. Tak samo ortodoksyjny katolik odrzuca, zgodnie ze swą dogmatyczną wiarą, swoje własne, *autentyczne* przekonania liberalne. Ta dygresja o katoliku służy tylko jako przykład wyjaśniający sformułowaną tu przeze mnie ideę; w żadnym razie nie odnoszą się do niego podstawowe zarzuty, jakie kierują pod adresem współczesnego człowieka masowego, owego „zadufanego paniczyka”. Mają oni tylko jedną wspólną cechę. Główny mój zarzut w stosunku do „zadufanego paniczyka” to prawie całkowity brak autentyzmu w całej jego osobowości. Katolik natomiast nie jest autentyczny jedynie w niektórych fragmentach swojej osobowości. Ale i ta częściowa zbieżność jest tylko powierzchowna. Katolik nie jest autentyczny w pewnym fragmencie swej osobowości, w tym wszystkim, co - czy mu się to podoba, czy nie - jest w nim z człowieka współczesnego, *dlatego* że chce być wierny innej części swego ja, którą jest jego wiara religijna. Znaczy to, że przeznaczenie tego katolika jest samo w sobie tragiczne. Godząc się na częściową nieautentyczność, spełnia swój obowiązek. Natomiast „zadufany paniczyk” ucieka od siebie samego powodowany zwykłą zachcianką i po to właśnie, by uniknąć wszelkiej tragedii.

⁴⁶ Zejście na złą drogę, upodlenie się to drogi życia tych, którzy odrzucili możliwość bycia tym, kim być powinni. Ich autentyczne „ja” nie zamiera, lecz zamienia się w oskarżający cień, w widmo, które nie pozwala im ani na chwilę zapomnieć o podrzędności życia, jakie wiodą, w porównaniu z tym, jakie wieść powinni. Człowiek spodłony to żyjący samobójca.

wtedy, kiedy przybierane postawy można odwołać czy unieważnić, a dana osoba nie identyfikuje się z nimi całkowicie i bez zastrzeżeń. Człowiek masowy nie stoi nogami na twardym i niewzruszonym podłożu swego przeznaczenia, lecz woli raczej fikcyjną egzystencję, zawieszony w przestworzach. Dlatego też te życia, bez wagi i bez korzeni - wyrwane ze swego przeznaczenia - tak łatwo dają się porwać nawet najsłabszym prądem. Żyjemy w epoce „prądów” i „dawania się porwać”. Prawie nikt nie stawia oporu powierzchownym prądom, jakie się współcześnie pojawiają w sztuce, ideologii, polityce czy obyczajowości. Dlatego też retoryka odnosi teraz większe triumfy niż kiedykolwiek przedtem. Surrealiście wydaje się, iż przezwyciężył całą historyczną spuściznę literacką, pisząc (tu następuje słowo, którego nie warto pisać), tam gdzie inni pisali Jaśminy, łabędzie i nimfy”. Ale czyniąc tak, sięga po prostu do innej formy retoryki, która dotychczas kryła się po labiryntach.

Zrozumienie obecnej sytuacji może nam ułatwić porównanie jej, przy zachowaniu oczywiście należnych proporcji, z innymi podobnymi sytuacjami, które miały miejsce w przeszłości. Tak się składa, że kiedy cywilizacja śródziemnomorska osiągała swój najwyższy poziom - to jest około III wieku p.n.e. - pojawili się cynicy. Na wspaniałych dywanach Arystypa stanął Diogenes w zabłoconych sandałach. Cynicy zaczęli się mnożyć, można ich było spotkać na każdym rogu ulicy i we wszystkich sferach społecznych. A przecież cynicy nic innego nie robili, jak właśnie sabotowali ówczesną cywilizację. Byli nihilistami epoki hellenizmu. W nic nie wierzyli i niczego nie tworzyli. Swoją rolę sprowadzali do rozkładania cywilizacji - lub raczej - do podejmowania prób jej rozkładu, bo im także nie udało się osiągnąć swego celu. Cynik, pasożyt na łonie cywilizacji, żyje z tego, że ją odrzuca, dlatego właśnie, że jest przekonany o jej niewzruszonej trwałości. Cóż robiłby cynik wśród barbarzyńskiego ludu, gdzie wszyscy w sposób naturalny i poważny to właśnie by czynili, co on w grotesce uważa za swoje osobiste zadanie? Kim byłby faszysta, który by nie mówił źle o wolności, czy surrealista, który by nie przeklinał sztuki?

Ten typ człowieka, zrodzony w świecie zbyt dobrze zorganizowanym, który widzi dla siebie same korzyści, a jest zarazem ślepy na niebezpieczeństwa, po prostu nie potrafi zachowywać się inaczej. Jest rozpuszczony przez środowisko, w którym żyje, przez „cywilizację”. „Beniaminek”, żyjący w niej jak w domu rodzinnym, nie odczuwa żadnej potrzeby wyjścia poza własne, kapryśne „ja”, nic go nie skłania do posłuchu wobec wyższych, zewnętrznych względem siebie instancji, a już najmniej czuje się w obowiązku docierania do najgłębszych pokładów własnego przeznaczenia.

XII

Barbarzyństwo „specjalizacji”

Moja teza brzmi, iż człowiek masowy jest automatycznym wytworem cywilizacji XIX wieku. Dobrze byłoby teraz wyjść poza to ogólne stwierdzenie i głębiej przeanalizować mechanizm owej produkcji. Tym samym teza, konkretyzując się, stałaby się bardziej przekonującą.

Jak już mówiłem, cywilizację XIX wieku można sprowadzić do dwóch wielkich wymiarów: demokracji liberalnej i techniki. Pomówmy teraz o tym drugim. Współczesną technikę rodzi połączenie kapitalizmu z naukami eksperymentalnymi. Nie każda technika ma podstawy naukowe. Ten, kto w czasach prehistorycznych wytwarzał topory z krzemienia, niewątpliwie tworzył technikę, jakkolwiek na pewno działalność ta pozbawiona była podstaw naukowych. Starożytni Chińczycy doszli do wysokiego stopnia sprawności technicznej, nie podejrzewając nawet istnienia fizyki. Jedynie nowoczesna technika europejska tkwi swymi korzeniami w naukach teoretycznych i tym właśnie korzeniom zawdzięcza ową szczególną właściwość, jaką jest możliwość nieograniczonego rozwoju. Pozostałe techniki - jak te, które się rozwinęły w dolinach Mezopotamii i Nilu, w Grecji i w Rzymie, czy wreszcie w Azji - dochodziły zawsze w swoim rozwoju do pewnego punktu, którego nie były już w stanie przekroczyć i od momentu jego osiągnięcia zaczynały cofać się w pożałowania godnym procesie inwokacji.

Wspaniała technika Zachodu umożliwiła wspaniałe rozmnożenie się rasy europejskiej. Przypomnijmy sobie dane statystyczne, które, jak mówiłem, były dla mnie natchnieniem do napisania tego eseju, i w których w formie załączkowej zawarte są wszystkie prowadzone tu rozważania. Od wieku VI do roku 1800 Europie nie udało się uzyskać większej liczby ludności niż 180 milionów. Od roku 1800 natomiast do 1914 liczba jej mieszkańców wzrosła do 460 milionów. Jest to skok zupełnie bez precedensu w dziejach ludzkości. Nie ulega wątpliwości, iż technika - wraz z demokracją liberalną - zrodziły człowieka masowego w ilościowym tego słowa znaczeniu. Ale w tym eseju starałem się wykazać, iż są one także odpowiedzialne za istnienie człowieka masowego w jakościowym i pejoratywnym znaczeniu tego terminu.

Na samym początku uprzedzałem, iż pod słowem „masa” nie należy rozumieć wyłącznie czy przede wszystkim robotników; nie określa ono tutaj żadnej klasy społecznej, lecz pewien sposób czy rodzaj bycia

człowiekiem, który można dziś dostrzec we wszystkich klasach społecznych, a zatem jest charakterystyczny dla naszych czasów i zdominował je bez reszty. Za chwilę przekonamy się o tym aż nadto wyraźnie.

Kto sprawuje dziś władzę społeczną? Kto narzuca naszej epoce swoją strukturę duchową? Bez wątpienia burżuazja. Jaka grupa w łonie burżuazji cieszy się największym uznaniem, stanowi coś w rodzaju współczesnej arystokracji? Bez wątpienia technicy: inżynierowie, lekarze, finansiersi, profesorowie, itp. Kto jest tej grupy najczystszy, najdoskonalszy przedstawiciel? Bez wątpienia ludzie nauki. Gdyby jakaś pozaziemska istota odwiedziła Europę w celu wyrobienia sobie o niej sądu i zwróciła się do jej mieszkańców o wskazanie takiej grupy ludzi, z którą się najbardziej identyfikują, Europejczycy bez wątpienia z dumą i przekonani o korzystnym wyniku oceny, wskazaliby ludzi nauki. Oczywiście owa pozaziemska istota nie pytałaby o wybitne jednostki, lecz dążyłaby do poznania ogólnej zasady gatunku „człowieka nauki”, tej śmietanki społeczeństwa europejskiego.

Tak więc okazuje się, że współczesny człowiek nauki jest prototypem człowieka masowego. Nie wchodzi tu w grę jakieś szczególne przyczyny ani osobiste braki poszczególnych naukowców, po prostu sama nauka - rdzeń cywilizacji - przemienia ich w ludzi masowych, a więc czyni z nich prymitywów, współczesnych barbarzyńców.

Jest to sprawa dobrze znana: stwierdzono to niezliczoną ilość razy; ale dopiero teraz prawda ta, umieszczona w ogólnej konstrukcji tego eseju, nabiera w pełni znaczenia i wagi.

Początek nauk eksperymentalnych przypada na koniec XVI wieku (Galileusz), stają się one w pełni nauką pod koniec XVII wieku (Newton) i zaczynają się na dobre rozwijać od połowy XVIII wieku. Rozwój jest czymś innym niż konstytuowanie się i innym podlega regułom. Tak więc ukonstytuowanie się fizyki jako nauki (mianem tym obejmujemy zbiór nauk eksperymentalnych) wymagało ujednoczenia. O to właśnie starał się Newton i jego współcześni. Ale przed fizyką, w trakcie jej dalszego rozwoju, stanęły zupełnie inne zadania, wręcz przeciwne do dążeń unifikacyjnych. Warunkiem rozwoju w nauce stała się specjalizacja ludzi nauki. Specjalizacja ludzi, ale nie samej nauki. Nauka nie jest specjalistyczna. Gdyby tak było, to *ipso facto* przestałaby być prawdziwa. Nawet nauki eksperymentalne, wzięte w całości, nie byłyby prawdziwe, gdyby je oddzielić od matematyki, logiki czy filozofii. Natomiast praca w nauce, owszem, musi być w sposób nieunikniony coraz bardziej specjalistyczna.

Bardzo ciekawe i nadzwyczaj pożyteczne byłoby opracowanie dziejów nauk fizycznych i biologicznych, ze szczególnym uwypukleniem procesu rosnącej specjalizacji badaczy. Zobaczylibyśmy wtedy, jak ludzie nauki, pokolenie za pokoleniem, coraz bardziej się rozchodzą, ograniczając się do coraz węższych zakresów pracy intelektualnej. Ale w tej historii ważniejsza jest odwrotna strona medalu, mianowicie to, że ludzie nauki, zmuszeni w każdym następnym pokoleniu do coraz większego ograniczania zakresu swojej pracy, tracą stopniowo kontakt z pozostałymi dziedzinami nauki, tracą umiejętność całościowej interpretacji wszechświata, co stanowi jedyny cel godny europejskiej nauki, kultury i cywilizacji.

Rozwój specjalizacji zaczął się dokładnie w tych czasach, które człowiekowi cywilizowanemu nadały nazwę „encyklopedycznego”. Wiek XIX rozpoczął się pod kierunkiem jednostek żyjących encyklopedycznie, chociaż wytwarzana przez nie produkcja miała już charakter specjalistyczny. W następnym pokoleniu równowaga zostaje zachwiana i specjalizacja zaczyna wypierać kulturę integralną z wnętrza człowieka nauki. Kiedy w roku 1890 trzecie pokolenie obejmuje władzę intelektualną w Europie - mamy już do czynienia z typem badacza naukowego, niespotykanym dotychczas w historii. Jest to jednostka, która z całej wiedzy, jaką należy osiąść, by być człowiekiem mądrym i inteligentnym, zna tylko jedną dziedzinę nauki, a naprawdę dobrze tylko drobny jej wycinek, będący przedmiotem jej własnej działalności badawczej. Dochodzi do tego, że za cnotę uznaje nieznamość wszystkiego, co leży poza małym poletkiem przez nią uprawianym, a ciekawość dla całości wiedzy ludzkiej określa mianem *dyletantyzmu*.

Rzecz w tym, że człowiek, ograniczony do swego wąskiego pola widzenia, w istocie odkrywa nowe fakty, przyczyniając się do rozwoju swojej dziedziny nauki, której całość zna jedynie bardzo powierzchownie. Dorzuca w ten sposób kolejną cegiełkę do encyklopedii wiedzy ludzkiej, ale jej zupełnie świadomie i programowo nie ogarnia. Jak mogło dojść do podobnej sytuacji? Należy tu raz jeszcze powtórzyć ów paradoksalny acz niezaprzeczalny fakt: nauki eksperymentalne zawdzięczają swój postęp w dużej mierze pracy ludzi absolutnie przeciętnych, a nawet mniej niż przeciętnych. Znaczy to, że współczesna nauka, podstawa i symbol naszej cywilizacji, daje schronienie i hołbi w swoim łonie ludzi intelektualnie poślednich, pozwalając im na skuteczne działanie. Przyczyna tego stanu rzeczy leży w fakcie, że główny motor rozwoju nowej nauki i całej cywilizacji, którą ona kieruje i ucieleśnia, stanowi zarazem najgroźniejsze dla niej niebezpieczeństwo. Mowa tu o mechanizacji. Olbrzymia część zadań, jakie są do wykonania w fizyce i biologii, to kwestia mechanicznych procesów myślowych, które przeprowadzić może każdy albo prawie każdy. Po to, by niezliczonym rzeszom badaczy ułatwić zadanie, można całą naukę podzielić na małe segmenty, umożliwiające zamknięcie się i odgródzenie od innych. Owo chwilowe i praktyczne rozczłonkowanie wiedzy możliwe jest dzięki stałości i dokładności metod. Za pomocą tych metod pracuje się jak przy użyciu maszyny. Po to, by otrzymać wartościowe wyniki, nie trzeba wcale znać ich sensu ani ich podstaw. Tak więc większość naukowców

przyczynia się do ogólnego postępu nauki siedząc w zamkniętych komórkach swoich laboratoriów, jak pszczoły w plastrze lub jak sztucze w swoim futerale.

Ale sytuacja ta rodzi nadzwyczaj dziwny typ człowieka. Badacza, który odkrył jakieś nowe zjawisko przyrody, ogarnia siłą rzeczy poczucie wyższości i pewności siebie. W swoim mniemaniu czuje się usprawiedliwiony w tym, że uważa siebie za „człowieka, który wie”. I rzeczywiście, tkwi w nim fragment czegoś, co w połączeniu z innymi elementami, których w nim już nie ma, tworzy razem prawdziwą wiedzę. Taka więc jest sytuacja duchowa specjalisty, który w pierwszych latach tego wieku doszedł do stanu najbardziej frenetycznej przesady. Specjalista „wie” wszystko o swoim malutkim wycinku wszechświata, ale co do całej reszty jest absolutnym ignorantem.

Oto wspaniały przykład owego nowego człowieka, którego starałem się zdefiniować, opisując różne jego rysy i cechy. Mówiłem, iż jest to typ istoty ludzkiej nie mający w dziejach precedensu. Specjalista może posłużyć jako konkretny przykład tego gatunku, ułatwiając nam zrozumienie całego radykalizmu tej nowości. Przedtem ludzi dzieliło się w sposób prosty, na mądrych i głupich, na mniej lub bardziej mądrych i mniej lub bardziej głupich. Ale specjalisty nie można włączyć do żadnej z tych kategorii. Nie jest człowiekiem mądrym, bo jest ignorantem, jeśli chodzi o wszystko, co nie dotyczy jego specjalności; jednak nie jest także głupcem, ponieważ jest „człowiekiem nauki” i zna bardzo dobrze swój malutki wycinek wszechświata. Trzeba więc o nim powiedzieć, że jest mądro-głupi. Jest to sprawa nadzwyczaj groźna, oznacza bowiem, że człowiek ten wobec wszystkich spraw, na których się nie zna, nie przyjmuje postawy ignoranta, lecz wręcz przeciwnie, traktuje je z wyniosłą pewnością siebie kogoś, kto jest uczony w swej specjalnej dziedzinie. I w istocie tak właśnie zachowuje się specjalista. Wobec polityki, sztuki, obyczajów społecznych i towarzyskich, a także wobec innych nauk przyjmuje postawę najgłupszego prymitywa; ale robi to z przekonaniem i pewnością siebie, nie dopuszczając - i to jest rzecz paradoksalna - możliwości istnienia specjalistów w tamtych dziedzinach. Cywilizacja, czyniąc go specjalistą, spowodowała zarazem to, że w pełni z siebie zadowolony zamknął się hermetycznie we własnej ograniczoności; a z kolei wewnętrzne poczucie zadufania i własnej wartości prowadzi go do tego, iż pragnie dominować także w dziedzinach nie mających nic wspólnego z jego wąską specjalizacją. Rezultat jest taki, iż mimo że w swojej specjalności osiągnął najwyższe kwalifikacje - specjalizację - a więc cechę wręcz przeciwną do tych, które charakteryzują człowieka masowego, to jednak we wszystkich innych dziedzinach życia zachowuje się jak pozbawiony wszelkich kwalifikacji człowiek masowy.

Nie jest to sprawa błaha. Każdy, kto chce, może zauważyć, jak głupio dziś myślą i postępują w takich sprawach jak polityka, sztuka, religia, lub gdy w grę wchodzi ogólnie problemy życia i świata, „ludzie nauki” i oczywiście, za ich przykładem, lekarze, inżynierowie, finansjści, nauczyciele, itp. Ta postawa „niesłuchania”, niepodporządkowywania się żadnym instancjom wyższym, która, jak już wielokrotnie powtarzałem, cechuje człowieka masowego, osiąga szczyty właśnie u tych ludzi częściowo wykwalifikowanych. Oni to symbolizują obecne imperium mas, które z nich w znacznej mierze się składa, a ich barbarzyństwo jest najbardziej bezpośrednią przyczyną demoralizacji Europy.

Z drugiej strony stanowię najjaskrawszy i najdoskonalszy przykład tego, jak cywilizacja zeszłego wieku *pozostawiona własnym skłonnościom* spowodowała odrodzenie się prymitywizmu i barbarzyństwa.

Najbardziej bezpośrednim wynikiem tej *niczym nie kompensowanej* specjalizacji jest to, że obecnie, kiedy mamy na świecie więcej „ludzi nauki” niż kiedykolwiek przedtem, mamy też znacznie mniej ludzi „kulturalnych i wykształconych” niż np. w roku 1750. Najgorsze jest to, że te naukowe pszczoły nie gwarantują nawet postępów samej nauki. Postęp w nauce wymaga tego, by od czasu do czasu, w ramach organicznej regulacji wzrostu, podsumować osiągnięte wyniki. Staje się to coraz trudniejsze, ponieważ ogarniać trzeba coraz to szersze dziedziny ogółu wiedzy. Newton mógł stworzyć system fizyki, nie mając zbyt wielkiego pojęcia o filozofii, ale Einstein, by móc stworzyć teoretyczną syntezę, musiał najpierw przesiąknąć Kantem i Machem. Kant i Mach - nazwiska te tylko symbolizują cały ogrom myśli filozoficznej i psychologicznej, która wywarła wpływ na Einsteina - posłużyli do *uwolnienia* umysłu, otwierając Einsteinowi drogę do nowych teorii. Ale Einstein nie wystarczy. Fizyka wkracza w okres najgłębszego w swych dziejach kryzysu, a uratować ją może tylko nowa encyklopedia, bardziej systematyczna od pierwotnej.

Tak więc specjalizacja, dzięki której możliwy był rozwój nauk eksperymentalnych w ciągu całego wieku, dochodzi obecnie do momentu, od którego sama z siebie nie będzie już mogła postępować naprzód.

Chociaż specjalista nie zna zasad fizjologii wewnętrznej nauki, którą sam uprawia, to jednak jeszcze głębsza i groźniejsza jest jego ignorancja w zakresie dziejowych warunków przetrwania, czyli co do tego, jak powinny być zorganizowane społeczeństwa, a także wnętrze człowieka, by na świecie w dalszym ciągu istnieć mogli naukowcy. Zmniejszenie się liczby chętnych do podejmowania pracy naukowej - o czym już wspominałem - jest symptomem budzącym zaniepokojenie wszystkich tych, którzy mają jasne wyobrażenie o tym, czym jest cywilizacja. Brakuje owej idei na ogół typowym „ludziom nauki”, śmietance naszej cywilizacji. Oni także wierzą, że cywilizacja *jest czymś zastanym*, odwiecznym i prostym jak skorupa ziemiska i pierwotna puszca.

XIII

Państwo - największe niebezpieczeństwo

Tam, gdzie istnieje porządek w sprawach publicznych, masa jest tym, co nie działa samo przez się. Taka jest jej misja. Pojawiła się w świecie po to, by nią kierowano, by na nią wpływano, by ją reprezentowano, by ją organizowano - a nawet po to, by przestać być masą czy przynajmniej do tego celu zmierzać. Ale nie przyszła na świat po to, by to wszystko miała robić sama z siebie. Życie swoje musi odnosić do instancji nadrzędnych, jakimi są doskonalsze mniejszości. Można do woli dyskutować, jacy ludzie są doskonalsi; ale fakt, że bez nich - czy nimi będą ci czy tamci - ludzkość nie istniałaby w tym, co dla niej najistotniejsze, nie powinien dla nikogo ulegać wątpliwości. Europa już od przeszło wieku stara się, chowając jak struś głowę w piasek, nie dostrzegać tej oczywistej prawdy. Sąd ten nie jest bowiem oparty na mniej lub bardziej powszechnych czy prawdopodobnych faktach, lecz na prawie „fizyki” społecznej, znacznie bardziej niewzruszonym niż prawa fizyki Newtona. Tego dnia, kiedy w Europie znowu zapanuje autentyczna filozofia⁴⁷ - jedyna rzecz, która może ją uratować - ludzie zaczną sobie znowu zdawać sprawę z tego, że człowiek - niezależnie od tego, czy ma na to ochotę, czy nie - jest istotą, która ma wręcz organiczną potrzebę poszukiwania jakiejś wyższej instancji. Jeśli uda mu się samemu ją odnaleźć, okaże się, że jest człowiekiem doskonalszym; jeśli nie, okaże się człowiekiem masowym, któremu ktoś musi ją podsunąć.

Tak więc zachęcanie mas, by działały same z siebie, jest równoznaczne z buntowaniem ich przeciw ich własnemu przeznaczeniu, a ponieważ to właśnie obecnie ma miejsce, dlatego mówię o buncie mas. Bo w ostatecznym rachunku naprawdę i zgodnie z istotą rzeczy buntem można nazwać coś, co polega nie na akceptacji własnego przeznaczenia, ale na zbuntowaniu się przeciw sobie samemu. Dokładnie rzecz biorąc, takim samym buntem ze strony archaniola Lucyfera upierającego się przy tym, że jest równy Bogu, byłoby obstawanie przy tym, że jest najbardziej podrzędnym aniołem, jako że ani to, ani tamto nie było jego przeznaczeniem. (Gdyby Lucyfer był Rosjaninem jak Tolstoj, to może wolałby obrać tę ostatnią drogę buntu, tak samo skierowaną przeciwko Bogu, choć nie tak sławną jak ta pierwsza).

Kiedy masa zaczyna działać sama przez się, czyni to w jeden tylko sposób, bo innego nie zna: linczuje. Nie jest sprawą zupełnego przypadku, że prawo linczu zrodziło się właśnie w Ameryce, która jest w pewnym sensie rajem mas. Jeszcze mniej powinno nas dziwić to, że dzisiaj, kiedy masy triumfują, triumfuje także gwałt i czyni się z niego jedyną *ratio*, jedyną doktrynę. Od dawna już obserwuję rosnącą tendencję do uznawania przemocy za normę.⁴⁸ Obecnie osiągnęła ona moment maksymalnego rozwoju, co jest objawem pocieszającym, oznacza bowiem, że teraz automatycznie zacznie się jej powolny regres. Dziś gwałt jest już retoryką naszych czasów, przyswoili go sobie retorzy i demagogowie. Kiedy jakaś ludzka rzeczywistość wypełni swą misję dziejową, rozbije się o skały i zginie, to fale wyrzucają ją na brzeg retoryki, gdzie jej martwe szczątki na długo jeszcze znajdują schronienie. Retoryka to cmentarz ludzkich rzeczywistości, w najlepszym zaś razie - przytułek dla inwalidów. W życiu rzeczywistym pozostaje jej nazwa, która jakkolwiek jest tylko słowem, to jednak jest słowem, które zawsze zawiera w sobie jakąś moc magiczną.

Mimo iż jest to zupełnie prawdopodobne, że prestiż gwałtu jako cynicznie ustalonej normy zaczyna się zmniejszać, to jednak w najbliższej przyszłości będziemy w dalszym ciągu pod jego panowaniem, aczkolwiek przybierze może inną postać.

Mam tu na myśli największe niebezpieczeństwo, jakie dzisiaj zagraża cywilizacji europejskiej. Tak samo jak wszystkie inne niebezpieczeństwa, które jej dziś zagrażają, również i to z niej właśnie wzięło swój początek. Nawet więcej: jest jednym z jej najdumniejszych osiągnięć; mam tu na myśli współczesne państwo. Mamy więc do czynienia z repliką tego samego zjawiska, o którym wspominaliśmy już w poprzednim rozdziale, kiedy mowa była o nauce: płodność zasad, na których się ona opiera, sprawia, że możliwy staje się wspaniały postęp, ten zaś w sposób nieunikniony prowadzi do specjalizacji, która z kolei grozi zdławieniem nauki.

To samo odnosi się do państwa. Przypomnijmy sobie, czym dla narodów europejskich było państwo z końca XIII wieku. Czymś bardzo mało istotnym. Rodzący się kapitalizm i jego organizacje przemysłowe, w których po raz pierwszy triumfowała technika - ta nowa, zrjonalizowana, spowodowały początkowo rozrost społeczeństwa. Pojawiła się nowa klasa społeczna - burżuazja, od klas już istniejących potężniejsza zarówno pod względem liczebności, jak siły. Owa prężna i bezczelna burżuazja miała przede wszystkim i nade wszystko jeden dar: talent, talent praktyczny. Umiała organizować, porządkować i nadawać swoim wysiłkom trwały kształt. Unoszona przez nią, jak przez ocean, płynęła majestatycznie „nawa państwowa”. Nawa państwowa to metafora odświeżona przez burżuazję, która sama czuje się jak ocean, wszechmocna i brzemenna w burze.

⁴⁷ Po to, by zapanowała filozofia nie potrzeba wcale, by władze sprawowali filozofowie - jak tego początkowo chciał Platon, ani też by władcy filozofowali - jak sobie z większą już skromnością tego życzył potem. Urzeczywistnienie się obu tych możliwości byłoby jak najbardziej zgubne. Do tego, by filozofia panowała, wystarczy, by ją uprawiano, to jest, by filozofowie byli filozofami. Od mniej więcej stu lat filozofowie są wszystkim, tylko nie tym - są politykami, pedagogami, literatami albo też „ludźmi nauki”.

⁴⁸ Patrz *Espana invertebrada* (wyd. I, 1921).

Dotychczas owa nawa była niczym albo czymś zupełnie nieistotnym, dysponowała niewielką liczbą żołnierzy, kilkoma urzędnikami i bardzo ograniczoną ilością pieniędzy. Stworzona została w średniowieczu przez klasę bardzo różną od burżuazji: przez szlachtę, godną podziwu przez wzgląd na jej odwagę, dar rządzenia, poczucie odpowiedzialności. Bez niej nie byłoby współczesnych narodów europejskich. Jednakże, pomimo wszelkich owych zalet serca, szlachta w swych działaniach nie kierowała się nigdy rozumem. Z innego podłoża czerpała soki życiowe. Inteligencja ludzi szlachtetnie urodzonych była bardzo ograniczona, kierowali się raczej uczuciami, instynktem, intuicją, krótko mówiąc byli ludźmi „irracjonalnymi”. Dlatego też nie byli w stanie rozwinąć jakiegokolwiek techniki, rzeczy, która wymaga racjonalności. Nie wymyślili prochu. Męczyło ich to i nudziło. Sami niezdolni do wynalezienia nowej broni, zostawili burżuazji wynalazek prochu, niezależnie od tego, jakie było jego pochodzenie, ze Wschodu czy skądkolwiek indziej; niejako automatycznie umożliwili jej tym samym odnoszenie zwycięstw nad szlachtetnie urodzonym wojownikiem, nad „rycerzem”, idiotycznie zakutym w żelazo, w którym zaledwie mógł się poruszać na siodle i któremu nawet do głowy nie przyszło, że odwiecznym sekretem sukcesów wojennych jest nie tyle doskonałość środków obrony, co raczej środków agresji (dla nas ów sekret ponownie odkrył Napoleon).⁴⁹

Państwo to technika, technika utrzymywania porządku publicznego i administracji, natomiast dawny ustrój końca XVIII wieku doprowadził do tego, że państwo ze wszystkich stron nadszarpywane przez rozrastające się i zrewoltowane społeczeństwo stało się niebywale słabe. Dysproporcja pomiędzy władzą państwa a władzą sprawowaną przez społeczeństwo była wtedy taka, że jeśli ówczesną sytuację porównać z sytuacją w czasach Karola Wielkiego, to łatwo zauważyć, iż państwo z XVIII wieku reprezentowało stadium degeneracji. Oczywiście państwo Karola Wielkiego było słabsze od państwa Ludwika XVI, tyle tylko, że społeczeństwo w okresie Karolingów nie reprezentowało jeszcze żadnej siły.⁵⁰ Olbrzymia różnica poziomów pomiędzy siłą społeczeństwa a mocą władzy publicznej umożliwiła Rewolucję oraz rewolucje do roku 1848.

Wraz z Rewolucją władza publiczna przeszła w ręce burżuazji, która w kierowaniu państwem znalazła zastosowanie dla swych niezaprzeczalnych cnót, dzięki czemu w ciągu życia zaledwie jednego pokolenia udało jej się stworzyć potężne państwa, które skończyły z rewolucjami. Od roku 1848, to znaczy od momentu, kiedy władzę przejęło drugie pokolenie rządów burżuazyjnych, nie było już w Europie prawdziwej rewolucji. I to na pewno nie dlatego, że nie było po temu powodów, lecz dlatego, że nie było środków. Władza publiczna złała się w jedno z władzą społeczną. Od tej chwili *żegnajcie już na zawsze rewolucje!* Teraz możliwe jest w Europie już tylko przeciwieństwo rewolucji, mianowicie zamach stanu. Od tej chwili wszystko, co przybierało szaty rewolucji, było po prostu zamaskowanym Zamachem Stanu.

Państwo w naszych czasach stało się dzięki skuteczności licznych, precyzyjnie działających środków będących w jego dyspozycji, wspaniałą, doskonale funkcjonującą maszyną. Ponieważ tkwi ono we wnętrzu społeczeństwa, wystarczy nacisnąć jedną sprężynę, by uwolnić dźwignie i puścić w ruch potężne mechanizmy, które zaczynają natychmiast skutecznie oddziaływać na określony fragment społecznego organizmu.

Współczesne państwo jest najbardziej rzucającym się w oczy i najszerzej znanym wytworem cywilizacji. Rzeczą nadzwyczaj interesującą jest obserwowanie postawy, jaką wobec państwa przyjmuje człowiek masowy. Widzi je, podziwia je, wie, że jest *czymś zastanym*, zapewnijającym mu bezpieczne życie; ale nie zdaje sobie sprawy z tego, iż jest to twór ludzki, przez pewnych ludzi wymyślony i oparty na pewnych założeniach i cnotach, które niegdyś w ludziach tkwiły, a które jutro mogą z nich wyparować. Z drugiej strony, człowiek masowy widzi w państwie anonimową władzę, a ponieważ sam czuje się istotą anonimową, pospolitą, wierzy, iż państwo jest czymś, co do niego należy. Przypuśćmy, że w życiu publicznym jakiegoś kraju pojawiają się trudności czy konflikty; człowiek masowy domaga się natychmiast, by państwo się tym zajęło, by bezpośrednio, za pomocą będących w jego dyspozycji potężnych środków rozwiązywało wszelkie problemy.

To właśnie jest największe niebezpieczeństwo, jakie dziś zagraża cywilizacji: upaństwowienie życia, interwencjonizm państwowy, wchłonięcie przez państwo wszelkiej społecznej spontaniczności; wszystko to oznacza unicestwienie historycznej żywiowości, która w ostatecznym rachunku utrzymuje, żywi i popycha naprzód ludzkie przeznaczenie. Dla masy, która napotkała jakieś trudności czy po prostu rozbudziła w sobie

⁴⁹ Ten uproszczony obraz wielkiej historycznej zmiany, polegającej na zastąpieniu przewagi szlachty przez panowanie burżuazji, zawdzięczamy Rankemu; jest jednak rzeczą oczywistą, że jego symboliczna i schematyczna prawda wymaga wielu uzupełnień, by w pełni być prawdziwą. Proch znany był ludziom od niepamiętnych czasów. Wynalazek ładowania i odpalania z lufy zawdzięczamy jakiemuś Lombardczykowi. Ale to także nie zapewniało skuteczności, dopóki nie wynaleziono odlewanej z metalu kuli. „Szlachtetnie urodzeni” używali broni palnej, w pewnych, niewielkich ilościach, ale była ona za droga. Dopiero wojska burżuazyjne, ekonomicznie lepiej zorganizowane, mogły używać jej na większą skalę. Poza tym nie ulega wątpliwości, że szlachta reprezentująca wojsko typu średniowiecznego zostałaby ostatecznie pokonana przez nowe wojsko, nie zawodowe, lecz burżuazyjne, jakiego doskonalym przykładem byli Szwajcarzy. Ich podstawowa siła polegała na nowego typu dyscyplinie i nowej racjonalizacji taktyki.

⁵⁰ Należy tu mocno podkreślić fakt, że europejskie monarchie absolutne opierały się w swym działaniu na bardzo słabych państwach. Jak to wytłumaczyć? Społeczeństwa tych państw zaczynały się już rozrastać i umacniać. Dobrze, ale jeżeli państwo było wszechmocne (władza była przecież „absolutna”), dlaczego nie potrafiło umocnić samo siebie? Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy już wymieniliśmy, była nią techniczna, biurokratyczna i organizacyjna nieudolność arystokracji krwi. Ale to jeszcze nie wszystko. Poza tym *arystokracje* w państwie absolutnym *nie chciały wzmacniać państwa kosztem praw społeczeństwa*. Wbrew temu, co się na ogół sądzi, państwa absolutne instynktownie szanowały społeczeństwo w znacznie większym stopniu niż nasze państwa demokratyczne, inteligentniejsze, ale o znacznie mniejszym poczuciu historycznej odpowiedzialności.

przemóżny apetyt na coś, wielką pokusę stanowi owa stała i pewna możliwość zdobycia wszystkiego - bez wysiłku, walki, wątpliwości czy ryzyka - za naciśnięciem sprężyny puszczającej w ruch cudowną maszynę. Masa powiada: „Państwo to ja”, a to jest całkowitym błędem. Państwo jest masą jedynie w tym sensie, w jakim można powiedzieć o dwu ludziach, że są identyczni, ponieważ ani jeden, ani drugi nie ma na imię Jan. Współczesne państwo i masę łączy jedynie ich anonimowość. Rzecz jednak w tym, że człowiek masowy rzeczywiście wierzy w to, że państwo to on, i coraz usilniej dąży do tego, by za jego pomocą niszczyć pod jakimkolwiek pretekstem wszelkie twórcze mniejszości, które mu przeszkadzają, i to we wszystkich dziedzinach życia, w polityce, ideologii, przemyśle.

Rezultaty tych dążeń okażą się fatalne. Społeczna żywiołowość będzie stale łamana przez interwencję państwa; nie będzie mogło zakiełkować żadne nowe ziarno. Społeczeństwo będzie musiało żyć *dla* państwa; człowiek *dla* maszyny rządowej. Jednak w ostatecznym rachunku państwo jest tylko maszyną, której istnienie i utrzymanie uzależnione jest od otaczających ją żywych osobników. Kiedy zatem wysysie ze społeczeństwa ostatnią kroplę krwi, zniszczy zarazem samo siebie; pozostanie po nim martwy szkielet, zmarły zardzewiałą śmiercią maszyn, jeszcze bardziej trupią niż śmierć organizmów żywych.

Taki właśnie był smutny koniec cywilizacji starożytnej. Nie ulega wątpliwości, że imperium stworzone przez Juliuszy i Klaudjuszy było wspaniałą maszyną, bez porównania bardziej doskonałą od dawnego republikańskiego państwa patrycjuszy. Ale - dziwnym zbiegiem okoliczności - zaledwie zdążyło osiągnąć szczyt swojego rozwoju, już zaczęło psuć się i marnieć jego społeczeństwo. W czasach Antoniuszy (II wiek) ucisk Państwa zaczyna wyniszczać społeczeństwo, które popada w niewolę, zmuszone żyć jedynie w *służbie państwa*. Całość życia ulega biurokratyzacji. Co się teraz dzieje? Biurokratyzacja życia powoduje jego zupełny upadek - i to we wszystkich dziedzinach. Ludność ubożeje, kobiety rodzą coraz mniej dzieci. W tej sytuacji państwo dla zaspokojenia ich potrzeb jeszcze bardziej usztywnia formę biurokratyzacji. Następnym etapem jest militaryzacja społeczeństwa. Najważniejszym organem państwa jest jego aparat wojenny, jego wojsko. Państwo jest przede wszystkim gwarantem bezpieczeństwa (to bezpieczeństwo, jak pamiętamy, rodzi ludzi masowych). Dlatego też państwo to w pierwszym rzędzie wojsko. Pochodzący z Afryki Sewerowie militaryzują świat. Próżne to jednak wysiłki! Rośnie nędza, płodność kobiet maleje z każdym dniem. Brakuje już nawet żołnierzy. Po zakończeniu panowania Sewerów do wojska trzeba już było zaciągać cudzoziemców.

Jaki jest więc ten paradoksalny a zarazem tragiczny proces rozwoju państwowości? Społeczeństwo dla zapewnienia sobie lepszego życia tworzy narzędzie w postaci państwa. Potem państwo przyjmuje władzę i społeczeństwo musi żyć dla państwa⁵¹. Mimo wszystko na państwo składają się członkowie tego społeczeństwa. Wkrótce jednak nie wystarcza ich już do utrzymania państwa i trzeba odwołać się do cudzoziemców: początkowo Dalmatyńczyków, a potem Germanów. Władza w państwie przechodzi w ręce cudzoziemców, a resztki społeczeństwa, narodu, który to państwo stworzył, służyć muszą cudzoziemcom, ludziom, z którymi nie mają nic wspólnego. Do tego doprowadził interwencjonizm państwa: lud stał się mięsem i ciastem, które żywi i utrzymuje w ruchu maszynę państwa. Szkielet pożera otaczające go ciało. Kościotrup staje się właścicielem i mieszkańcem domu.

Jeśli się już wie to wszystko, ogarnia człowieka przerażenie, kiedy Mussolini histerycznym wrzaskiem ogłasza jako wspaniałe odkrycie wprowadzaną obecnie we Włoszech zasadę - *wszystko dla Państwa; nic poza Państwem; nic przeciwko Państwu*. Już to samo wystarczy, by rozpoznać w faszyzmie typowy ruch ludzi masowych. Mussolini objął państwo doskonale zorganizowane, lecz nie przez niego, a przez te właśnie siły i idee, które zwalczał, tj. przez liberalną demokrację. Sam ogranicza się do posługiwania się gotowym instrumentem i chociaż nie zamierzam tu oceniać jego szczegółowych posunięć, jest sprawą niewątpliwą, iż rezultatów, jakie dotychczas udało mu się osiągnąć, nie można nawet porównywać z tymi, jakie w politycznym i administracyjnym funkcjonowaniu udało się osiągnąć państwu liberalnemu. Jeśli nawet udało mu się jakieś sprawy rozwiązać, to są to kwestie tak drobne i mało istotne, iż w żadnym razie nie usprawiedliwiają zgromadzenia nadzwyczajnych środków władzy, która pozwoliłaby mu na używanie maszyny państwowej w tak krańcowy sposób.

Etatyzm to najwyższa forma przemocy i akcji bezpośredniej, przetworzonych w normę. Masy za pośrednictwem anonimowej maszyny państwa działają same przez się.

Narody Europy mają teraz przed sobą okres wielkich trudności wewnętrznych, problemów ekonomicznych, prawnych oraz innych, związanych z utrzymaniem porządku publicznego. Jak się tu nie lękać o to, że pod panowaniem mas państwu może zostać zlecone zadanie zniesienia niezależności jednostek czy grup, a tym samym ostateczne zaprzepaszczenie nadziei na przyszłość?

Konkretnym przykładem działania tego mechanizmu jest jedno z najbardziej alarmujących w ostatnim trzydziestoleciu zjawisk, a mianowicie: olbrzymi wzrost sił policji, który daje się zauważyć we wszystkich krajach Europy. Nieuniknioną tego przyczyną jest wzrost liczebności społeczeństwa. Choć wydaje nam się to rzeczą zupełnie naturalną, jednak nie powinniśmy tracić z pola widzenia strasznego paradoksu, jakim jest to, że ludność współczesnego dużego miasta, aby się po nim spokojnie poruszać i załatwiać swoje codzienne

⁵¹ Przypomnijmy tu ostatnie słowa Septimiusza Sewera skierowane do synów: „Trzymajcie się razem, płacicie żołnierzom i niczym innym się nie przejmujcie”.

sprawy, potrzebuje, i to w sposób nieunikniony, kierującej ruchem policji. Ale jedynie niewinna naiwność ludzi „porządných” każe im wierzyć, że owe „siły porządkowe” stworzone po to, by utrzymywać porządek, zadowolą się na zawsze pilnowaniem tego, by zachowywane były ustalone przez nich reguły. Kończy się to zawsze i w sposób nieunikniony tym, że. „siły porządkowe” same określają i rozstrzygają, jak ten porządek ma wyglądać; oczywiście, bo jakże by inaczej, okazuje się, iż ma on być taki, jaki jest dla nich wygodny.

Dobrze by tu może było, skoro już mowa o tych sprawach, zwrócić uwagę na różne reakcje społeczeństw na pewne publiczne potrzeby. Kiedy około 1800 roku w związku z rodzącym się przemysłem pojawił się nowy, bardziej kryminogenny typ człowieka, czyli robotnik przemysłowy, Francja stworzyła natychmiast potężną policję. Z tych samych powodów, około 1810 r. wzrosła znacznie przestępczość w Anglii, a wówczas Anglicy zdali sobie nagle sprawę z tego, że policji nie mają. W tym czasie rządili krajem konserwatyści. I cóż robią? Tworzą policję? Nic z tych rzeczy. Wolą, możliwie jak najdłużej, sami jakoś znosić kłopoty związane z przestępczością. „Ludzie decydują się pozostawić w swym życiu miejsce na nieporządek, traktując to jako cenę wolności”. „W Paryżu - pisze John William Ward – mają wspaniałą policję, ale drogo za to płacą. Wolę obejrzeć raz na trzy, cztery lata pół tuzina egzekucji na Radcliffe Road, niż znosić domowe wizyty funkcjonariuszy policji, szpiegowanie i inne rozliczne machinacje Fouchego”⁵². Są to dwa różne pojęcia państwa. Dla Anglika kompetencje państwa powinny mieć swoje granice.

⁵² Patrz Elie Halevy, *Histoire du peuple anglais au XIX-e siecle*, Paris 1912, t-1, s. 40.

Część druga

KTO RZĄDZI ŚWIATEM?

XIV

Kto rządzi Światem?

Cywilizacja europejska - jak to już kilkakrotnie powtarzałem - spowodowała automatycznie bunt mas. Z jednej strony jest to zjawisko napawające optymizmem; jak już mówiliśmy, bunt mas jest jednoznaczny ze wspaniałym rozrostem ludzkiego życia, którego jesteśmy obecnie świadkami. Z drugiej jednak strony, jest to zjawisko groźne, bo bunt mas jest jednoznaczny z dogłębną demoralizacją ludzkości. Spójrzmy teraz na to z nowego punktu widzenia.

1

Istota albo charakter nowej epoki historycznej wypływa ze zmian wewnętrznych - człowieka i jego ducha - oraz zewnętrznych - formalnych i niejako mechanicznych. Wśród tych ostatnich najważniejsza jest bez wątpienia sprawa zmiany władzy. Ta pociąga za sobą zmianę ducha.

Dlatego też, chcąc zrozumieć daną epokę, powinniśmy przede wszystkim zadać sobie pytanie: „Kto w tej epoce rządzi światem?”. Może się zdarzyć, że w interesującym nas okresie ludzkość rozproszona jest w małe grupki wzajemnie się nie komunikujące, tworząc własne, odrębne światy. W czasach Milcjadesa świat śródziemnomorski nie wiedział o istnieniu świata Dalekiego Wschodu. W takim wypadku nasze pytanie „Kto rządzi światem?” trzeba by odnosić osobno do każdego z tych światów. Ale już od XVI wieku ludzkość weszła na wielką drogę zjednoczenia, które w naszych czasach zostało ostatecznie zakończone. Obecnie nie ma już najmniejszej części ludzkości, która by żyła oddzielnie, nie ma odrębnych ludzkich wysepek. Dlatego też, począwszy od tamtego wieku można powiedzieć, że kto rządzi światem, ten rzeczywiście swoim autorytetem oddziaływa na cały świat. W ostatnich trzech wiekach taką rolę odgrywała jednolita grupa, tworzona przez narody europejskie. Europa rządziła, a pod jej zjednoczonymi rządami świat żył w podobnym, coraz bardziej jednolitym stylu.

Ten styl życia określa się zazwyczaj jako „wieki nowożytne”; za tym nowym i mało wyrazistym słowem ukrywa się rzeczywistość, jaką jest epoka europejskiej hegemonii.

Mówiąc tu o „rządach”, nie mam na myśli sprawowania władzy materialnej czy fizycznej, bo ambicją moją jest unikanie głupstw, a w każdym razie tych najbardziej rażących i oczywistych. A zatem, ów normalny i stały stosunek między ludźmi, który nazywamy „rządzeniem”, *nigdy nie bierze swoich początków z siły*, lecz na odwrót; dany człowiek czy grupa ludzi dlatego ma do swojej dyspozycji ową maszynę społeczną, którą zwiemy „władzą”, że sprawuje ją. Te wypadki, kiedy to na pierwszy rzut oka wydaje się, iż siła stanowi fundament rządów, po głębszym zbadaniu sprawy okazują się najlepszym przykładem potwierdzającym moją tezę. Napoleon najechał i podbił Hiszpanię, po czym przez jakiś czas ją okupował, ale ani przez moment nie sprawował w Hiszpanii rządów w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Pomimo iż dysponował siłą, i właśnie dlatego, że wyłącznie siłą. Należy odróżnić fakt czy proces agresji od sytuacji rządzenia. Rządzenie to normalne sprawowanie władzy, która opiera się zawsze na opinii publicznej; zawsze i wszędzie, zarówno dziś, jak i dziesięć tysięcy lat temu, zarówno wśród Anglików, jak i wśród dzikich plemion Amazonki. Każdy, kto rządził na tej ziemi, opierał swe rządy w głównej mierze nie na czymś innym, lecz na opinii publicznej.

Czy jest ktoś zdania, iż władza opinii publicznej stanowi odkrycie dokonane w 1789 roku przez adwokata nazwiskiem Danton, czy może w XIII wieku przez św. Tomasza z Akwinu? Pojęcie władzy opinii publicznej odkryto tu czy tam, w tym czy tamtym roku; ale sam fakt, że opinia publiczna jest podstawową siłą, która powoduje, iż w społeczeństwach ludzkich występuje zjawisko władzy, jest równie odwieczny i niezmienny jak sam człowiek. Jak w fizyce Newtona ciężenie jest siłą, która powoduje ruch, tak prawo opinii publicznej jest uniwersalnym ciężeniem w politycznych dziejach. Bez tego nawet nauka historyczna nie byłaby możliwa. Dlatego też miał rację Hume, kiedy mówił, że zadanie historii polega na wykazywaniu, jak władza opinii publicznej daleka od tego, by być jedynie utopijnym dążeniem, stanowi ten właśnie czynnik, który zawsze najmocniej ciążył na ludzkich społeczeństwach. Tak więc nawet ten, kto dąży do rządów przy pomocy

janczarów, uzależniony jest zarówno od opinii tych ostatnich, jak i od opinii, jaką się oni cieszą wśród pozostałych mieszkańców kraju.

Prawda jest taka, że przy pomocy janczarów nie sprawuje się rządów. Talleyrand tak kiedyś powiedział do Napoleona: „Bagnetami można wszystko załatwić, Sire, ale do jednego się nie nadają - nie można na nich usiąść”. A rządzenie to nie jest gwałtowne wymuszanie władzy, lecz jej spokojne sprawowanie. Czyli, krótko mówiąc: sprawować rządy to znaczy usiąść. Tron, krzesło edyła, niebieska ława, fotel ministerialny, stolec. Wbrew naiwnym, obiegowym sądom rządzenie to nie tyle sprawa pięści, co pośladek. Państwo to w ostatecznym rachunku stan⁵³ opinii; sytuacja statycznej równowagi.

Zdarza się natomiast, że opinia publiczna nie istnieje. W społeczeństwie podzielonym na zwalczające się grupy, których siła opinii wzajemnie się znosi, nie ma miejsca na ustanowienie rządów. Mamy wówczas do czynienia ze zjawiskiem podobnym do tych, jakie zachodzą w przyrodzie, która, jak wiadomo, nie znosi próżni. Otóż pustkę, jaką stwarza nieobecność siły opinii publicznej, wypełnia brutalna siła fizyczna, czyli innymi słowy ta ostatnia staje się niejako substytutem tej pierwszej.

Dlatego też, jeśli się chce w pełni precyzyjnie przedstawić prawo opinii publicznej jako prawo ciężenia historycznego, trzeba pamiętać także o wypadkach, kiedy owa opinia publiczna nie istnieje, a dojdziemy wówczas do starej, szacownej i banalnej prawdy, że można rządzić wbrew opinii publicznej.

Dochodzimy zatem do stwierdzenia, iż rządzenie oznacza panowanie pewnej opinii albo też pewnego ducha, czyli że, ostatecznie rzecz biorąc, rządzenie to nic innego, jak sprawowanie władzy duchowej. Fakty historyczne potwierdzają to w całej rozciągłości. Wszelkie rządy pierwotne mają charakter sakralny, ponieważ opierają się na religii, a religia jest zawsze pierwotną formą tego, co potem przybiera postać ducha, idei, opinii, czyli ogólnie rzecz biorąc tego, co niematerialne, pozafizyczne. Z tym samym zjawiskiem, tylko na wielką skalę, mieliśmy do czynienia w wiekach średnich.

Pierwszym państwem czy władzą publiczną, która powstała w Europie, był Kościół z jego specyfiką i niejako *ex definitione* „władzą duchową”. Przedstawiciele władzy politycznej nauczyli się od Kościoła, że w gruncie rzeczy oni także sprawują władzę duchową, nadając moc pewnym ideom; i tak powstało Świąte Cesarstwo Rzymskie. Doszło więc do tego, że zwalczać się zaczęły dwie władze, które nie mogąc rozdzielić kompetencji w swej najistotniejszej treści - obie odnoszą się do sfery duchowej - uzgodniły podział czasowy: do jednej należą sprawy doczesności, do drugiej zaś wieczności. Władza doczesna i władza religijna są tak samo duchowe; ale pierwsza reprezentuje ducha czasu: opinię publiczną, światową i zmienną; druga - ducha wieczności: opinię Boga o ludziach i ich przeznaczeniu.

Można zatem równie dobrze powiedzieć, że w takim to a takim okresie rządził dany człowiek, naród czy jednolita grupa narodów, jak i że w takim to a takim okresie panował na świecie dany system opinii - idei, ugrupowań, dążeń i celów.

Jak to panowanie rozumieć? Olbrzymia większość ludzi nie ma żadnej własnej opinii, a zatem trzeba im ją wtłoczyć z zewnątrz, tak samo jak wtłacza się smar w łożyska maszyny. Dlatego też po to, by ludzie, którzy własnej opinii nie mają (a tych jest większość) mogli jakąś opinię mieć, jest rzeczą konieczną, by duch - jakikolwiek - miał i sprawował władzę.

Bez opinii współzycie ludzkie byłoby chaosem, a nawet więcej, byłoby dziejową nicością. Bez opinii życie ludzkie byłoby pozbawione konstrukcji i organizacji. Dlatego też ludzkość ogarnia chaos, kiedy zaczyna brakować władzy duchowej, kiedy nie ma kogoś, kto rządzi. Tak samo każda zmiana władzy, każda zmiana rządzących oznacza zarazem zmianę opinii i co za tym idzie, zmianę historycznego ciężenia.

Wróćmy teraz do początku. W różnych wiekach Europa, konglomerat duchowo pokrewnych sobie narodów, rządziła światem. W wiekach średnich nikt nie rządził światem doczesnym. Dzieje się tak zawsze we wszystkich historycznych wiekach średnich. Dlatego też były one okresem względnego chaosu, barbarzyństwa i braku opinii. Są to czasy, w których szczególnie intensywnie kocha się i nienawidzi, gorąco pożąda i gardzi. Ale za to mało się myśli czy opiniuje. Czasy takie mają swój urok. Natomiast w wielkich epokach ludzie czerpią soki żywotne z myślenia, z opiniowania i dlatego panuje wtedy porządek. Ponadto w wiekach średnich odnaleźć można inną epokę, w której - tak samo jak w wiekach nowożytnych - ktoś rządził, chociaż rządził tylko pewnym ograniczonym obszarem świata. Był to Rzym, ów wielki władca, który zaprowadził porządek nad Morzem Śródziemnym i w jego pobliżu.

Obecnie w latach powojennych zaczyna się mówić o tym, że Europa już światem nie rządzi. Czy zdajemy sobie sprawę z całej powagi takiej diagnozy? Oznacza ona zmianę władzy. W czyje ręce się ona dostanie? Kto obejmie po Europie władzę nad światem? Czy jesteśmy pewni, że w ogóle ktoś ją w tym zastąpi? A jeśli nie znajdzie się nikt, to co się wtedy stanie?

⁵³ Nieprzetłumaczalna gra słów *Estado* i *estado* (przypr. Maria Dietl).

Prawdą jest, że na świecie, w każdej chwili, a zatem także teraz, dzieje się naraz nieskończenie wiele rzeczy. Stwierdzenie, że coś właśnie się na świecie dzieje, jest ironiczne samo wobec siebie. Ze względu na to, że bezpośrednie poznanie całej pełni rzeczywistości jest niemożliwe, nie pozostaje nam nic innego jak arbitralne konstruowanie rzeczywistości i zakładanie, że rzeczy dzieją się w jakiś określony sposób. Dzięki temu otrzymujemy schemat, to znaczy pojęcie lub też siatkę pojęć. Siatkę tę nakładamy na prawdziwą rzeczywistość i dopiero wówczas uzyskujemy jej przybliżony obraz. Na tym polega metoda naukowa. Nawet więcej: na tym polega wszelkie posługiwanie się intelektem. Popelniamy rozmyślnie i ironicznie błąd, kiedy na widok przechodzącego przez ogród przyjaciela powiadamy: „To jest Piotr”. A to dlatego, że Piotr oznacza dla nas pewien schematyczny zbiór sposobów fizycznego i moralnego postępowania (to co nazywamy „charakterem”), tymczasem prawda jest taka, że są chwile, w których Piotr prawie w niczym nie przypomina pojęcia „nasz przyjaciel Piotr”.

Każde pojęcie, zarówno najbardziej pospolite, jak i najbardziej techniczne, osadzone jest w ironii wobec siebie samego, tak jak diament o geometrycznych kształtach osadzony jest w swojej złotej oprawie. Pojęcie to mówi nam z całą powagą, że: „Ta rzecz jest A, a tamta rzecz jest B”. Ale jest to powaga *pince-sans-rire*⁵⁴, niestała, chwiejna, powaga kogoś, kto dusi w sobie wesołość i w każdej chwili może stracić panowanie nad sobą i wybuchnąć głośnym śmiechem. W pojęciu tym doskonale wiadomo, że ani ta rzecz nie jest całkowicie A, ani tamta całkowicie B. Myśl w danym pojęciu naprawdę różni się nieco od tego, co ono wyraża, i na tym właśnie polega ironia. Naprawdę myśl jego jest taka: wiem, że ściśle biorąc ani ta rzecz nie jest A, ani tamta nie jest B; ale przyjmując, że są one A i B, jestem w stanie sam siebie zrozumieć, biorąc pod uwagę skutki swych żywych zachowań wobec tej i tamtej rzeczy.

Taka teoria poznania rozumowego zirytowałaby starożytnego Greka. Wierzył on, że rozum i pojęcia odzwierciedlają prawdziwą rzeczywistość. My natomiast uważamy, że rozum, pojęcia są to wszystko narzędzia domowe, którymi rozporządza człowiek i które są mu potrzebne do wyjaśnienia jego własnej sytuacji w nieskończonej i arcyproblematycznej rzeczywistości, jaką jest jego życie. Życie to walka z rzeczami o to, by się wśród nich utrzymać. Pojęcia są planem strategicznym, jaki przygotowujemy, by odeprzeć ich atak. Dlatego też, jeśli dobrze przeanalizujemy samą istotę jakiegokolwiek pojęcia, to przekonamy się, że nic nam ono nie mówi o samej rzeczy, lecz określa, co człowiek z nią może zrobić lub też czego może od niej oczekiwać. Owa opinia taksująca, zgodnie z którą treść każdego pojęcia jest czymś witalnym, jest zawsze możliwym działaniem lub możliwym doznaniem człowieka, nie była dotychczas, o ile wiem, przez nikogo sformułowana, ale moim zdaniem jest ona nieuchronną konsekwencją procesu filozoficznego, zapoczątkowanego przez Kanta. Dlatego też, jeśli raz jeszcze przyjrzymy się całej filozofii przeszłości do czasów Kanta, to odniesiemy wrażenie, że w *głębi rzeczy* wszyscy filozofowie mówili to samo. Tak więc, wszelkie filozoficzne odkrycia są niczym innym, jak odkrywaniem i wydobywaniem na wierzch tego, co było na samym dnie.

Ale cały ten przydługi wtret nie był właściwie potrzebny do wyjaśnienia tego, co chcę powiedzieć na temat zupełnie obcy problematycy filozoficznej. Chciałem po prostu powiedzieć, że to, co się obecnie dzieje na świecie - historycznie rzecz biorąc - sprowadza się do stwierdzenia, że przez trzy wieki Europa rządziła światem, a w chwili obecnej sama już nie jest pewna, czy nim rządzi i czy będzie nim rządzić w przyszłości. Bez wątplenia, sprowadzenie do tak prostej formy nieskończenie wielkiej ilości rzeczy, które składają się na współczesną rzeczywistość historyczną, jest w najlepszym razie przesadą i dlatego chciałem tu przypomnieć, że myślenie - czy nam się to podoba czy nie - jest zawsze przesadne. Kto nie chce przesadzać, musi milczeć; a nawet więcej, musi sparaliżować działanie swojego intelektu.

Tak więc uważam, że to właśnie ma miejsce we współczesnym świecie, a cała reszta jest tego następstwem, warunkiem, symptomem.

Nie twierdzą, że Europa już przestała rządzić, chodzi mi jedynie o to, że w ciągu ostatnich lat zaczęła przeżywać poważne wątpliwości co do tego, czy rządzi, czy też nie i czy będzie rządziła jutro. Towarzyszą temu wątpliwości w innych krajach świata co do tego, czy w chwili obecnej są w ogóle przez kogoś rządzone. One także nie są tego pewne.

Wiele się ostatnio mówi o zmierzchu Europy. Bardzo bym pragnął, byśmy wreszcie przestali automatycznie wiązać myśli o zmierzchu Europy, czy w ogóle Zachodu, ze Spenglerem. Zanim się jeszcze ukazała jego książka, już było o niej głośno, a swoje powodzenie zawdzięcza ona niewątpliwie temu, że zawarte w niej obawy i niepokoje załęgły się już w wielu umysłach uprzednio, z bardziej różnorodnych powodów.

Tyle się ostatnio mówiło o schyłku Europy, że w oczach wielu stał się on faktem dokonany. Nie jest to przekonanie poważnie przemyślane i oparte na wiarygodnych świadectwach, po prostu ludzie przyzwyczaili się przyjmować je za pewnik, chociaż szczerze mówiąc nie pamiętają, by w jakimś określonym momencie zostali o tym wyraźnie przekonani. Ostatnia książka Waldo Franka *Redescubrimiento de America (Ponowne odkrycie Ameryki)* opiera się w całości na założeniu, że Europa znajduje się obecnie w stanie agonii. Jednakże Frank nie

⁵⁴ Ścichapek (przyp. Maria Dietl).

analizuje, nie omawia ani nawet nie wspomina owego niesłuchanego zjawiska, na którym oparte jest całe jego rozumowanie. Bez przeprowadzania jakichkolwiek dowodów przechodzi nad nim do porządku dziennego, jak gdyby to był nie podlegający dyskusji pewnik. Owa naiwność w punkcie wyjścia skłania mnie do twierdzenia, iż Frank wcale nie jest przekonany o upadku Europy; więcej nawet, że nigdy o tym problemie poważnie nie myślał. Wsiadł nań tak, jak się wsiada do tramwaju. Frazesy są tramwajami intelektualnego transportu.

Wielu ludzi czyni podobnie jak on. A nade wszystko czynią tak całe narody.

Obecny świat to świetny przykład panowania dziecięcej mentalności. W szkole, kiedy ktoś oznajmi, że nauczyciel już wyszedł, natychmiast cała dzieciarnia zaczyna hasać i dokazywać. Każde z dzieci odczuwa rozkosz, jaką daje wyrwanie się spod presji spowodowanej obecnością nauczyciela, zrzucenie z siebie jarzma norm, uwolnienie się od wszelkich więzów, poczucie bycia panem swojego losu. Dzieciarnia po odrzuceniu norm wyznaczonych przez lekcje i zadania potrafi jedynie hasać i dokazywać, ponieważ nie ma jakichś właściwych sobie celów, jakiegoś formalnego zajęcia, jakiegoś zadania, które by miało sens, ciągłość i wytyczony kierunek.

Rzeczą pożałowania godną jest smutne widowisko, którego bohaterami są różne młode narody. Wobec tego, że jak powiadają, Europa chyli się ku upadkowi, a zatem władza nad światem wymyka jej się z rąk, każdy z tych narodów i narodków zaczyna podskakiwać, dokazywać i stawać na głowie albo też prężyć się i wypinać, przyjmując postawę osoby dorosłej, która potrafi sama kierować własnym losem. Stąd też bierze swój początek cała gama pojawiających się na świecie nowych „nacjonalizmów”.

W poprzednich rozdziałach starałem się zdefiniować panujący dziś na świecie nowy typ człowieka: nazwałem go człowiekiem masowym, stwierdzając zarazem, że jego charakterystyczną cechą jest to, iż sam czując się pospolitym, żąda, by pospolitość była prawem i odmawia uznania jakichkolwiek nadrzędnych wobec siebie instancji. Jest rzeczą oczywistą, że skoro taki typ ludzi dominuje w poszczególnych narodach, to takie samo zjawisko da się również zauważyć w społeczności narodów. A zatem istnieją także narody masowe buntujące się przeciwko wielkim, twórczym narodom, owym mniejszościom w społeczności międzynarodowej, które stworzyły historię. Doprawdy śmiech bierze patrzeć, jak ta czy tamta republika wspina się na palce, wychyla się z jakiegoś zapadłego kąta i poucza Europę ogłaszając, iż utraciła miejsce w ogólnych dziejach świata.

Jakie są tego wyniki? Europa stworzyła system norm, których skuteczności i płodności dowiodły liczne stulecia. Normy te nie są w żadnym razie najlepsze z możliwych. Ale bez wątpienia istnieją, podczas gdy inne nie istnieją w ogóle bądź ledwie zarysowują się na horyzoncie. By te normy przewyższyć, trzeba przede wszystkim stworzyć jakieś inne. Otóż narody masowe zdecydowały się odrzucić system norm zwany cywilizacją europejską, a ponieważ nie są w stanie stworzyć innego systemu, nie wiedzą, co mają teraz ze sobą robić, i żeby jakoś wypełnić czas, brykają i dokazują.

Taka jest pierwsza konsekwencja tego, że ktoś przestał rządzić światem. Pozostali, buntując się, tracą cel życia i pozostawieni sobie samym, nie mają żadnego wytyczonego programu.

3

Pewnego razu Cygan przyszedł do spowiedzi; przezorny ksiądz zaczął od pytania, czy zna przykazania Boże. Na co Cygan odpowiedział: „Wielebny ojcze, mam zamiar się ich nauczyć, ale ludzie powiadają, że lada dzień mają zostać unieważnione”.

Czyż obecnie sytuacja na świecie nie jest właśnie taka? Rozeszła się wieść, że skończyły się rządy Europy, wobec czego wszyscy - zarówno ludzie jak i narody - korzystają z okazji, by żyć bez nakazów, bo istnieją tylko nakazy europejskie. Nie mamy tu do czynienia z sytuacją, kiedy to - jak to często bywa - rodzące się nowe normy zastępują stare, a nowy zapal podsyca dawne, gasnące już entuzjazmy. Byłoby to zjawisko naturalne. Co więcej: stare wydaje się nam stare nie ze względu na swoją starość, ale dlatego, że pojawiło się nowe, które już samą swoją nowością postarza to, co je poprzedzało. Gdybyśmy nie mieli dzieci, nie starzelibyśmy się, a w każdym razie następowałoby to znacznie później. To samo odnosi się do przedmiotów. Samochód sprzed dziesięciu lat wydaje nam się starszy niż lokomotywa sprzed dwudziestu, a to po prostu dlatego, że technika samochodowa rozwija się szybciej. Schyłek, który bierze swój początek z pojawieniem się świeżych pędów, jest objawem zdrowia.

Obecna sytuacja w Europie jest dziwna i niezdrowa. Rządy Europy straciły moc, ale na horyzoncie nie pojawiły się żadne inne. Powiada się, że Europa przestała rządzić, ale nie widać nikogo, kto by ją miał zastąpić. Przez słowo Europa rozumie się przede wszystkim i właściwie trójcę: Francję, Anglię i Niemcy. W zajmowanym przez te kraje regionie kuli ziemskiej dojrzał wzór ludzkiej egzystencji, zgodnie z którym świat został zorganizowany. A zatem, jeżeli te trzy narody są obecnie, jak to się ogólnie uważa, w upadku, a lansowane przez nie wzory życia straciły swą moc, to nic dziwnego, że świat się demoralizuje.

To niewątpliwie prawda. Cały świat - zarówno narody jak i jednostki - jest zdemoralizowany. Demoralizacja ta przez jakiś czas bawi, a nawet stwarza pewne niejasne złudzenia. Ludzie podrzędni i

upośledzeni wierzą, iż zrzucili z siebie ciężące im jarzmo. Jedynie w dekalogach przetrwał jeszcze charakter obciążenia, który zachował się z czasów wykuwania przykazań w kamieniu i brązie. Etymologicznie rzecz biorąc, rządy (*mandar*) związane jest z obarczaniem, z przekazywaniem komuś czegoś do rąk (*manos*). Ten, kto rządzi, bezlitośnie i nieodwołalnie obciąża innych. Na całym świecie ludzie podrzędni i uciskani mają już dość tego ciągłego obarczania i uciskania, a zatem z radością korzystają z okresów, w których nie ma już żadnych poważnych i ciężących nakazów. Ale radość nie trwa długo. Bez rządów, które by zmuszały do jakiegoś sposobu życia, życie staje się czystym „bezrobociem”, życiem w „rezerwie”. W takiej nieznośnej sytuacji znajduje się obecnie najlepsza część młodzieży. Już samo to, że czują się wolni, wyswobodzeni z wszelkich więzów, sprawia, iż odczuwają wewnętrzną pustkę. Życie w „rezerwie” jest większym od śmierci zaprzeczeniem samego siebie. Żyć, to znaczy musieć robić coś określonego, czyli wypełnić jakieś zadania; im bardziej zatem się od tego uchylamy, tym pustsze staje się nasze życie. Niezadługo na całej kuli ziemskiej rozlegnie się straszliwy okrzyk, który jak wycie niezliczonej sfory psów wzniesie się ku niebu w błaganu o kogoś, kto by rządził, kto by narzucał zadania i obowiązki.

To, co powiedziałem, powinno wystarczyć tym, którzy z dziecinną nieświadomością rzeczy oznajmują nam, że Europa już nie rządzi. Rządzić, znaczy dawać ludziom jakieś zajęcie, lokować ich we własnym przeznaczeniu, czyli innymi słowy nie dopuszczać do tego, by „szli na żywioł”, co na ogół prowadzi do włóczęgi bez celu, do pustki życiowej, do ruiny.

Nie byłoby nic złego w tym, żeby Europa przestała sprawować rządy nad światem, gdyby ktoś inny mógł ją zastąpić. Ale na razie nie widać nawet cienia kogoś takiego. Nowy Jork i Moskwa to nic nowego w odniesieniu do Europy. Oba te centra są odgałęzieniami rządów europejskich, które oddzieliwszy się od reszty, straciły swoje znaczenie. Prawdę mówiąc, o Nowym Jorku czy o Moskwie mówię z pewnym przerażeniem, bo przecież nie wiemy, co one sobą faktycznie reprezentują, wiemy jedynie to, że o żadnym z tych ośrodków władzy nie powiedziano jeszcze ostatniego słowa. Ale nawet powierzchowna znajomość wystarcza, żeby zrozumieć ich charakter gatunkowy. W rzeczywistości oba należą do tego typu zjawisk, które nazwałem niegdyś „historycznym kamuflażem”. Kamuflaż to w istocie rzeczy rzeczywistość inna niż ta, na jaką wskazują pozory. Jego oblicze ukrywa raczej niż objawia kryjącą się za nim rzeczywistą treść. Dlatego też udaje mu się oszukać wielu ludzi. Ten tylko może się uchronić od błędu, kto z góry wie, że kamuflaż w ogóle nie istnieje. Podobnie ma się rzecz z mirażami, kiedy to umysł koryguje wrażenia wzrokowe.

W każdym przypadku historycznego kamuflażu mamy do czynienia z dwiema rzeczywistościami, które się na siebie wzajemnie nakładają: jedna jest głęboka, prawdziwa, istotna, a druga pozorna, przypadkowa i powierzchowna. Tak więc w wypadku Moskwy mamy do czynienia z warstwą idei europejskich - z marksizmem - wymyślonych w Europie i mających na względzie realia europejskie. Pod tą warstwą znajduje się naród nie tylko etnicznie różny od narodów europejskich, ale - i to jest czynnik znacznie ważniejszy - będący w innym wieku niż one. Jest to naród ciągle jeszcze w stanie fermentu; to znaczy naród w stanie młodzieńczym. To, żeby marksizm zatriumfował w Rosji, w której nie ma przemysłu, było największą sprzecznością, jaka w nim mogła się pojawić. Nie ma jednak tak dużej sprzeczności, bo i triumf nie jest taki znowu wielki. Rosja jest mniej więcej tak samo marksistowska, jak rzymska była germańska ludność Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Nowe narody nie mają *idei*. Jeśli wznoszą się na obszarach, gdzie istnieje stara kultura albo dopiero co przestała istnieć, to przyoblekają się w odziedziczone po niej idee. Stąd bierze się kamuflaż i takie są jego przyczyny. Zapomina się często, o czym już wspominałem, że istnieją dwa główne typy ewolucji narodów. Są narody, które zrodziły się w „świecie” pozbawionym jakiegokolwiek cywilizacji. Na przykład Egipcjanie i Chińczycy. W takich narodach wszystko jest własne, autochtoniczne, ich gesty i postawy są jasne i bezpośrednie. Ale są też inne narody, które wznoszą się i rozwijają się na terenach zajętych już przez kulturę o zamierchłej historii. I tak na przykład Rzym wyrósł na Morzu Śródziemnym, którego wody przesiąknięte były cywilizacją grecko-orientalną. Stąd też połowa gestów i przybieranych przez Rzymian postaw nie była ich własna, lecz nabyta, wyuczona, a każdy gest wyuczony, nabyty jest zawsze dwoisty, ma pośredni, a nie bezpośredni charakter. Ten, kto wykonuje jakiś wyuczony gest, wymawiając na przykład słowo w obcym języku, czyni zarazem inny gest, własny, autentyczny; kontynuując przykład - tłumaczy jednocześnie jakieś egzotyczne słowo na własny język. Dlatego też po to, by zrozumieć kamuflaż, trzeba się zachować tak jak ktoś, kto tłumaczy tekst, posługując się słownikiem. Czekam na książkę, w której marksizm Stalina zostanie przetłumaczony na język dziejów Rosji, ponieważ silne i żywotne jest w nim to, co rosyjskie, a nie to, co komunistyczne.

Jedno jest pewne, że Rosja potrzebuje jeszcze całych wieków do tego, by móc *pretendować do władzy nad światem*. Ponieważ na razie sama odczuwa konieczność czyichś rządów, to udaje, iż uznała za swoje europejskie zasady Marksa. Wystarcza jej fikcja, jako że przepelnia ją zapał młodości. Młody nie potrzebuje racji, by żyć: potrzebuje jedynie pretekstów.

Bardzo podobnie ma się rzecz z Nowym Jorkiem. Również w tym wypadku błędne jest przypisywanie jego obecnej siły rządów, którym jest posłuszny.

W ostatecznym rachunku sprowadzają się one do jednego: do techniki. Cóż za zbieg okoliczności! Przecież to także wynalazek europejski, nie amerykański. Technika została wynaleziona w Europie w ciągu XVIII i XIX wieku. Cóż za nowy zbieg okoliczności. Przecież to właśnie są wieki, w których rodziła się

Ameryka. I pomyśleć, że są ludzie, którzy poważnie uważają, że istotą Ameryki jest jej praktycystyczne i techniczne pojęcie życia! Natomiast prawdą jest, że w Ameryce, jak to zwykle bywa z koloniami, mamy do czynienia z odrodzeniem czy też odmłodzeniem się starych ras, w tym wypadku przede wszystkim europejskich. Stany Zjednoczone również - chociaż z innych powodów niż Rosja - stanowią przypadek tej szczególnego typu rzeczywistości historycznej, którą nazywamy „nowym narodem”. Często uważa się to za pusty frazes, podczas gdy jest to konkretne, prawdziwe określenie rzeczywistości, podobnie jak to ma miejsce, kiedy się mówi o młodości człowieka. Ameryka jest silna ze względu na swoją młodość, którą oddała pod rozkazy współczesnej „techniki”, tak samo jak mogłaby ją oddać pod rozkazy buddyzmu, gdyby to była w danym momencie tendencja dominująca. Ale czyniąc tak, Ameryka jedynie zaczyna swoje dzieje. Teraz dopiero pojawią się jej niepokoje, wewnętrzne walki, konflikty. Będzie tam jeszcze miejsce na wiele rzeczy; między innymi na kierunki najbardziej przeciwstawne praktycyzmowi i technice. Ameryka jest młodsza niż Rosja. Zawsze powtarzałem, może aż do przesady, że Amerykanie to naród prymitywny, zakamuflowany za pomocą najnowszych wynalazków.⁵⁵ Obecnie Waldo Frank w swoim *Redescubrimiento de America (Ponowne odkrycie Ameryki)* oświadcza to samo szczerze i bez ogródek. Ameryka jeszcze nigdy nie cierpiała; złudzeniem jest więc przypuszczać, iż mogłaby posiadać cnoty konieczne do rządzenia światem.

Kto pragnie uniknąć pesymistycznych konsekwencji tego, że nikt nie będzie rządził, a co za tym idzie, że świat historyczny pograży się znowu w chaosie, musi teraz wrócić do punktu wyjścia i raz jeszcze zastanowić się poważnie nad tym: czy to, co się mówi o dekadencji Europy, o jej rezygnacji z rządów, o jej abdykacji, jest rzeczywiście takie pewne? Czy ów pozorny upadek nie jest objawem dobroczynnego w skutkach kryzysu, który pozwoli Europie być rzeczywiście Europą? Czy któregoś dnia ów oczywisty zmierzch europejskich narodów nie okaże się koniecznością *a priori*, warunkiem umożliwiającym stworzenie Stanów Zjednoczonych Europy, drogą do zastąpienia europejskiego pluralizmu formalnym zjednoczeniem Europy?

4

Funkcje rozkazywania i słuchania rozkazów są w każdym społeczeństwie funkcjami najistotniejszymi. Kiedy zagadnienie, kto rządzi, a kto słucha jest mętne i niejasne, to cała reszta życia staje się ciemna i zagmatwana. Powoduje to perturbacje nawet w najgłębszych pokładach duszy ludzkiej, z wyjątkiem może jednostek najwybitniejszych. Jedynie może samotnik, którego kontakty z bliźnimi mają charakter zupełnie przypadkowy, potrafi ewentualnie uniknąć zakłóceń związanych ze zmianami i kryzysem władzy czy rządów. Ponieważ jednak w gruncie rzeczy jest istotą społeczną, to w głębszych pokładach jego duszy zawsze pozostawia ślad mutacje, które w zasadzie oddziałują bezpośrednio jedynie na zbiorowość. Dlatego też po to, by poznać, jaka jest w danej zbiorowości świadomość spraw rządzenia i posłuszeństwa, wystarczy z niej wyodrębnić i dokładnie przeanalizować jednego tylko osobnika.

Ciekawe i pozytywne byłoby poddanie takiej próbie indywidualnego charakteru przeciętnego Hiszpana. Operacja byłaby niewątpliwie prowokująca i chociaż pozytywna, to jednak przynębiająca; dlatego nie zamierzam jej tu przeprowadzać. Ale należałoby się przyjrzeć, do jakiej to niebywalej wewnętrznej demoralizacji i upodlenia doprowadziło naszego przeciętnego rodaka to, że Hiszpanie są narodem, który już od kilku wieków żyje z nieczystym sumieniem wobec spraw rządów i posłuchu wobec władzy. Upodlenie to nic innego jak uznanie pewnej nieprawidłowości za stan normalny i przyrodzony; akceptując go, zarazem w głębi duszy ma się w dalszym ciągu przekonanie, że tak być nie powinno. Przekształcenie czegoś, co w samej swojej istocie jest zbrodnicze i niezdrowe, w coś zdrowego i normalnego, jest rzeczą niemożliwą, dlatego też jednostka stara się raczej dostosować do zastanej niezdrowej sytuacji, utożsamiając się tym samym w pełni z ową zbrodnią czy nieprawidłowością. Działa tu podobny mechanizm jak ten, o którym mowa w znanym powiedzeniu, że jedno kłamstwo rodzi sto następnych. Wszystkie narody przeżywały takie okresy, kiedy do władzy nad nimi pretendowały te właśnie elementy, które rządzić nie powinny; ale zawsze w pewnym momencie zdrowy instynkt nakazywał im skoncentrowanie całej swojej energii i zdecydowane odrzucenie chybionych pretensji do rządów. Odrzucały przejściową nieprawidłowość i w ten sposób rekonstruowały swoją publiczną moralność. Z Hiszpanami rzecz się ma akurat odwrotnie: zamiast sprzeciwić się rządów, które w głębi duszy uważali za niesłuszne, woleli zafałszować całą resztę swojego jestestwa po to, by dostosować się do owego pierwotnego zła. Jak długo będzie się w naszym kraju utrzymywał ten stan rzeczy, tak długo nie będzie można oczekiwać niczego dobrego po naszym narodzie. Społeczeństwo, którego państwo, którego władza czy rządy oparte są na pierwotnym złu, nie może wykazywać energii i żywotności potrzebnej do wykonania trudnego zadania, jakim jest utrzymanie godnego i honorowego miejsca w historii.

Nic zatem dziwnego, że wystarcza drobna wątpliwość czy też zwyczajne wahania co do tego, kto rządzi światem, by wszyscy - zarówno w życiu publicznym, jak i w prywatnym - zaczęli się demoralizować.

⁵⁵ Patrz esej *Hegel y America*, w: *El Espectador*, t. VII, Madrid 1930 (przyp. wyd. hiszp.).

Życie ludzkie już z samej swej natury musi być czemuś oddane: przedsięwzięciom pełnym chwały lub zupełnie skromnym; przeznaczenie może być wspaniałe lub przeciętne i zwyczajne. Jest to warunek dziwny, ale nieodwracalnie wpisany w naszą egzystencję. Z jednej strony życie jest czymś, co każdy ma sam i dla siebie. Z drugiej strony, jeśli to moje życie, które dla mnie tylko jest ważne, nie zostanie przeze mnie czemuś poświęcone, to toczyć się będzie bez celu i kierunku, sflaczałe i bezkształtne. Ostatnimi laty jesteśmy świadkami gigantycznego widowiska, jakim jest widok niezliczonej ilości ludzkich egzystencji, które, nie znajdując celu godnego poświęcenia, kręcą się zagubione we własnym wewnętrznym labiryncie. Wszelkie imperatywy, wszelkie normy i reguły znalazły się w zawieszeniu.

Na pierwszy rzut oka wydaje się to sytuacją idealną; przecież każdy człowiek ma teraz absolutną swobodę wyboru tego, co ma robić, by swoje życie jak najpełniej zrealizować. To samo odnosi się do każdego narodu. Europa rozluźniła swą władzę nad światem. Ale dało to zupełnie inny wynik, niż by się tego można było spodziewać. Każde życie pozostawione samo sobie ogarnia pustką, zasklepia się ono w sobie nie wiedząc, co ze sobą czynić. A że czymś musi ją wypełnić, wymyśla samo siebie, oddając się fałszywym zajęciom nie narzuconym przez żadne autentyczne, wewnętrzne potrzeby. Dziś to, jutro tamto. Gubi się w zetknięciu ze sobą. Egoizm ma charakter labiryntu. Żyć to znaczy zdążyć prosto do wytkniętego celu. Celem nie jest droga mojego życia ani też moje życie; jest nim coś, czemu moje życie oddałem, a zatem jest to coś, co leży na zewnątrz, poza nim. Jeśli się zdecyduje egoistycznie sam iść przez swoje życie, nie posunę się naprzód, donikąd nie dojdę, będę się kręcił tam i z powrotem, pozostając ciągle w tym samym miejscu. To właśnie jest labirynt, droga, która prowadzi donikąd, która gubi się sama w sobie, po prostu dlatego, że jest niczym innym jak tylko przemierzaniem własnego wnętrza.

Powojenny Europejczyk zamknął się w sobie, nie znajdując zadań do wykonania ani dla siebie, ani dla innych. Dlatego też, historycznie rzecz biorąc, jesteśmy w dalszym ciągu w tym samym punkcie, co dziesięć lat temu.

Nie rządzi się ot tak, bez niczego. Rządzenie polega na wywieraniu nacisku na innych. Ale na tym się nie kończy, w przeciwnym razie byłoby po prostu przemocą. Należy pamiętać, że rządzenie cechuje pewna dwoistość: rozkazuje się komuś, lecz także rozkazuje mu się coś. Ponadto to, co się temu komuś rozkazuje, jest częścią pewnego przedsięwzięcia, wchodzącą w skład wielkiego historycznego przeznaczenia. Dlatego też nie ma imperium bez programu życia, a dokładniej rzecz biorąc, bez planu życia imperialnego. Jak powiada Schiller: „Kiedy królowie budują, rzemieślnicy pracują”⁵⁶. Nie powinniśmy więc zgadzać się z powszechną opinią tych, którzy w działalności wszystkich wielkich narodów - a także wielkich ludzi - dopatrują się jedynie czysto egoistycznych pobudek. Wcale nie jest tak łatwo, jak by się to mogło wydawać, być pełnym egoistą, a ci, co takimi byli, nigdy nie odnosili prawdziwych sukcesów. Pozorny egoizm wielkich narodów czy wielkich ludzi to po prostu objawy twardości z konieczności cechującej tych, którzy życie swoje oddali jakiemś przedsięwzięciu. Jeśli rzeczywiście mamy coś zdziałać, jeśli jakiś cel wciąga nas bez reszty, to nie można wymagać, byśmy byli w ciągłej dyspozycyjności wobec bliźnich, byśmy poświęcali czas na przypadkowe dobre uczynki. Jednym z uroków Hiszpanii, który budzi zachwyt cudzoziemców zwiedzających nasz kraj, jest to, że bardzo często przypadkowy przechodzień zapytany o jakiś plac czy budynek porzuca swoje sprawy i z pełnym poświęceniem odprowadza cudzoziemca na wskazane miejsce. Nie przeczę, iż takie zachowanie poczciwego Kastylijczyka może wpływać ze szlachetnych pobudek, i cieszę się, że tak właśnie jest to interpretowane przez cudzoziemców. Niemniej, zawsze, kiedy o tym słyszę, nasuwa mi się nieodparcie podejrzenie: czy aby zapytany rodak rzeczywiście szedł gdzieś w jakiejś określonej sprawie? Bo może się doskonale zdarzyć, że ten Hiszpan nigdzie nie szedł, nie miał żadnej sprawy czy misji do wypełnienia, lecz po prostu wyszedł na ulicę z nadzieją, że życie innych zapełni w jakimś stopniu pustkę jego własnego życia. Jestem przekonany, iż moi rodacy bardzo często wychodzą na ulicę, licząc na to, że spotkają jakiegoś cudzoziemca, którego będą mogli gdzieś odprowadzić.

Poważny niepokój budzi to, że owe wątpliwości co do władzy nad światem, którą dotychczas sprawowała Europa, spowodowały demoralizację pozostałych narodów świata z wyjątkiem tych, które są tak młode, że żyją jeszcze w okresie własnej prehistorii. Ale jeszcze bardziej niepokojące jest to, że to dreptanie w miejscu doprowadziło samych Europejczyków do całkowitej demoralizacji. Niepokój ten bynajmniej nie wpływa z faktu, że sam jestem Europejczykiem. Wcale nie twierdzę, że skoro w najbliższej przyszłości Europejczyki nie będą już rządzić światem, to losy świata przestały mnie interesować. Utrata przez Europę władzy nad światem wcale by mnie nie martwiła, gdyby istniała dziś jakaś inna grupa narodów, które byłyby w stanie przejąć po niej rządy i pokierować dalej losami naszej planety. Właściwie wystarczyłoby mi nawet mniej. Zgodziłbym się na to, by nikt światem nie rządził, pod warunkiem jednak, żeby to nie pociągnęło za sobą rozkładu i rozplynięcia się wszystkich cnót i całego dorobku Europejczyków.

A to niestety jest nieuniknione. Jeżeli Europejczyki przyzwyczajają się do tego, że nie rządzą światem, to w ciągu życia niecałych dwu pokoleń na kontynencie, a wraz z nim na całym świecie, zapanuje inercja moralna, jałowość intelektualna i powszechne barbarzyństwo. Jedynie wiara w kierowniczą misję Europy i

⁵⁶ „Wenn die Könige bauen, haben die Kärner zu tun“ - z dystychonu *Kant und seine Ausleger*, w: *Schillers Werke*, t. I Weimar 1943, s. 315 (przyp. Maria Dietl).

zdyscyplinowana odpowiedzialność, jaką ona za sobą pociąga, mogą utrzymać umysły ludzi Zachodu w stanie napięcia i gotowości. Nauka, sztuka, technika i wszystkie pozostałe dziedziny życia czerpią soki żywotne z krzepiącej atmosfery, jaką tworzy świadomość władzy. Jeśli jej zabraknie, Europejczycy pogrążą się w upodleniu. Zabraknie im owej podstawowej wiary w siebie, która rodzi energię, czujność i śmiałość w urzeczywistnianiu nowych, wielkich idei w każdej dziedzinie życia. Europejczycy staną się ostatecznie przeciętni i nijacy. Niezdolni do wielkiego, twórczego wysiłku pogrążą się w przeszłości, w nawyku, w rutynie. Staną się pozbawieni polotu, będą pustymi jednostkami jak starożytni Grecy w czasach swojej dekadencji i ci z okresu bizantyjskiego.

Życie twórcze wymaga ostrego reżimu duchowego, wielkiej uczciwości i stałych bodźców pobudzających świadomość własnej godności. Życie twórcze to życie wypełnione działaniem, a to możliwe jest tylko wówczas, gdy znajdujemy się w jednej z dwu sytuacji: albo my rządymy, albo żyjemy w świecie, w którym rządzi ktoś, czyje prawo do sprawowania władzy w pełni uznajemy; albo sam rządę, albo wypełniam rozkazy. Ale słuchać władzy nie znaczy cierpliwie i pokornie ją znosić - to byłoby upodlenie - lecz wręcz przeciwnie: oznacza to szanować tego, kto rządzi, żarliwie wypełniać jego rozkazy i, solidaryzując się z nim, gorliwie garnąć się pod jego sztandary.

5

Wróćmy teraz do punktu wyjścia tych rozważań, to znaczy do ciekawego zjawiska jakim jest fakt, że tak dużo się obecnie mówi na świecie o upadku Europy. Zdziwiający już jest choćby ten drobny szczegół, iż dekadencja ta nie została najpierw zauważona przez innych, lecz że pierwsi odkryli ją sami Europejczycy. Podczas gdy mieszkańcy innych kontynentów w ogóle o tym nie myśleli, umysły niektórych ludzi w Niemczech, Anglii czy we Francji owładnęła sugestywna idea: Czy nie zaczynamy popadać w dekadencję? Idea ta miała dobrą prasę i dziś cały świat mówi o zmierzchu Europy, jakby chodziło o nie podlegającą dyskusji rzeczywistość. Ale powstrzymajcie na chwilę tego, kto głosi tę prawdę i zapytajcie grzecznie, na jakich konkretnych i namacalnych faktach opiera on swoją diagnozę. Zobaczycie wówczas, że zacznie robić jakieś niejasne gesty, machając rękami, jak gdyby wskazywał na kulisowość wszechświata, w geście typowym dla tonącego rozbitka. I rzeczywiście nie będzie wiedział, czego się uchwycić. Okaze się, że jedyną sprawą, na którą można się powołać przy próbie definiowania obecnego schyłku Europy, będą trudności ekonomiczne, z jakimi borykają się dzisiaj wszystkie kraje. Ale przy dokładniejszym sprecyzowaniu charakteru tych trudności okaże się, że żadna z nich nie ma jakiegos istotnego wpływu na możliwość tworzenia nowych bogactw i że nasz stary kontynent przechodził już znacznie cięższe kryzysy tego samego typu.

A może, przypadkiem, dzisiejszy Niemiec czy Anglik nie czują się już zdolni do większego i lepszego wytwarzania niż dotychczas? W pewnym sensie może tak, ale ważne jest, byśmy ten stan ducha Niemca czy Anglika widzieli w kontekście wymiaru ekonomicznego. Ciekawe, że ta niewątpliwa depresja duchowa nie wynika stąd, że uważają się oni za nie dość zdolnych; wręcz przeciwnie, czując w sobie większy niż kiedykolwiek potencjał możliwości napotykają zarazem pewne bariery, które uniemożliwiają im zrealizowanie tego, co mogliby osiągnąć. Owymi fatalnymi barierami stojącymi na drodze rozwoju współczesnej gospodarki Niemiec, Anglii czy Francji są ich granice polityczne. Tak więc autentyczna trudność nie wyrasta z takiego czy innego konkretnego problemu ekonomicznego; chodzi raczej o to, że forma życia publicznego, w łonie którego rozwijają się mają ekonomiczne możliwości, jest już dla nich za ciasna. Moim zdaniem poczucie zniechęcenia i nieudolności, które w ostatnich latach tłumi bez wątpienia żywotność europejską, rodzi się z dysproporcji między rozmiarami współczesnych możliwości Europy a frontem organizacji politycznych, w ramach których miałyby się one rozwijać. Silne jak nigdy dotychczas dążenia do rozwiązania najtrudniejszych i najpilniejszych spraw rozbijają się o kraty klatki, w której miałyby być realizowane; to jest o dotychczasową organizację Europy złożonej z małych, niezależnych narodów. Pesymizm i zniechęcenie, które ogarnęły duszę kontynentu, można porównać do uczucia, jakiego doznaje wielki ptak, kiedy rozpościera swe potężne skrzydła i wzlatuje w górę, a następnie rozbija się o żelazne pręty klatki.

Potwierdzeniem powyższych wywodów jest także i to, że sytuacja ta powtarza się także we wszystkich innych dziedzinach życia, nie mających z gospodarką wiele wspólnego. Na przykład w dziedzinie życia intelektualnego. Każdy prawdziwy intelektualista, Niemiec, Anglik czy Francuz, czuje się dzisiaj skrępowany granicami własnego narodu, odczuwając swą narodowość jako absolutne ograniczenie. Niemiecki profesor zdaje sobie już jasno sprawę z absurdalności stylu pracy, jakiej od niego wymagają bezpośredni odbiorcy, to jest ogół niemieckich profesorów, i zazdrości większej swobody ekspresji będącej udziałem francuskiego pisarza czy brytyjskiego eseisty. I odwrotnie, paryski literat zaczyna rozumieć przestarzałość literackiego mandarynizmu i werbalnego formalizmu, na co skazuje go jego francuskie pochodzenie, i wołałby, zachowując wszystko co najlepsze we własnej tradycji, wzbogacić ją pewnymi cnotami niemieckiego profesora.

To samo odnosi się do problemów polityki wewnętrznej. Nie przeprowadzono dotychczas pogłębionej analizy problemu, jakim jest zaskakujące zjawisko agonii życia politycznego we wszystkich wielkich narodach.

Powiada się, że instytucje demokratyczne utraciły prestiż. Ale to właśnie należałoby wyjaśnić. Bo dziwna jest ta utrata prestiżu. Wszędzie mówi się źle o parlamencie; ale nie widać, by w jakimkolwiek liczącym się państwie zamierzano go zastąpić inną instytucją, nie istnieją nawet utopijne programy co do innej formy państwa, która przynajmniej w teorii miałaby być lepsza. Nie należy zatem zbyt wierzyć w autentyczność tej rzekomej utraty prestiżu. To nie instytucje, będące instrumentem życia publicznego, działają wadliwie, zło tkwi w zadaniach do wypełnienia, jakie im się powierza. Brak w Europie programów działania, których zasięg odpowiadałby rzeczywistemu wymiarowi, jaki osiągnęło obecnie życie Europejczyka.

Mamy tu do czynienia z błędem optycznym, który dobrze byłoby sobie raz na zawsze wyjaśnić, bo aż przykro słuchać różnych bzdur, jakie się ciągle powtarza, dla przykładu na temat parlamentu. Istnieje szereg zastrzeżeń co do sposobów działania tradycyjnych parlamentów, ale jeśli rozpatrzmy każde z osobna, to stwierdzimy, iż żadne z nich nie daje podstaw do wyciągnięcia wniosku, iż parlamenty należy zlikwidować, a nawet wręcz przeciwnie, wszystkie wskazują w sposób bezpośredni i oczywisty na konieczność ich reformy. Po ludzku rzecz biorąc stwierdzenie, że coś wymaga reformy, ma charakter pozytywny, bo implikuje przyznanie, iż jest ono niezastąpione i zdolne do nowego życia. Współczesny samochód jest rezultatem zastrzeżeń, jakie wysuwano pod adresem samochodu z roku 1910. Co więcej, powszechna utrata prestiżu, na jaką cierpią parlamenty, nie wypływa z takich właśnie zastrzeżeń. Mówi się na przykład, iż działalność ich jest mało skuteczna. W takim razie powinniśmy się zapytać, w stosunku do czego nie jest skuteczna, ponieważ skuteczność jest zaletą cechującą narzędzie, które służy do wykonania jakiegoś zadania. W tym wypadku zadaniem byłoby rozwiązanie problemów publicznych danego narodu czy kraju. Dlatego też od osoby głoszącej nieskuteczność działania parlamentów powinniśmy wymagać, by przynajmniej sama miała jasną koncepcję tego, jak należy rozwiązywać współczesne problemy życia publicznego. Bo jeśli nie, jeśli dzisiaj w żadnym kraju nie ma jasnej, choćby teoretycznej, koncepcji mówiącej, co czynić należy, to oskarżanie o nieskuteczność działania instrumentów instytucjonalnie ugruntowanych po prostu nie ma sensu. Lepiej sobie przypomnieć i uświadomić fakt, że w ciągu całych dziejów żadna inna instytucja nie stworzyła tak potężnych i skutecznych w działaniu państw, jakimi były dziewiętnastowieczne państwa parlamentarne. Fakt ten nie podlega dyskusji, a zapominanie o nim dowodzi zazwyczaj głupoty. Tak więc potrzeby pilnej i gruntownej reformy zgromadzeń ustawodawczych po to, by stały się „jeszcze bardziej” skuteczne, nie należy mylić z deklaracjami o ich kompletnej bezużyteczności.

Utrata prestiżu nie ma nic wspólnego z ogólnie znanymi brakami w działalności parlamentów. Przyczyny tego stanu rzeczy nie tkwią wcale w wadliwym działaniu parlamentów jako instrumentów operacji politycznych. Utrata prestiżu, jakim się niegdyś cieszyły, wynika z tego, że współczesny Europejczyk nie wie, do czego ich użyć, że nie ma już szacunku dla tradycyjnych celów życia publicznego; czyli podsumowując - stracił wiarę w państwo narodowe, do którego jest przypisany i w którym czuje się jak więzień. Jeśli przyjrzymy się uważnie owej utracie szacunku, to spostrzemy, że obywatele większości państw europejskich po prostu nie szanują własnego państwa. Nie ma sensu przysłańać tego faktu niedomaganiem poszczególnych instytucji, bo to nie one utraciły swój prestiż, lecz państwo, które stało się już za małe.

Po raz pierwszy w historii Europejczyk widzi, że jego plany gospodarcze, polityczne, intelektualne nie mieszczą się już w ramach własnego narodu czy państwa i zaczyna odczuwać, że pełne rozwinięcie własnych możliwości życiowych, własnego stylu życia jest nie do pogodzenia ze szczupłością rozmiarów zbiorowości, w której jest zamknięty. Europejczycy odkryli, że być Anglikiem, Francuzem czy Niemcem to znaczy być prowincjuszem. A zatem zdali sobie nagle sprawę z tego, że są „czymś mniej” niż byli, jako że przedtem każdy Anglik, Francuz czy Niemiec sam czuł się pępkiem świata. I to właśnie jest moim zdaniem autentyczna przyczyna owych objawów dekadencji, które niepokoją Europejczyków. Co więcej, jest to przyczyna, jak najbardziej duchowa a zarazem paradoksalna, ponieważ wrażenie pogorszenia się jego kondycji zrodziło się w Europejczyku właśnie dlatego, że zwiększyły się jego możliwości, których pełne zrealizowanie napotyka opór ze strony starej organizacji, w chwili obecnej już niewystarczającej.

By nadać temu, co powiedziałem, plastyczny obraz, który rzecz całą rozjaśni, rozważmy teraz jakąkolwiek konkretną formę działalności, na przykład produkcję samochodów. Samochód jest wynalazkiem czysto europejskim. Jednakże w chwili obecnej lepsza w tej dziedzinie jest produkcja północnoamerykańska. A zatem samochód europejski jest w stanie upadku. Każdy jednak europejski producent samochodów - zarówno przemysłowiec jak technik - doskonale wie, że produkty amerykańskie bynajmniej nie zawdzięczają swojej wyższości jakimś szczególnym cnotom charakterystycznym dla ludzi z tamtego kontynentu, lecz prozaicznemu faktowi, że fabryka amerykańska oferuje swoje produkty bez żadnych dodatkowych trudności stu dwudziestu milionom ludzi. Wyobraźmy sobie teraz, że fabryka europejska widziałaby przed sobą rynek, na który złożyłyby się wszystkie państwa europejskie wraz ze swoimi koloniami i protektoratami. Nikt chyba nie wątpi, że taki samochód, przewidziany dla pięciuset czy sześciuset milionów ludzi, byłby dużo lepszy i tańszy niż ford. Wszystkie sukcesy techniki amerykańskiej są prawie na pewno skutkiem a nie przyczyną wielkości i jednorodności amerykańskiego rynku zbytu. „Racjonalizacja” przemysłu jest automatyczną konsekwencją jego rozmiarów.

Autentyczna sytuacja Europy przedstawia się następująco: długa i wspaniała przeszłość doprowadziła ją do nowego stadium rozwoju, w którym wszystko stało się większe; ale zarazem struktury będące przeżytkiem owej wspaniałej przeszłości stały się za ciasne i utrudniają obecnie jej dalszy rozwój. Europa powstała jako zbiór małych narodów, idee i uczucia narodowe były (w pewnym sensie) jednym z najbardziej charakterystycznych wynalazków europejskich. Teraz Europa zmuszona jest przewyciężyć sama siebie. Oto schemat wielkiego dramatu, jaki rozegra się w nadchodzących latach. Czy Europa potrafi uwolnić się od przeżytków przeszłości, czy też zostanie na zawsze ich więźniem? A raz się już tak w dziejach zdarzyło, że wielka cywilizacja zginęła, bo nie potrafiła zmienić swej tradycyjnej idei państwa...

6

Mówiłem już w innym miejscu o męce i śmierci świata grecko-rzymskiego, toteż jeśli chodzi o szczegóły, odsyłam wszystkich do tego, co już napisałem.⁵⁷ Teraz spojrzmy na te sprawy pod innym kątem.

Grecy i Rzymianie ukazują się nam w dziejach rozmieszczeni w swoich miastach, w *polis*, jak pszczoły w ulach. Jest to zjawisko, jakie należy uznać za niewzruszony fakt o tajemniczym pochodzeniu, który trzeba przyjąć bez dyskusji, podobnie jak zoolog po prostu przyjmuje do wiadomości goły i niewytłumaczalny fakt, że *sphex* jest całkowicie samotnym wędrowcem, a pszczoła pospolita żyć może jedynie w lepianym plastry roju współtowarzyszek.⁵⁸

Wykopaliska archeologiczne pozwalają nam dowiedzieć się czegoś o tym, co istniało na terenach Aten i Rzymu zanim jeszcze one powstały. Ale jak odbyło się przejście od owej wielkiej prehistorii, nie wyróżniającej się niczym specjalnym, do miast, których owocem był nowy gatunek ludzi zamieszkujących oba półwyspy, to w dalszym ciągu pozostaje tajemnicą. Niejasny jest nawet związek etniczny pomiędzy prehistorycznymi ludami a owymi dziwnymi społeczeństwami, które w życie ludzkości wniosły ową wielką nowość, jaką było wybudowanie placu publicznych spotkań i wokół niego miasta, wyraźnie odcinającego się od otaczających go pól i lasów. Bo, prawdę mówiąc, najlepsza definicja miasta, *polis*, jest bardzo podobna do żartobliwej definicji armaty: należy wziąć dziurę, owinać ją szczelnie drutem i już mamy armatę. Na tej samej zasadzie miasto czy *polis* zaczyna się od dziury: forum czy agory; a cała reszta jest jedynie sposobem zabezpieczenia tej dziury i zakreślenia jej konturów, pierwotnie *polis* nie oznaczało zespołu domów mieszkalnych, lecz miejsce obywatelskich zgromadzeń, przestrzeń przeznaczoną do spełniania funkcji publicznych. Miasto nie zostało stworzone tak jak chata czy *domus* po to, by udzielać schronienia przed żywiołami i umożliwić prokreację - są to potrzeby codzienne i prywatne - lecz po to, by dyskutować nad sprawami publicznymi. Proszę zauważyć, że oznaczało to ni mniej ni więcej tylko wynalezienie nowego typu przestrzeni, znacznie bardziej nowego niż przestrzeń Einsteina. Przedtem istniała tylko jedna przestrzeń: wieś, pola i lasy, co pociągało za sobą wszystkie następstwa, jakie wynikają z rustykalnego stylu życia. Człowiek żyjący w ten sposób był jeszcze rośliną. Jego egzystencję, odczucia, myśli, pragnienia cechowała ospałość rośliny. W tym sensie wielkie cywilizacje Azji i Afryki były wielkimi, antropomorficznymi plantacjami. Ale Grecy i Rzymianie zdecydowali się oddzielić od wsi, od pól i lasów, zdecydowali się odejść od „przyrody”, od geobotanicznego kosmosu. Jak to jest możliwe? Jak może człowiek odejść od wsi? Dokąd pójdzie, skoro wieś, pola i lasy są nieskończone, skoro to one stanowią cały świat? To bardzo łatwe: trzeba po prostu wyznaczyć kawałek ziemi, otoczyć go murami i w ten sposób z całości nieskończonej i amorficznej przestrzeni wydzielić część zamkniętą i skończoną. Oto i plac. Nie jest zamkniętym od góry „wnętrzem” jak dom czy istniejące w przyrodzie jaskinie, jest po prostu czystym zaprzeczeniem przyrody. Plac dzięki otaczającym go murom jest kawałkiem ziemi, który odwrócił się plecami do całej reszty, obywając się bez niej i przeciwstawiając się jej. Ten mały i zbuntowany kawałek ziemi, który oderwał się od nieskończonej przyrody i od niej się uniezależnił, jest zupełnie nowym typem przestrzeni *sui generis*, w której człowiek zrywa więzy łączące go z roślinami i zwierzętami, tworząc odrębny, czysto ludzki świat. Jest to przestrzeń miejska. Dlatego też Sokrates, zagorzały zwolennik miast, sam będąc najwspanialszym wykwitem *polis*, powiedział: „Nie czuj żadnej wspólnoty z drzewami rosnącymi na zewnątrz murów miejskich; czuję jedynie wspólnotę z ludźmi w mieście”. Czy kiedykolwiek myślał tak Hindus, Pers, Chińczyk czy Egipcjanin?

Aż do czasów Aleksandra i Cezara, odpowiednio dzieje Grecji i Rzymu były nieprzerwaną walką między tymi dwiema przestrzeniami: pomiędzy racjonalnym miastem a żyjącą życiem roślin wsią, pomiędzy pracodawcą a rolnikiem, pomiędzy *ius* i *rus*.

Proszę nie myśleć, że taka wersja genezy miasta jest moją własną konstrukcją myślową, której odpowiada jedynie prawda symboliczna. Mieszkańcy grecko-rzymskich miast w najgłębszych pokładach duszy mieli mocno

⁵⁷ Patrz esej pt.: *Sobre la muerte de Roma*, w: *El Espectador*, t. VI, 1927.

⁵⁸ Tak właśnie postępuje rozum fizyczny czy biologiczny, „rozum naturalistyczny”, który jak widać jest mniej racjonalny niż „rozum historyczny”. On też, jeśli bada rzeczy gruntowne, a nie powierzchowne, jak w tym eseju, nie uznaje żadnego faktu za fakt absolutny. Jego rozumowanie polega na rozmywaniu każdego faktu w poszukiwaniu jego genezy. Patrz mój esej pt. *Historia como sistema*, Madrid 1941 (przyp. wyd. hiszp.).

zakorzenioną pamięć o *synoikismos*. Nie potrzeba zatem specjalnie analizować tekstów: wystarczy je przetłumaczyć. *Synoikismos* to zgoda na połączenie się i wspólne życie; a zatem oznacza to zbiorowość w podwójnym, zarówno fizycznym jak i prawnym tego słowa znaczeniu. Po roślinno-wiejskim rozproszeniu w przyrodzie przyszedł czas na skupisko miejskie, na miasto. Miasto jest superdomem, jest większym i doskonalszym ludzkim siedliskiem, tworzy całość wyższą i bardziej abstrakcyjną od rodzinnego *oikos*. Miasto to *republica*, to *politeia*, na którą nie składają się mężczyźni i kobiety, lecz obywatele. Egzystencja ludzka przybrała nowy wymiar, nie dający się sprowadzić do bliższych zwierzęciu elementów pierwotnych, w którym ci, którzy dotychczas byli tylko ludźmi, będą teraz mogli oddać z siebie wszystko, co w nich jest najlepsze. Tak więc miasto rodzi się zarazem jako państwo.

W pewnym sensie, na całym wybrzeżu Morza Śródziemnego dawała się zauważyć spontaniczna tendencja do tworzenia tego typu państw. To samo powtórzyło się mniej lub bardziej dokładnie w Afryce Północnej (Kartagina = miasto). We Włoszech ten typ miast-państw panował aż do XIX wieku, a nasza Katalonia po dziś dzień skłania się, jak tylko może, ku kantonalizmowi, co jest czkawką po jej tysiącletniej tradycji⁵⁹.

W państwie-mieście, ze względu na jego stosunkowo niewielkie rozmiary, najwyraźniej daje się zauważyć działanie zasady państwowości. Z jednej strony słowo „państwo” (*estado*) wskazuje na to, że siły popychające naprzód historię osiągnęły pewną równowagę, stabilizację. W tym znaczeniu byłoby to zaprzeczenie historycznego ruchu, parcia naprzód; państwo to życie ustabilizowane (*estable*), ukonstytuowane, statyczne (*estatico*). Ale pod tą pokrywką nieruchomości, spokoju i zdecydowania kryje się, jak pod każdym stanem równowagi, dynamizm, dzięki któremu państwo powstało i trwa. Owo wrażenie stabilności i bezruchu powoduje, iż zapominamy o tym, że ukonstytuowane państwo jest jedynie rezultatem uprzedniej dynamicznej walki i wysiłków, które doprowadziły do jego powstania. Państwo konstytuujące się poprzedza państwo ukonstytuowane, a to właśnie oznacza ruch.

Chcę przez to powiedzieć, że państwo nie jest formą życia społecznego, jaką człowiek zastaje gotową, na kształt podarunku, lecz że formę tę trzeba ciągle w znoju wykuwać. Sprawy wyglądają tu inaczej niż w wypadku hordy, plemienia czy innych typów społeczności opartych na więzach krwi, stworzonych przez Naturę bez udziału ludzi. Wręcz przeciwnie, o państwie można mówić dopiero wtedy, kiedy człowiek wyrwie się z przyrodzonej sobie społeczności, do której należy ze względu na związki krwi. Mówiąc o związkach krwi mam na myśli również wszelkie inne typy więzi naturalnych, jak na przykład wspólny język. Pierwotnie rzecz biorąc, państwo to mieszanina ras i języków. Jest ono przewyżczeniem wszelkich społeczności naturalnych. Jest wielojęzyczną mieszaniną.

Tak więc państwo rodzi się ze wspólnoty różnych ludów. Na fundamencie heterogenicznej biologii buduje ono abstrakcyjny i homogeniczny system prawny.⁶⁰ Oczywiście to nie jedność prawna jest impulsem dla ruchów państwowotwórczych. Impulsy te są głębsze: bardziej istotne niż jakiegokolwiek prawa, są nimi przedsięwzięcia potężne i o żywotnym znaczeniu, a niemożliwe do przeprowadzenia w maleńkich społecznościach opartych na więzach krwi. U podstaw wszelkich państw widzimy zawsze wyraźny lub zamazany cień wielkiej „przedsiębiorcy”.

Obserwując sytuację historyczną, jaka bezpośrednio poprzedza narodziny państwa, zauważamy, iż zawsze powtarza się następujący schemat: na danym terenie istnieją różne małe społeczności o strukturze społecznej stworzonej tak, by każda z nich mogła żyć samodzielnie i sama dla siebie. Formy społeczne każdej z tych zbiorowości służą jedynie współżyciu wewnętrznemu. Wskazuje to, iż w przeszłości żyły one rzeczywiście wzajemnie oddzielone, każda z nich jedynie z siebie i dla siebie, przy zupełnie sporadycznych kontaktach z najbliższymi sąsiadami. Ale po tym rzeczywistym odosobnieniu przyszedł czas na współżycie zewnętrzne, przede wszystkim ekonomiczne. Jednostka danej zbiorowości nie żyje już tylko życiem własnej grupy, ale część swego życia splota z życiem jednostek z innych grup, z którymi prowadzi wymianę handlową i intelektualną. Następuje więc zachwianie równowagi pomiędzy dwoma typami współżycia społecznego: współżyciem wewnętrznym i zewnętrznym. Ustabilizowane formy społeczne - prawa, obyczaje i religia - sprzyjają współżyciu wewnętrznemu, utrudniając zarazem zewnętrzne, nowsze i pełniejsze. W tej sytuacji dążności państwowotwórcze stają się ruchem prowadzącym do zniszczenia społecznych form współżycia wewnętrznego i zastąpienia ich innymi, które by lepiej odpowiadały potrzebom nowego współżycia wewnętrznego. Przyłóżmy ten schemat do obecnej sytuacji w Europie, a powyższe abstrakcyjne twierdzenia nabierają kształtów i koloru.

Jak długo dany naród nie może wyzwolić swej umysłowości od tradycyjnych struktur współżycia, a nawet wyobrazić sobie możliwości innych, dotychczas mu nie znanych, tak długo nie może być mowy o stworzeniu państwa. Dlatego budowanie państwa jest autentyczną twórczością. Państwo jest początkowo wyłącznie tworem wyobraźni. Wyobraźnia to moc wyzwalań, którą posiadał człowiek. Dany naród jest dojrzały do stworzenia państwa w takim stopniu, w jakim potrafi posługiwać się wyobraźnią. Stąd też w każdym narodzie ewolucja

⁵⁹ Ciekawe byłoby pokazać, jak w Katalonii współdziałają dwie tendencje wynikające z antagonistycznych inspiracji: europejski nacjonalizm i miastocentryczność Barcelony, w której znajdują swoje odzwierciedlenie odwieczne skłonności tkwiące w ludziach Morza Śródziemnego. Jak już w innym miejscu mówiłem, szczątkowe cechy *homo antiquus* przetrwały na naszym półwyspie w Katalończykach.

⁶⁰ Jednorodność prawna wcale nie musi koniecznie pociągać za sobą centralizm.

państwowotwórcza dochodzi do pewnych granic, które dokładniej rzecz biorąc są granicami, jakie jego fantazji narzuciła Natura.

Starożytni Grecy i Rzymianie, zdolni sobie wyobrazić miasto triumfujące nad wiejskim rozproszeniem, zamieszkali w miastach i już tam na zawsze pozostali. Był ktoś, kto chciał umysłem grecko-rzymskim otworzyć oczy na dalsze horyzonty, kto chciał ich wyzwolić od miasta; ale wysiłki jego poszły na marne. Ograniczona wyobraźnia ówczesnego Rzymianina, uosobiona w postaci Brutusa, doprowadziła do zamordowania Cezara - reprezentującego najwyższe szczyty starożytnej wyobraźni i fantazji. Dla nas, współczesnych Europejczyków, jest rzeczą bardzo ważną, byśmy pamiętali ten okres, tę historię, bo nasza własna osiągnęła obecnie ten sam etap.

7

W całym starożytnym świecie nie było prawdopodobnie więcej jak dwie otwarte, naprawdę otwarte głowy. Mam tu na myśli dwu polityków: Temistoklesa i Cezara. Jest to rzecz zaskakująca, ponieważ na ogół polityk, także sławny polityk, *dlatego* właśnie jest politykiem, że jest tępy.⁶¹ Oczywiście, zarówno w Grecji jak w Rzymie, było wielu ludzi mających jasne poglądy na różne sprawy - byli to filozofowie, matematycy, badacze natury. Ale ich jasność myślenia miała charakter naukowy; to znaczy dotyczyła spraw abstrakcyjnych. Wszystkie rzeczy, o których mówi nauka, każda nauka, mają charakter abstrakcyjny, a sprawy abstrakcyjne są zawsze jasne. Na szczęście jasność naukowa jest nie tyle cechą umysłów, które naukę tworzą, ile rzeczy, o których ona mówi. Natomiast naprawdę zawiła i skomplikowana jest konkretna rzeczywistość życiowa, zawsze jedyna w swoim rodzaju. Kto potrafi dokładnie się w niej zorientować, kto pod zewnętrznym chaosem każdej sytuacji życiowej umie dostrzec tajemną anatomię chwili, czyli, ogólnie rzecz biorąc, kto się w życiu nie gubi, ten ma naprawdę otwartą głowę. Spójrzcie na otaczających was ludzi, a zobaczycie, jak idą przez świat zagubieni; jak lunacy, popychani przez przeznaczenie dobre lub złe, nie mając nawet pojęcia o tym, co się z nimi dzieje. Usłyszycie, jak mówiąc o sobie i o otaczającym ich świecie, używają określeń taksujących, co by wskazywało na to, że mają na ten temat wyrobione poglądy. Jednak już zupełnie powierzchowna analiza tych poglądów pozwoli nam stwierdzić, że nie odzwierciedlają one wcale rzeczywistości, do której się rzekomo odnoszą; natomiast głębsza ich analiza dowodzi, iż nie mają one nawet pretensji do tego, by się do tej rzeczywistości dopasowywać. A nawet wręcz przeciwnie: jednostka stara się za ich pomocą stworzyć sobie własną wizję życia i rzeczywistości. Życie bowiem to chaos, w którym człowiek czuje się kompletnie zagubiony. Podejrzewa, iż tak jest, ale przeraża go myśl o spotkaniu się twarzą w twarz z ową straszną rzeczywistością i stara się ją zasłonić kurtyną fantasmagorii, na której wszystko jawi mu się jasne i wyraźne, używa ich jako okopów, z których broni się przed życiem; spełniają one rolę jakby stracha na wróble, który ma odstraszyć rzeczywistość.

Człowiek o otwartej głowie to ten, który, wyzwoliwszy się spod władzy owych fantasmagorycznych „poglądów”, spotyka się z życiem twarzą w twarz, przyjmuje do wiadomości, że wszystko w nim jest problematyczne i czuje się zagubiony. Ponieważ jest to świętą prawdą - żyć, znaczy czuć się zagubionym - ten, kto to przyjmuje, zaczyna sam siebie odnajdywać, zaczyna odkrywać swą autentyczną rzeczywistość i staje wreszcie na twardym gruncie. Instynktownie, jak rozbitek, szuka czegoś, czego mógłby się uchwycić; ta niecierpiąca zwłoki, tragiczna potrzeba, absolutnie prawdziwa, skoro chodzi przecież o uratowanie życia, zmusza go do uporządkowania życiowego chaosu. Jedyne prawdziwe poglądy to poglądy rozbitek. Cała reszta to retoryka, poza, farsa. Kto się nie czuje prawdziwie zagubiony, ten gubi się bezpowrotnie, a więc nigdy nie odnajdzie siebie samego, nigdy się nie zetknie z prawdziwą rzeczywistością.

Prawda ta odnosi się do wszystkich dziedzin życia, nawet do nauki, chociaż nauka sama w sobie jest pewnego rodzaju ucieczką od życia (większość ludzi nauki dlatego poświęciła się nauce, że bała się konfrontacji z własnym życiem). Nie są to głowy otwarte; stąd też bierze się ich notoryczna tępota i niezaradność objawiana w zetknięciu z jakąkolwiek konkretną sytuacją. Nasze poglądy naukowe są coś warte jedynie wtedy, kiedy w zetknięciu z jakimś zagadnieniem czujemy się zagubieni, kiedy doskonale widzimy jego problematyczny charakter i kiedy rozumiemy, że nie znajdziemy oparcia w poglądach dotychczas znanych, w gotowych receptach, w zużytych frazesach czy słowach. Ten, kto odkrywa nową prawdę naukową, musi najpierw zmiażdżyć i zetrzeć w proch prawie wszystko, czego się dotychczas nauczył, dochodzi do niej z rękami zakrwawionymi od ciągłego pokonywania niezliczonej ilości frazesów.

Polityka jest znacznie bardziej rzeczywista od nauki, ponieważ składa się z jednorazowych, niepowtarzalnych sytuacji, w które człowiek zostaje nagle wciągnięty, czy tego chce, czy nie. Dlatego też jest to temat, który pozwoli nam lepiej rozróżnić, kto ma głowę otwartą, a kto rutyniarską.

Cezar jest najdoskonalszym znanym nam przykładem kogoś, kto potrafił dostrzec prawdziwy kształt rzeczywistości w momencie strasznego zamieszania, w najbardziej chaotycznym okresie dziejów ludzkości. A zrządzeniem losu, jak gdyby dla jeszcze jaskrawszego podkreślenia wyjątkowości sytuacji, w tym samym czasie

⁶¹ Owo ostre stwierdzenie, które sugeruje posiadanie jasnego poglądu na temat polityki, wszelkiej polityki, zarówno tej „dobrej” jak i tej „złej” - szerzej rozwijam w moim eseju socjologicznym zatytułowanym *El Hombre y el Gente (Człowiek i ludzie)*.

wypłynął na powierzchnię dziejów tytan intelektu - Cynceron, który całe swe życie poświęcił gmatwaniu spraw i rzeczy.

Nadmiar powodzenia mocno nadwerężył organizm polityczny Rzymu. Leżące nad Tybrem miasto, panując nad Italią, Hiszpanią, Afryką Północną, a także klasycznym i hellenistycznym Wschodem, znalazło się samo w sytuacji grożącej lada moment wybuchem. Jego instytucje publiczne były przepojone miejskością, a zatem były z miastem nierozdzielnie związane, tak samo jak nimfy leśne związane są, pod groźbą unicestwienia, z drzewem, którym się opiekują.

Zdrowie demokracji, każdego typu i każdego stopnia, zależy od jednego drobnego szczegółu technicznego, a mianowicie: procedury wyborczej. Cała reszta to sprawy drugorzędne. Jeśli system wyborów działa skutecznie, jeśli dostosowuje się do wymogów rzeczywistości, to wszystko jest w porządku, natomiast jeśli tego nie robi, to demokracja zaczyna się walić, chociażby cała reszta działała bez zarzutu. Na początku I wieku przed naszą erą Rzym jest wszechmocny i bogaty, nie zagraża mu żaden wróg. Jednakże już się zaczyna jego schyłek, bo trwa z uporem przy głupim systemie wyborczym. System wyborczy wtedy jest głupi, kiedy jest fałszywy. Głosować trzeba było w mieście. Już nawet mieszkańcy wsi nie mogli brać udziału w wyborach, a tym bardziej obywateli rozproszeni na obszarze całego imperium rzymskiego. Skoro wybory były niemożliwe do przeprowadzenia, trzeba je było fałszować, a poszczególni kandydaci zaczęli organizować bojówki składające się z weteranów, atletów cyrkowych itp. Zaczęły one rozbijać urny.

Instytucje demokratyczne nie oparte na autentycznych wyborach są niczym. Niczym są także słowa. „Republika jest tylko słowem” - to zdanie wygłosił Cezar. Żadne władze nie cieszyły się autorytetem. Generałowie z prawa i z lewa - Mariusz i Sulla - wyżywali się w pustych dyktaturach, które do niczego nie prowadziły.

Cezar nigdy nie wyjaśnił swojej polityki, zajęty był wprowadzaniem jej w życie. Jeśli chcemy ją zrozumieć, to nie mamy innego wyjścia, jak tylko kolejno rozpatrzyć poszczególne jej etapy, a następnie nadać im nazwy. Jej sekret tkwi w głównym przedsięwzięciu Cezara: w podboju Galii. By móc do niego przystąpić, musiał się zbuntować przeciwko istniejącej Władzy. Dlaczego?

Władza była w rękach republikanów, to znaczy w rękach konserwatystów, wiernych idei państwa-miasta. Ich ówczesną politykę można by ująć w dwie klauzule: po pierwsze - trudności w rzymskim życiu publicznym spowodowane są nadmierną ekspansją. Miasto nie jest w stanie rządzić tyloma narodami. Wszelkie nowe podboje to zdrada interesów Republiki. Po drugie: dla uniknięcia dalszego rozpadu instytucji konieczne jest pojawienie się *księcia*, *principe*.

Dla mas słowo „książę” ma zupełnie inne znaczenie niż *princeps* dla Rzymianina. Dla niego był to obywatel, taki sam jak inni, ale wyposażony w szczególne prerogatywy władzy po to, by mógł regulować funkcjonowanie instytucji republikańskich. Cynceron w swoim traktacie *O państwie*, a Salustiusz w swych petycjach do Cezara zawarli myśli ówczesnych publicystów przywołujących *princeps civitatis*, *rector rerum publicarum*, *moderator*. Rozwiązanie zaproponowane przez Cezara różni się zasadniczo od tego, jakiego domagali się konserwatyści. Rozumiał on, że łagodzić następstwa dotychczasowych podbojów można jedynie przez dalsze podboje i przez przyjęcie na siebie do końca obowiązków związanych z tak dynamicznym przeznaczeniem. Przede wszystkim sprawą pilną był podbój i podporządkowanie sobie nowych ludów, ze strony których już w niedalekiej przyszłości mogło Rzymowi grozić znacznie większe niebezpieczeństwo niż ze strony skorumpowanych narodów Wschodu. Zdaniem Cezara konieczna była gruntowna romanizacja barbarzyńskich ludów Zachodu.

Powiada się często (Spengler), że Grekorzymianie nie mieli wycucia czasu, nie dostrzegali w swym życiu ekspansji czasowej. Żyli w punktowej terażniejszości. Uważam, iż jest to diagnoza błędna albo że przynajmniej pomieszano w niej dwie sprawy. Grekorzymian cechowała zadziwiająca ślepotą na sprawy przyszłości. Nie widzieli jej, tak jak daltonista nie widzi koloru czerwonego. Żyli natomiast mocno osadzeni w przeszłości. Przed zrobieniem czegokolwiek cofali się najpierw o krok, jak szykująca się do morderczego skoku jaszczurka; szukali w przeszłości wzorca dla sytuacji obecnej, a gdy go znaleźli, rzucali się w terażniejszość, chronieni a zarazem deformowani przez ów znamienity pancerz przeszłości. Dlatego też całe ich życie było w pewnym sensie odradzaniem się dawnego życia. Jest to archaizujący typ życia charakterystyczny dla ludzi starożytności; w żadnym razie nie oznacza to, że nie mieli wcale wycucia czasu. Ich wycucie czasu było po prostu niekompletne, zbyt wyculone na przeszłość, za mało na przyszłość. My, Europejczycy, ciężyliśmy zawsze ku przyszłości i mamy poczucie, że jest to najbardziej istotny wymiar czasu, który dla nas zaczyna się od „po”, a nie od „przed”. Jest zatem zrozumiałe, że życie Grekorzymian wydaje nam się achroniczne.

Owa mania rozpatrywania terażniejszości za pomocą przykładów z przeszłości przeszła z ludzi starożytności na współczesnych filologów. Filolog również nie patrzy w przyszłość. On także cofa się w przeszłość, szukając w niej poprzedników terażniejszości, których nazywa wdzięcznie i sielankowo jej „źródłem”. Mówię o tym dlatego, że już starożytni biografowie Cezara uchylali się od zrozumienia tej wielkiej postaci sugerując, że starał się on naśladować Aleksandra Wielkiego. Porównanie to samo się narzucało: skoro Aleksandrowi spędzały sen z powiek myśli o laurach Milcjadesa, to Cezar musiał oczywiście cierpieć na

bezsenność z powodu Aleksandra. I tak dalej. Zawsze najpierw krok do tyłu, a potem kilka kroków naprzód po śladach przeszłości. Współczesny filolog postępuje tak samo jak starożytny biograf.

Uważać, że ambicją Cezara było naśladowanie Aleksandra - a tak uważa większość historyków - to znaczy zupełnie go nie rozumieć. Cezar był, z grubsza rzecz biorąc, przeciwieństwem Aleksandra. Łączyła ich jedynie idea królestwa powszechnego. Ale idea ta nie pochodziła od Aleksandra, lecz od Persów. Przykład Aleksandra skierowałby uwagę Cezara na Wschód, ku wspaniałej przeszłości, natomiast jego zdecydowanie większe zainteresowanie Zachodem wskazuje raczej na chęć przeciwstawienia się wielkiemu Macedończykowi. Poza tym Cezar nie stawiał sobie za cel stworzenia za wszelką cenę jakiegoś światowego królestwa. Dążył do celów głębiej przemyślanych. Chciał stworzyć imperium rzymskie, które by nie czerpało soków żywotnych z Rzymu, lecz z jego peryferii, z prowincji, a to pociągało za sobą zniesienie absolutnej supremacji państwamiasta. Miałoby to być państwo, w którym współpracowałyby różne ludy połączone wspólną solidarnością państwową. Nie byłoby w nim stolicy, która wydaje rozkazy, i prowincji, które je wykonują; byłby to jeden olbrzymi organizm społeczny, w którym każdy element spełnia zarazem funkcje czynne i bierne. Takie właśnie jest państwo współczesne; owa przenikliwa umiejętność antycypacji stanowi o nastawionym na przyszłość geniuszu Cezara. Państwo tego typu wymagałoby istnienia władzy poza-rzymskiej, antyarystokratycznej, stojącej ponad republikańską oligarchią i ponad jej księciem, który był jedynie *primus inter pares*. Taką władzą wykonawczą demokracji uniwersalnej mogłaby być tylko Monarchia ze stolicą leżącą poza Rzymem.

Republika! Monarchia! - dwa słowa, których *autentyczne* znaczenie ciągle w dziejach się zmienia i dlatego właśnie w każdym momencie dziejów trzeba je dokładnie przeanalizować, by móc dotrzeć do ich istoty.

Ludzie zaufani Cezara, jego najbliżsi współpracownicy, nie wywodzili się ze znakomitych rodów rzymskich, lecz byli ludźmi nowymi, pochodzili z prowincji, odznaczali się dużą energią i cechowała ich skuteczność w działaniu. Jego prawdziwym ministrem był Korneliusz Balbo, kupiec z Kadyksu, pochodzący z atlantyckich „kolonii”.

Jednakże antycypacja nowego państwa była jeszcze przedwczesna, ociężałe umysły z Lacjum nie były jeszcze gotowe do tak wielkiego skoku. Obraz miasta, jego namacalny materialny charakter powodował, że Rzymianie nie byli w stanie dostrzec tej nowego typu organizacji organizmu publicznego. Jak mogliby utworzyć państwo ludzie, którzy nie żyją w mieście? Jakiego rodzaju byłaby to jedność, tak delikatna, że nieledwie mistyczna?

Powtarzam to raz jeszcze: rzeczywistość, którą zwiemy państwem, nie jest spontaniczną wspólnotą ludzką spojona więzami krwi. Państwo powstaje wtedy, kiedy do współzycia zobowiązują się grupy ludzi o różnym pochodzeniu. Owo zobowiązanie to nie jest nagi przymus; sugeruje ono istnienie pewnego programu, który skłania różne grupy do wypełniania wspólnych zadań. Państwo jest przede wszystkim planem działania i programem współpracy, mobilizuje ono ludzi do podejmowania wspólnych wysiłków. Państwo to nie więzy krwi, nie wspólnota językowa, nie jedność terytorialna, ani też nie bliskość zamieszkania. Nie jest ono niczym materialnym; bezwładnym, gotowym i ograniczonym. Jest ono czystym dynamizmem - wolą wspólnego działania - i dlatego też idea państwowości nie jest ograniczona żadnymi czynnikami fizycznymi.⁶²

Słynne jest celne motto polityczne Saavedry Fajardo: strzała, a pod nią napis „Albo się wznosi, albo opada”. To właśnie jest państwo. Nie rzecz, lecz ruch. Państwo to coś, co w każdym określonym momencie *idzie z albo też idzie do*. Tak samo, jak każdy inny ruch, ma ono *terminus a quo* i *terminus ad quem*. Jeśli przetniemy w jakimkolwiek momencie życie państwa, które naprawdę zasługuje na to miano, okaże się ono wspólnotą; wydaje się ona spojona za pomocą takiego czy innego atrybutu materialnego, jak więzy krwi, język, czy „naturalne granice”. Interpretacja statyczna skłania nas do stwierdzenia, że to właśnie jest państwo. Ale wkrótce zauważymy, że owa grupa ludzka podejmuje pewne wspólne działania: podbija inne ludy, zakłada kolonie, stwarza federacje z innymi państwami, to znaczy w każdym momencie swego istnienia jest czymś więcej niż tylko ową materialną zasadą, która jakby stanowiła o jedności grupy. Jest ona *terminus ad quem*, jest prawdziwym państwem, a jego jedność polega właśnie na przewyższaniu wszelkiej jedności gotowej, zastanej. Kiedy impuls parcia gdzieś dalej, do przodu przestaje działać, państwo automatycznie zaczyna chylić się ku upadkowi, a istniejąca dotychczas jedność, która wydawała się fizycznie scementowana - rasa, język, naturalne granice - nie służy już niczemu: państwo ulega rozkładowi, rozpuszcza się, atomizuje.

Jedynie ta dwoistość państwa - jedność, która już istnieje, i ta pełniejsza, która leży w programie przyszłości - pozwala nam zrozumieć istotę państwa narodowego. Jak wiadomo, nikomu nie udało się jeszcze określić, co to jest naród, jeśli temu słowu nadać jego współczesne znaczenie. Państwo-miasto to była idea jasna i wyraźna, którą można było oglądać na własne oczy. Ale nowy typ jedności publicznej, zrodzony wśród Galów i Germanów, inspiracja polityczna Zachodu, to coś o wiele bardziej nieokreślonego i ulotnego. Filolog czy współczesny historyk, siłą rzeczy zapatrzony w przeszłość, w zetknięciu z tym zadziwiającym zjawiskiem napotyka prawie takie same trudności, jakie napotykali Cezar czy Tacyt, kiedy chcieli za pomocą swojej rzymskiej terminologii określić, czym były dopiero co powstające państwa zaalpejskie i nadreńskie albo iberyjskie. Nazywali je *civitas*, *gens*, *natio*, zdając sobie sprawę z tego, że żaden z tych terminów nie oddaje

⁶² Por. *El origen deportivo del Estado*, w: *El Espectador*, t. VII, Madrid 1030 (przyp. wyd. hiszp.).

precyzyjnie sensu tego zjawiska.⁶³ Nie były to *civitates* z tego prostego powodu, że nie były miastami.⁶⁴ Nie można było nawet nieco rozciągnąć znaczenia tego określenia, by nim objąć określony teren. Nowym ludom przychodziły z najwyższą łatwością zmiany miejsca osiedlenia, a w każdym razie bez trudu ograniczały bądź rozszerzały zajmowany przez siebie obszar. Nie stanowiły one także wspólnot etnicznych - *gentes* czy *nationes*. Gdziekolwiek spojrzeć, można zauważyć, że nowe państwa powstawały z niezależnych od siebie grup o różnym pochodzeniu. Stanowiły mieszaninę różnych krwi. Czymże zatem jest naród, skoro nie jest wspólnotą złączoną więzami krwi ani wspólnotą związaną wspólnym terytorium, ani niczym innym w tym rodzaju?

Jak to zwykle bywa, również i w tym wypadku proste odwołanie się do faktów dostarczy nam klucza do rozwiązania problemu. Jakie fakty nam się natychmiast narzuca, jeśli przyjrzymy się ewolucji dowolnego „nowoczesnego narodu” - Francuzów, Hiszpanów, Niemców? Te mianowicie, że coś, co w pewnym określonym momencie wydaje się tworzyć naród, ulegnie następnie zaprzeczeniu. Początkowo narodem wydaje się plemię, a nie-narodem plemię sąsiednie. Potem naród tworzą już dwa plemiona, następnie cała ludność zamieszkująca określone terytorium, wkrótce już całe hrabstwo, księstwo czy „królestwo”. Narodem są mieszkańcy Leónu, ale nie Kastylijczycy; potem mieszkańcy Leónu i Kastylijczycy, ale nie Aragończycy. Jest więc rzeczą oczywistą, iż działają tu dwa czynniki: jeden zmienny i ciągle rozszerzany - plemię, ziemia, księstwo, „królestwo” ze swoim językiem czy dialektem; i drugi, stały, który swobodnie przekracza wszystkie te granice, i zakłada jedność tego, co według pierwszego czynnika stanowiło właśnie jej radykalne przeciwstawienie.

Filologowie - nazywam tak tych, którzy pretendują dziś do miana „historyków” - są naprawdę komiczni, kiedy, wychodząc od obecnej pozycji owej mknącej przed siebie strzały, czyli od istniejących od dwu, trzech wieków narodów Europy Zachodniej, zakładają, iż już Wercyngetoryks czy Cyd Campeador pragnęli Francji od Saint-Malo do Strasburga czy Hiszpanii od Finisterre do Gibraltaru. Owi filologowie - podobnie jak naiwni dramaturgowie - prawie zawsze każą swoim bohaterom zachowywać się tak, jakby wyruszyli na wojnę trzydziestoletnią. Chcąc nam wyjaśnić, jak powstały Francja czy Hiszpania sugerują, iż Francja i Hiszpania istniały już uprzednio jako zjednoczone całości w najgłębszych pokładach duszy Francuzów i Hiszpanów. Tak jakby Francuzi i Hiszpanie istnieli, zanim jeszcze powstały Francja i Hiszpania. Tak jakby stworzenie istoty, zwanej Francuzem czy Hiszpanem, nie wymagało dwu tysięcy lat mozolnego trudu.

Prawdą jest, że we współczesnych narodach objawia się także działanie owego czynnika zmiennego, dążącego nieustannie do przezwyciężenia dotychczasowych ograniczeń, do coraz to doskonalszych rozwiązań. Obecnie tym czynnikiem nie jest ani więź krwi, ani język, przy założeniu że zarówno we Francji jak i w Hiszpanii wspólnota krwi i języka były skutkiem a nie przyczyną jedności państwowej; obecnie czynnikiem tym są „granice naturalne”.

Dyplomata może w szermierkach słownych stosować pojęcie granic naturalnych jako *ultima ratio* swojej argumentacji. Ale historyk nie może uciekać się do takich argumentów, jakby były one prawdą ostateczną. Nie są one ani prawdą ostateczną, ani nawet w wystarczającym stopniu prawdą cząstkową.

Proszę pamiętać przed jakim dokładnie rzecz biorąc stoimy tu zagadnieniem. Chodzi mianowicie o stwierdzenie, czym jest państwo narodowe - to, co dziś zwykliśmy nazywać narodem, czym się ono różni od innych typów państw, na przykład od państwa-miasta czy - przechodząc do innej krańcowości - od imperium rzymskiego założonego przez Augusta.⁶⁵ Chcąc sformułować problem jeszcze jaśniej i dokładniej, należałoby powiedzieć tak: Jaka rzeczywista siła doprowadziła do współżycia milionów ludzi, kierowanego przez władzę publiczną, które nazywano Francją, Anglią, Hiszpanią, Włochami czy Niemcami? Nie było tu uprzedniej wspólnoty krwi, skoro na każdy z tych zbiorowych organizmów zlewały się potoki krwi o bardzo różnym pochodzeniu. Nie było także uprzedniej wspólnoty języka, skoro ludy dziś połączone w jedno państwo mówiły albo w dalszym ciągu mówią w różnych językach. Względna jednolitość rasowa czy językowa, jaką się obecnie cieszą - jeśli w ogóle jest się tu z czego cieszyć - jest wynikiem uprzedniego zjednoczenia politycznego. A zatem ani wspólnota krwi, ani mowy nie stanowią o istnieniu państwa narodowego; a raczej wręcz odwrotnie - to państwo narodowe niweluje występujące początkowo różnice w czerwonych ciałkach krwi czy też w wydawanych przez ludzi artykułowanych dźwiękach. I zawsze tak było. Bardzo rzadko, jeśli w ogóle kiedykolwiek, zdarza się tak, by *powstanie państwa zbiegło się z uprzednią wspólnotą krwi czy języka jego mieszkańców*. Ani Hiszpania nie jest dzisiaj państwem narodowym dlatego, że na całym jej terytorium mówi się po hiszpańsku⁶⁶, ani nie były nimi Aragonia czy Katalonia dlatego, że w pewnym, arbitralnie wybranym momencie, ich granice terytorialne zbiegały się z granicami obszaru, na którym panowała mowa aragońska czy katalońska. Bliżsi będziemy prawdy, jeśli mając na uwadze fakty, jakich dostarcza nam rzeczywistość, skłonimy

⁶³ Patrz A. Dopsch, *Wirtschaftliche und soziale Grundlagen der europäischen Kulturentwicklung aus der Zeit von Caesar bis Karl den Grossen*, t. II, 1924, s. 3-4.

⁶⁴ Rzymianie nigdy nie nazywali miastami osiedli barbarzyńskich, nawet dużych i gęsto zabudowanych. Nazywali je *faute de mieux* [z braku lepszego miana], *sedes aratorum* [osiedla wiejskie].

⁶⁵ Jest rzeczą ogólnie znaną, że imperium Augusta było przeciwieństwem państwa, jakie zamierzał stworzyć jego przybrany ojciec - Cezar. August działał w myśl zasad Pompejusza i wrogów Cezara. Jak dotychczas najlepszym opracowaniem na ten temat jest książka Eduarda Meyera *Caesars Monarchie und das Prinzipat des Pompejus* (1918).

⁶⁶ Dokładnie rzecz biorąc nie jest też wcale prawdą, że wszyscy Hiszpanie mówią po hiszpańsku, wszyscy Anglicy po angielsku, a wszyscy Niemcy używają *Hochdeutsch*.

się raczej ku hipotezie, że wszelka wspólnota językowa ogarniająca swoim zasięgiem jakieś większe terytorium jest prawie na pewno rezultatem uprzedniej unifikacji politycznej⁶⁷. Państwo było zawsze wielkim dragomanem.

Jest to już od dawna sprawa ogólnie znana i dlatego naprawdę zadziwiający jest upór, z jakim obstaje się często przy tym, że dwoma fundamentami, na których stoi naród, są więzy krwi i wspólny język. Widzę w tym tyleż samo niewdzięczności, co niezrozumienia. Francuz bowiem zawdzięcza swoją obecną Francję, a Hiszpan swą obecną Hiszpanię, pewnej zasadzie X, która właśnie zrodziła bodźce do przewyciężenia wąskich ograniczeń, jakie narzuca wspólnota krwi czy języka. Dzięki temu zarówno współczesna Francja, jak i współczesna Hiszpania, są przeciwieństwem tego, czym mogły być.

Podobny błąd popełniamy, wywodząc ideę narodu ze wspólnoty obszaru terytorialnego, szukając zasady jedności, której nie zapewnia wspólnota krwi czy języka, w geograficznej mystyce „granic naturalnych”. Mamy tu znowu do czynienia z tym samym, co uprzednio, złudzeniem optycznym. Przypadek zrzucił, że w chwili obecnej tak zwane narody zajmują pewne wydzielone tereny naszego kontynentu, a także przylegające doń wyspy. Istniejącym obecnie granicom nadaje się często charakter ostateczny i duchowy. Powiada się, że są to „granic naturalne”, a przez ich „naturalność” rozumie się jakąś magiczną predeterminację dziejów przez formy ukształtowania skorupy ziemskiej. Ale mit ten natychmiast znika, jeśli zastosujemy do niego to samo rozumowanie, które doprowadziło do obalenia twierdzenia o więzach krwi i wspólnego języka jako dwu głównych filarach narodu. Również w tym wypadku, jeśli cofniemy się o kilka wieków, okaże się, że zarówno Francja jak i Hiszpania rozdrobione były na mniejsze narody, oczywiście ze swymi własnymi „granicami naturalnymi”. Graniczne góry były wówczas niższe od Pirenejów czy Alp, a granice wodne węższe od Renu, kanału La Manche czy Cieśniny Gibraltarskiej. Ale to jedynie dowodzi, że „naturalność” granic jest sprawą najzupełniej względną. Zależy ona od środków ekonomicznych i wojskowych będących w danej epoce do dyspozycji.

Rzeczywistość historyczna sławetnych „granic naturalnych” sprowadza się do tego, że ludowi A utrudniały one najazdy na lud B. Ponieważ były utrudnieniem - w pokojowym współżyciu czy w działaniach wojennych - dla ludu A, były zarazem ochroną dla ludu B. A zatem idea „granic naturalnych”, jako jeszcze bardziej naturalna od idei granicy w ogóle, pierwotnie implikuje istnienie możliwości nieograniczonych najazdów i fuzji pomiędzy poszczególnymi ludami. Jak się okazuje, jedynym hamulcem były przeszkody materialne. Wczorajsze i przedwczorajsze granice nie wydają się dziś podstawą istnienia narodów francuskiego i hiszpańskiego, a nawet wręcz przeciwnie: jawią się one jako przeszkody, które na drodze do ujednoczenia napotykała idea narodowa. Niemniej dzisiejszym granicom przypisujemy charakter ostateczny i fundamentalny, mimo że dla nowoczesnych środków komunikacji i nowoczesnych technik wojennych nie stanowią one już żadnej przeszkody.

A zatem jaką rolę odegrały granice w powstawaniu narodów, skoro nie stanowiły ich pozytywnej podstawy? Sprawa jest jasna, a jej zrozumienie jest nadzwyczaj ważne dla uchwycenia różnicy pomiędzy autentyczną ideą państwa narodowego a tą, która powodowała państwem-miastem. Granice służyły zawsze do konsolidacji raz osiągniętej jedności politycznej. Nie były zatem początkiem narodu, a na odwrót: *na początku* były przeszkodą, a dopiero kiedy się z ich istnieniem pogodzono, stawały się zapewniającym jedność środkiem materialnym.

Otóż dokładnie tę samą rolę spełniały również więzy krwi i wspólny język. Narodu nie *stworzyła* taka czy inna wspólnota plemienna, lecz na odwrót: państwo narodowe, w swych dążeniach unifikacyjnych, ścierało się zawsze z wieloma grupami plemiennymi i z wieloma językami, tak samo jak z całą gamą innych przeszkód i trudności. Dopiero zdecydowane ich pokonanie dawało w rezultacie względne zjednoczenie plemion i języków, które służyło dalszej konsolidacji jedności.

Tak więc, nie pozostaje nic innego jak tylko sprostować tradycyjne nieporozumienia odnośnie idei państwa narodowego i za pierwotne przeszkody, stojące na drodze powstawania narodu, uznać te właśnie trzy czynniki, o których dotychczas sądzono, iż są jego podstawami. Rzecz jasna, prostując te nieporozumienia, narażam się na zarzuty, iż teraz sam padam ofiarą nieporozumienia.

Tajemnicy państwa narodowego należy zdecydowanie szukać w jemu tylko właściwej inspiracji państwowotwórczej, w jego własnej polityce, a nie w obcych mu źródłach o charakterze biologicznym czy geograficznym.

Dlaczego właśnie mniemano, iż dla zrozumienia owego cudownego zjawiska, jakim jest nowoczesny naród, trzeba się odwoływać do wspólnoty krwi, do języka czy wreszcie do wspólnoty terytorialnej? Po prostu dlatego, że te czynniki stanowiły o głęboko zakorzenionej zgodności i solidarności jednostki z władzą publiczną, czyli o czymś zupełnie nieznanym w państwie starożytnym. W Atenach czy w Rzymie państwo tworzyła zaledwie niewielka grupka ludzi; cała reszta - niewolnicy, mieszkańcy prowincji, kolonowie - to byli jedynie poddani. W Anglii, we Francji czy Hiszpanii nikt nie był nigdy tylko i wyłącznie poddanym państwa, zawsze był także jego członkiem, utożsamiał się z nim. Forma, przede wszystkim prawna, owej jedności z państwem i w państwie bywała bardzo różna w różnych okresach. Różnice w położeniu i statusie jednostek często były

⁶⁷ Pozostawiamy tu oczywiście na boku wypadki *koine* czy *lingua franca*, które nie są językami narodowymi, lecz właśnie międzynarodowymi.

znaczne, klasy mogły być uprzywilejowane i upośledzone. Jeśli jednak postaramy się zinterpretować efektywną rzeczywistość sytuacji politycznej w każdej epoce, ożywiając jej ducha, to stanie się dla nas oczywiste, że każda jednostka czuła się aktywnym poddanym państwa, jego współnikiem i współpracownikiem. Naród - w tym sensie tego słowa, oznacza „hipostatyczny związek” władzy publicznej z kierowaną przez nią zbiorowością.

Państwo zawsze, niezależnie od tego, jaka jest jego forma (prymitywna, antyczna, średniowieczna czy nowoczesna) jest zaproszeniem przez jedną grupę ludzi innych ludzkich grup do połączenia sił w celu wykonania jakiegoś wspólnego przedsięwzięcia. Ostatecznym rezultatem tego przedsięwzięcia niezależnie od tego, jakie byłyby jego kolejne, bezpośrednie cele, będzie zorganizowanie pewnego typu wspólnego życia. Państwo i plan życia oraz program działania czy program ludzkich zachowań to terminy nierozłączne. Poszczególne typy państw scharakteryzować można według tego, w jaki sposób grupa wiodąca organizuje swą współpracę z *innymi*. I tak państwo starożytne nigdy nie dopuszczało możliwości wchłonięcia owych *innych*. Rzym rządzi i uczy Italczyków czy mieszkańców prowincji, ale nigdy nie dopuszcza ich do wspólnoty ze sobą. Nawet w samym mieście nie doszło nigdy do politycznego zjednoczenia obywateli. Nie zapominajmy, że w czasach Republiki na Rzym składały się właściwie dwa Rzymy: Senat i plebs. Jedność państwowa sprowadzała się w najlepszym wypadku do porozumień pomiędzy obiema grupami, które jednak w dalszym ciągu pozostawały sobie wzajemnie obce. Dlatego też zagrożone imperium nie mogło liczyć na patriotyzm *innych* i zmuszone było bronić się wyłącznie za pomocą środków biurokratycznych w zarządzaniu administracją i obroną.

Owa niezdolność do zlewania się w jedną całość z innymi, charakterystyczna dla wszelkich grup greckich czy rzymskich, miała głębsze przyczyny, na temat których nie będziemy się tu rozwodzić. W ostatecznym rachunku można je sprowadzić do jednej, zasadniczej: człowiek starożytny w sposób prosty i prymitywny interpretował pojęcie współpracy, na którym - czy tego chcemy, czy nie chcemy - opiera się państwo, a mianowicie rozumiał ją jako dualizm rządzących i rządzonych.⁶⁸ Rola Rzymu polegała na rządzeniu, a nie na słuchaniu rozkazów, reszta natomiast powinna jedynie słuchać, a nie rozkazywać. W ten sposób ucieleśnieniem państwa stawało się wewnątrz *pomoerium*⁶⁹, czyli grupa ludzi materialnie oddzielona od innych przez mury otaczające miasto.

Nowe ludy niosły ze sobą mniej materialną koncepcję państwa. Skoro jest ono programem wspólnego działania, to jest rzeczywistością czysto dynamiczną; zadaniem do wykonania, wspólnotą w działaniu. Tym samym aktywnym członkiem państwa, jego politycznym poddanym jest każdy, kto pomaga we wspólnym przedsięwzięciu - natomiast więzi krwi, wspólnota terytorialna czy przynależność klasowa schodzą na drugi plan. A zatem tytułem do politycznego współżycia nie jest dawna wspólnota, odwieczna i tradycyjna, słowem przypadkowa i nieodwracalna, lecz wspólnota przyszłości, będąca określonym planem działania. Łączymy się w jedno państwo nie ze względu na to, czym byliśmy wczoraj, lecz ze względu na to, czego razem dokonamy w przyszłości. Stąd też wynika owa łatwość, z jaką jedność polityczna pokonuje na Zachodzie wszelkie bariery i ograniczenia, które krępowały państwa starożytne. Europejczyk, w porównaniu z *homo antiquus* jest człowiekiem otwartym na przyszłość, świadomie nią żyjącym i pod jej kątem podejmującym decyzje co do swego aktualnego postępowania.

Taka tendencja polityczna prowadzi w sposób nieunikniony do coraz to szerszej i pełniejszej unifikacji, a z tego, co ją początkowo utrudniało, nie pozostaje już nic. Możliwości fuzji są nieograniczone. Nie chodzi tu jedynie o połączenie jednego ludu z drugim, ale o coś jeszcze bardziej charakterystycznego dla państwa narodowego, a mianowicie: o fuzję wszystkich klas społecznych w ramach jednego organizmu politycznego. Wraz z terytorialnym i etnicznym rozrostem narodu wzrasta także stopień współpracy wewnętrznej. Państwo narodowe już w swoim założeniu jest z gruntu demokratyczne; jest to sprawa ważniejsza niż różnice w formach rządów.

Ciekawe, że kiedy definicję narodu opieramy na wspólnej przeszłości, zawsze dochodzimy w końcu do wniosku, że najlepsze jest sformułowanie Renana po prostu dlatego, że do wspólnoty krwi, języka i tradycji dorzuca jeszcze jeden element, którym jest „codzienny plebiscyt”. Ale czy dobrze te słowa rozumiemy? Czy nie możemy im obecnie przypisać znaczenia odwrotnego temu, jakie w nie tchnął Renan, ale zarazem znacznie bardziej prawdziwego?

⁶⁸ Znajduje to potwierdzenie w czymś, co na pierwszy rzut oka wydaje się temu przeczyć: w przyznaniu wszystkim mieszkańcom imperium obywatelstwa rzymskiego. Obywatelstwo to zostało przyznane wtedy właśnie, kiedy zaczęło tracić charakter statusu politycznego, a stawało się bądź zwyczajnym obciążeniem w służbie państwa, bądź po prostu tytułem do nabycia praw cywilnych. Nie można się było spodziewać niczego innego po cywilizacji, w której od samego początku tak istotną wartością było niewolnictwo. Natomiast dla naszych „narodów” niewolnictwo to zjawisko jedynie szczytowe.

⁶⁹ Granica okalająca (przyp. Maria Dietl).

„Wspólna, pełna chwały przeszłość, wspólna wola działania w chwili obecnej; w przeszłości wielkie wspólne osiągnięcia, obecnie - chęć dokonania dalszych; oto podstawowe warunki, jakie trzeba spełnić, by być narodem... W przeszłości dziedzictwo chwały i żal niespełnionych nadziei, na przyszłość - wspólny program do spełnienia... Egzystencja narodu to codzienny plebiscyt”.

Tak brzmi owo słynne zdanie Renana. Czym wytłumaczyć nadzwyczajne powodzenie, jakim się ono cieszyło? Bez wątplenia, trafnością ostatniej frazy. Pogląd, że naród to codzienny plebiscyt, ma dla nas moc wyzwolicielską. Wspólnota krwi, języka i przeszłości to zasady statyczne, losowe, bezwładne i nienaruszalne; to więzienia. Gdyby o narodzie stanowiło tylko to i nic więcej, byłyby to coś usytuowanego gdzieś poza nami, na co nie mamy żadnego wpływu. Naród byłby czymś, czym się jest, ale nie czymś, co się tworzy. W tej sytuacji nie byłoby nawet sensu bronić go przed cudzymi atakami.

Życie ludzkie, czy nam się to podoba czy nie, polega na nieustannym zajmowaniu się przyszłością. Od chwili obecnej zaczynamy się zajmować następną, nadchodzącą chwilą. Dlatego życie to zawsze nieustanne działanie. Dlaczego nie zauważono dotychczas, że działanie, wszelkie *działanie* to urzeczywistnienie przyszłości? Nawet wówczas, gdy oddajemy się wspomnieniom. Albowiem w danej chwili *przypominamy* sobie coś po to, by w następnej mieć przyjemność ponownego przeżycia przeszłości. Przed chwilą owa skromna, samotna przyjemność jawiła nam się jako pożądana przyszłość, dlatego ją *urzeczywistniamy*. Dochodzimy więc do wniosku, że dla człowieka znaczenie ma jedynie to, co stanowi funkcję przyszłości.⁷⁰

Gdyby o narodzie stanowiły jedynie przeszłość i terażniejszość, nikomu nie chciałoby się zajmować jego obroną przed atakami z zewnątrz. Twierdzić, że jest inaczej, może jedynie hipokryta lub głupiec. Zdarza się natomiast, że przeszłość narodowa rodzi bodźce rzeczywiste lub wymaginowane, które promieniują w przyszłość. Życzymy sobie takiej przyszłości, w której nasz naród będzie w dalszym ciągu istniał i to nas mobilizuje do jego obrony, a nie więzy krwi i języka czy wspólna przeszłość. Broniąc narodu, bronimy swego jutra, a nie swojego dnia wczorajszego.

Ta właśnie myśl dźwięczy w słowach Renana: naród jako znakomity program na jutro. Plebiscyt decyduje o przyszłości. To, że w tym wypadku przyszłość to dalsze trwanie przeszłości, nie zmienia w niczym sedna sprawy; dowodzi jedynie, że definicja Renana ma również charakter archaizujący.

Tak więc zasada państwowości, na której opiera się państwo narodowe, bliższa jest czystej idei państwa niż to miało miejsce w wypadku starożytnej *polis* czy arabskiego „plemienia” spójonego więzami krwi. Rzeczywiście, idea narodowa niesie w sobie spory balast przeszłości, związany ze wspólnym pochodzeniem czy wspólnym terytorium, ale tym bardziej uderzający jest fakt, że zawsze triumfuje w niej czysta zasada zjednoczenia ludzi wokół jakiegoś pobudzającego do działania programu życia. Co więcej, twierdzą, iż cały ów balast przeszłości i pewne skrępowanie w ramach materialnych ograniczeń nie zrodziły się w duszy człowieka Zachodu w sposób spontaniczny, lecz wywodzą się z przedstawionej przez romantyków erudycyjnej interpretacji idei narodu. Gdyby w wiekach średnich istniała owa dziewiętnastowieczna koncepcja narodu, to Anglia, Francja, Hiszpania i Niemcy nigdy by nie powstały⁷¹. Bowiemy w tej interpretacji czynniki, które powstanie narodu inspirują i które go tworzą, zostały pomieszczone z tymi, które naród jedynie konsolidują i które utralają jego istnienie. To nie patriotyzm - powiadam – stworzył narody. Uważać, iż jest odwrotnie, to popełniać błąd, o którym już wspomniałem: popełnia go także sam Renan w swojej słynnej definicji. Jeśli dla istnienia narodu konieczne było to, by pewna grupa ludzi miała wspólną przeszłość, jak mielibyśmy nazwać tę samą grupę wówczas, kiedy żyła w terażniejszości, która z dzisiejszego punktu widzenia jest już przeszłością. Okazałoby się, że owo współzycie zbiorowe musiałyby obumrzeć, przeminąć tylko po to, byśmy mogli powiedzieć: jesteśmy narodem. Czyż nie dostrzegamy tu owego charakterystycznego nieporozumienia, powszechnego wśród filologów i archiwistów, którym profesjonalny punkt widzenia nie pozwala widzieć rzeczywistości, o ile jeszcze nie stała się przeszłością? Filologiem jest ten, kto po to, by być filologiem, potrzebuje przede wszystkim tego, by istniała przeszłość; ale naród, zanim jeszcze zacznie posiadać wspólną przeszłość, musi ową wspólnotę

⁷⁰ Zgodnie z tym twierdzeniem człowiek jest w sposób niepodważalny istotą futurystyczną; znaczy to, że żyje przede wszystkim przyszłością i z przyszłości. Jednakże człowiekowi starożytności przeciwstawiłem Europejczyka powiadając, że o ile ten pierwszy jest raczej zwrócony ku przeszłości, o tyle ten drugi jest raczej otwarty na przyszłość. Zdawałoby się więc, że tezy te wzajemnie sobie przeczą. Wrażenie to odnosimy wówczas, gdy zapominamy, iż człowiek to istota dwoista: z jednej strony jest tym, kim jest, a z drugiej strony ma różne poglądy na własną osobę, które są w mniejszym lub większym stopniu zbieżne z autentyczną rzeczywistością. Nasze poglądy, wybory, życzenia nie mogą oczywiście zatrzeć naszego prawdziwego ja, ale niewątpliwie mogą je kształtować i komplikować. Człowiek starożytny i Europejczyk są w równej mierze zainteresowani przyszłością; ale podczas gdy ten pierwszy narzuca jej reguły przeszłości, ten drugi zostawia jej, tj. nowości jako takiej, duży zakres autonomii. Ów antagonizm, który nie tkwi w tym, kim jesteśmy, ale w tym, co wybieramy, usprawiedliwia zaklasyfikowanie Europejczyka do futurystów, a człowieka starożytnego do typu ludzi archaizujących. Wiele mówiący jest fakt, że zaledwie się Europejczyk obudzi, stając się panem samego siebie, już zaczyna nazywać swe życie „epoką nowoczesną”. Jak wiadomo „nowoczesna” to znaczy nowa, taka, która odrzuca dawne zwyczaje i tradycje. Już pod koniec XIV wieku zaczęto podkreślać *nowoczesność* i to właśnie w tej dziedzinie, która najbardziej interesowała ludzi owej epoki, mówiło się na przykład o *devotio moderna* [nowoczesna pobożność], co było czymś w rodzaju teologicznej awangardy.

⁷¹ Początek nowoczesnych narodów, przypadający na koniec XVIII wieku, to chronologicznie rzecz biorąc jeden z pierwszych symptomów rodzącego się romantyzmu.

stworzyć, a zanim ją stworzy, musi ją sobie wyśnić, musi jej chcieć, musi ją sobie zaplanować. Naród istnieje już wtedy, gdy w umysłach pewnej grupy ludzi tkwi projekt jego powstania, nawet jeśli nie uda się tego projektu spełnić, jeśli całe przedsięwzięcie kończy się niepowodzeniem, co już się tyle razy zdarzało. Mówimy wtedy o niedoszłym narodzie (jak na przykład Burgundia).

Z narodami Środkowej i Południowej Ameryki łączy Hiszpanię wspólna przeszłość, więzy krwi, wspólny język, a jednak nie stanowią one razem jednego narodu. Dlaczego? Brakuje tego, co widocznie jest sprawą najistotniejszą, a mianowicie wspólnej przyszłości. Hiszpania nie potrafiła przedstawić programu wspólnej przyszłości, który byłby atrakcyjny dla tych biologicznie przecież pokrewnych grup. Futurystyczny plebiscyt okazał się dla Hiszpanii niekorzystny i nic tu już nie były w stanie pomóc archiwa, wspomnienia, przodkowie, „ojczyzna”. Jeśli jest wspólna przeszłość, to wtedy cała ta reszta stanowi siłę konsolidującą; ale nic poza tym.⁷²

Tak więc w państwie narodowym widzę strukturę historyczną o charakterze plebiscytowym. Wszystko inne ma wartość przejściową, zmienną; to treść, forma czy spistość, które w każdej chwili poddawane są pod głosowanie. Renan trafił na magiczne słowo, które rozblęsnęło światłem. Pozwala nam ono dojrzeć, jeszcze niezbyt wyraźnie, jak na ekranie aparatu rentgenowskiego, najbardziej istotny szkielet narodu, na który składają się dwa elementy: po pierwsze, program powszechnego współżycia w celu przeprowadzenia wspólnego przedsięwzięcia; po drugie, poparcie ludzi dla tego programu. Z tego ogólnego poparcia rodzi się wewnętrzna siła i to ona różni państwo narodowe od wszystkich dawniejszych, w których jedność rodziła się i utrzymywała przy życiu w wyniku zewnętrznej presji tego państwa na odmienne grupy. Stąd też bierze się owa siła państwowotwórcza, jaką daje głęboka i spontaniczna spójność społeczeństwa czy też „poddanych” państwa narodowego. W rzeczywistości sami poddani są już państwem, a zatem nie mogą odczuwać wobec niego - i to jest to nowe i wspaniałe we współczesnych narodach - uczucia obcości.

Jednakże Renan prawie zupełnie przekreśla słuszność swojego trafnego spostrzeżenia, nadając słowu plebiscyt treść retrospektywną i odnosząc je do narodów już gotowych, o których dalszym istnieniu ma ono stanowić. Ja bym wolał przenieść punkt ciężkości tej wypowiedzi na naród *in statu nascendi*. To jest bardziej odpowiedni sposób patrzenia. Bo tak po prawdzie to żaden naród nie jest nigdy gotowy i skończony. Tym też się różni od innych typów państw. Naród jest zawsze w trakcie powstawania bądź rozpadu. *Tertium non datur*. Albo się rozrasta, albo się kurczy w zależności od tego, czy w danym momencie jego państwo jest przedsięwzięciem żywotnym i atrakcyjnym, czy też nie.

Dlatego też nader płodne byłoby zrekonstruowanie owych jednoczących przedsięwzięć, które kolejno porwały różne grupy ludzkie na Zachodzie. Zobaczylibyśmy wtedy, jak wpływały one na Europejczyków nie tylko w życiu publicznym, ale także w prywatnym; ci ostatni podciągali się bądź ulegali demoralizacji w zależności od tego, czy te przedsięwzięcia porwały ich, czy nie.

Taka rekonstrukcja wyjaśniłaby nam także jeszcze jedną sprawę. Przedsięwzięcia państwowe starożytnych - dlatego właśnie, że nie zakładały osiągnięcia spójności grup ludzkich, których dotyczyły, i także dlatego, że państwo w dokładnym tego słowa znaczeniu ograniczało się zawsze do plemienia czy miasta - były praktycznie rzecz biorąc nieograniczone. Jakiś jeden lud - Persowie, Macedończycy czy Rzymianie - mógł sobie właściwie podporządkować dowolny obszar naszej planety. W tym wypadku jedność, nie będąc ani autentyczną, ani ostateczną, uzależniona była jedynie od wojskowej i administracyjnej skuteczności zdobywcy. Na Zachodzie jedność narodowa przechodziła w sposób nieuchronny przez wiele etapów. Powinno to nas zastanowić, dlaczego w Europie nie powstało nigdy imperium, które swymi rozmiarami mogłoby się równać z państwem perskim czy imperiami stworzonymi przez Aleksandra i Augusta.

Proces formowania się narodów toczył się w Europie zawsze w tym samym rytmie. *Pierwszy okres*. Szczególny instynkt Zachodu, zgodnie z którym państwo rozumiane jest jako fuzja różnych ludów we wspólną polityczną i moralną, zaczyna się budzić w łonie różnych grup bliskich sobie geograficznie, etnicznie i językowo. Nie dlatego, że owa bliskość tworzy naród, lecz dlatego, że różnice między bliskimi są łatwiejsze do przewyciężenia. *Drugi okres*. Jest to czas konsolidacji, w którym zaczyna się odczuwać, że *inne* ludy, leżące poza granicami nowego państwa, to cudzoziemcy i w mniejszym lub większym stopniu wrogowie. Jest to okres, w którym proces narodotwórczy nabiera cech ekskluzywizmu, w państwie przybierają na sile tendencje dośrodkowe; w sumie sprowadza się to do tego, co dziś nazywamy *nacjonalizmem*. Mimo tego, że inni pod względem politycznym odbierani są jako obcy i w pewnym sensie rywale, to jednak rozwija się z nimi współżycie i wymiana ekonomiczna, intelektualna i moralna. Wojny nacjonalistyczne służą do niwelowania różnic technicznych i duchowych. Tradycyjni wrogowie stają się historycznie homogeniczni.⁷³ Powoli zaczyna się pojawiać na horyzoncie świadomość tego, że owe obce, wrogie nam ludy należą do tego samego ludzkiego kręgu, co i nasz naród. Nie przeszkadza to jednak temu, by ich w dalszym ciągu uważać za obcych i wrogów. *Trzeci okres*. Państwo jest już w pełni skonsolidowane. Pojawia się teraz nowe zadanie: dążenie do połączenia z tymi, którzy jeszcze wczoraj byli naszymi wrogami. Zaczyna rodzić się przekonanie, że łączą nas wspólne

⁷² Będziemy obecnie mieli okazję prześledzić na żywo, jakbyśmy byli w laboratorium, rozwój podobnej sytuacji; zobaczymy, czy Anglii uda się utrzymać jedność różnych części swojego imperium, proponując im jakiś atrakcyjny wspólny program.

⁷³ Z tym, że owa homogeniczność respektuje, a nie anuluje, pluralizmu sytuacji pierwotnych.

interesy i jedna moralność oraz że stworzymy razem potężniejszy naród, będący w stanie przeciwstawić się innym grupom ludzkim, odleglejszym i jeszcze bardziej obcym. Oto jak dojrzewa nowa idea narodowa.

Jeszcze lepiej można to wyjaśnić na przykładzie. Często przyjmuje się za rzecz oczywistą, iż w czasach Cyda istniała już Hiszpania - *Spania* - jako idea narodowa, dodając zarazem dla wzmocnienia tej tezy, iż przecież święty Izydor już kilka wieków wcześniej mówił o „matce Hiszpanii”. Moim zdaniem jest to poważny błąd historyczny. W czasach Cyda państwo zaczęło powstawać z połączenia Leónu i Kastylii, a jego jedność była ówczesną ideą narodową, ideą na swe czasy politycznie skuteczną. Natomiast *Spania* była przede wszystkim pojęciem naukowym, teoretycznym; jedną z tych płodnych idei, które zostały na Zachodzie w spadku po imperium rzymskim. „Hiszpanie” przyzwyczaili się do tego, że zostali przez Rzym połączeni w jedną wspólnotę administracyjną, która była jedną z *diecezji* późnego imperium. Ale to pojęcie geograficzno-administracyjne, narzucone z zewnątrz, nie wpływało z żadnej wewnętrznej inspiracji i na pewno nie były w nim zawarte żadne aspiracje co do przyszłości.

Mimo że podejmowano wiele starań, by nadać tej idei znamiona rzeczywistości już w wieku XI, to jednak nie ulega wątpliwości, iż nie można jej nawet przypisać tej wartości i znaczenia, jakie dla Greków z IV wieku miała idea Hellady. Chociaż idea Hellady nie była nigdy prawdziwą ideą narodową. Odpowiednim porównaniem historycznym byłoby raczej to: dla Greków z wieku IV Hellada była tym, czym dla „Hiszpanów” z wieku XI, a nawet jeszcze XIV, była *Spania* i czym dla „Europejczyków” z wieku XIX była Europa.

Widzimy więc, że przedsięwzięcia dążące do coraz to szerszej jedności narodowej następują po sobie jak dźwięki w melodii. Wczorajsze zwykle pokrewieństwo musi czekać jutra, by nastąpiła erupcja inspiracji narodowej. Ale jest rzeczą prawie pewną, że z czasem to nastąpi.

Obecnie *Europejczycy* wkraczają w okres, w którym idea Europy może przekształcić się w ideę narodową. Jest to dzisiaj możliwość znacznie mniej utopijna, niż było nią w wieku XI, przepowiedane przez wielu, zjednoczenie Francji i Hiszpanii. Im bardziej państwo narodowe Zachodu będzie wierne swym najistotniejszym, autentycznym treściom, tym bardziej będzie uprawnione do tego, by zlać się w jedno gigantyczne państwo kontynentalne.

9

Gdy tylko narody Zachodu połączą się, otoczy je ze wszystkich stron Europa, tworząc zarazem ich podłoże. Ona stanowi ową jedność krajobrazu, w którym te narody żyją już od czasów odrodzenia, one same jednak także składają się na ów europejski krajobraz, który - jakkolwiek jeszcze o tym nie wiedzą - zaczyna się już wyłaniać z ich skłóconej i wojowniczej przeszłości. Francja, Anglia, Hiszpania, Włochy, Niemcy wzajemnie się zwalczają, tworząc wrogie sobie sojusze, rozwiązują je, by zawrzeć je ponownie. Ale wszystko to, zarówno wojna jak i pokój, to formy współżycia równego z równym, czyli coś, o czym nie mogło być mowy ani w okresie wojny, ani w okresie pokoju pomiędzy Rzymem a Celtoiberami, Gallami, Brytami czy Germanami. W dziejach na pierwszy plan wysuwają się wojny, a w ogóle polityka, na gruncie której najpóźniej kiełkuje ziarno jedności; ale między wojnami prowadzi się z nieprzyjaciółmi handel, wymienia się z nimi idee, formy artystyczne czy przedmioty kultu. Powiada się, że cały ów zgiełk bitewny to tylko zasłona, pod którą tym skuteczniej działa pacyfistyczny polip pokoju, splatający ze sobą życia skłóconych narodów. Z każdym nowym pokoleniem wzrasta jednolitość dusz. Chcąc to wyrazić dokładniej i ostrożniej, należy powiedzieć tak: dusze Francuzów, Anglików czy Hiszpanów różnią się, dotyczy to przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, ale mają tę samą strukturę psychologiczną, która ponadto w coraz większym stopniu wypełnia się wspólną treścią. Wspólne stają się: religia, nauka, prawo, sztuka, wartości społeczne i erotyczne. Otóż to właśnie są sprawy duchowe, *którymi się żyje*. A zatem mamy w rezultacie do czynienia z większą jednolitością niż ta, jaką byśmy osiągnęli, gdyby wszystkie dusze ulepione były z tej samej gliny.

Gdybyśmy dziś sporządzili bilans zawartych w naszych umysłach treści duchowych - sądów, norm, pragnień, domniemywań - to zauważylibyśmy, że większość z nich nie rodzi się we Francuzie dlatego, że jest Francuzem, czy w Hiszpanie dlatego, że jest Hiszpanem, lecz że wywodzą się one ze wspólnego, europejskiego źródła. Dzisiaj ważniejsze w nas jest to, co mamy z Europejczyka, niż to, co mamy specyficznie z Francuza, Hiszpana, itd. Gdybyśmy sobie wyobrazili eksperyment polegający na ograniczeniu życia do tego, co w nim jest czysto „narodowe”, i gdybyśmy w wyobraźni pozbawili przeciętnego Francuza wszystkiego, czego używa, o czym myśli, co odczuwa, ze względu na zapożyczenia od innych narodów naszego kontynentu, to ogarnęłoby go przerażenie. Stwierdziłby bowiem, że nie jest w stanie żyć sam sobą i z siebie, że jego wewnętrzne, duchowe „posiadłości”, to w czterech piątach „dobra” ogólnoeuropejskie.

Nie bardzo widać, czym bardziej wartościowym moglibyśmy się *zająć* my, mieszkańcy tej części planety, jeśli nie właśnie urzeczywistnieniem zapowiedzi, jaką od przeszło czterech wieków niesie w sobie słowo Europa. Na przeszkodzie stoją jedynie stare przesady „narodowe”, idea narodu jako przeszłości. Teraz będziemy mieli możliwość się przekonać, czy Europejczycy są także dziećmi żony Lota i czy w dalszym ciągu będą z uporem wkraczali w dzieje z twarzą zwróconą ku przeszłości. Odniesienia do Rzymu czy w ogóle do

starożytności traktujemy jako ostrzeżenie, ponieważ pewnego typu ludziom niesłuchanie trudno wybić z głowy ideę państwa, którą raz na zawsze uznali za swoją. Na szczęście idea państwa narodowego, która pojawiła się na świecie za sprawą Europejczyków niezależnie od tego, czy zdają sobie oni z tego sprawę czy nie, nie jest ową ideą erudycyjną, filologiczną, której pojawienie się niegdyś przepowiadano.

Pragnąłbym teraz podsumować tezy tego eseju. Dzisiejszy świat wszedł w okres poważnej demoralizacji, której jednym z objawów jest nieokiełznany bunt mas, a która bierze swój początek z demoralizacji Europy. Na demoralizację Europy złożyło się wiele przyczyn. Jedną z głównych była utrata władzy, którą niegdyś sprawowała nad całym światem i nad sobą samą, nad naszym własnym kontynentem. Ani Europa nie jest pewna tego, czy rządzi, ani reszta świata nie wierzy w to, że jest rządzona. Historyczne panowanie rozpadło się.

To nie jest już „pełnia czasów”, bo zakładałaby ona istnienie jasno wyznaczonego i niedwuznacznego obrazu przyszłości, jak to miało miejsce w wieku XIX. Wówczas to uważano, iż wiadomo, co będzie jutro. Ale teraz, *zważywszy na to*, że nie wiadomo, *kto* będzie rządził, ani w jaki sposób będzie sprawowana władza nad światem, znowu pojawiły się na horyzoncie znaki zapytania. Kto, to znaczy jaki naród czy grupa narodów; a zatem, jaki typ etniczny; a zatem, jaka ideologia, jaki system wartości i życiowych odniesień.

Nie wiadomo, ku jakiemu ośrodkowi grawitować będą w najbliższej przyszłości ludzkie sprawy i dlatego życie świata stało się skandalicznie prowizoryczne. Wszystko, ale to wszystko, co się obecnie dzieje w życiu publicznym i prywatnym - nawet tym najbardziej osobistym - z wyjątkiem może jedynie kilku dziedzin nauki, jest prowizoryczne. Słusznie czyni ten, kto nie wierzy w to, co się dzisiaj ostentacyjnie głosi, czego się dowodzi, co się wychwala. Wszystko to przeminie jeszcze szybciej niż nastąpiło. Ale to wszystko, od manii na punkcie sportu (manii, ale nie samego sportu) aż do przemocy w polityce; od „nowej sztuki” aż do tak obecnie popularnej mody na opalanie się. Wszystko to pozbawione jest korzeni, bo jest czystym wymysłem, w złym tego słowa znaczeniu, jako odpowiednik lekkomyślnego kaprysu. Nie jest aktem tworzenia rodzącym się w najistotniejszych głębinach życia; nie jest to ani autentyczny zapal, ani potrzeba. W sumie rzecz biorąc, jest wszystko to życiowo fałszywe. Jest zaprzeczeniem, a zarazem zafałszowaniem stylu życia opartego na szczerości i prostocie. Życie jest tylko wtedy prawdziwe, kiedy czujemy, iż każdy jego akt jest konieczny i nieodwracalny. Dzisiaj żaden polityk nie odczuwa swojej polityki jako koniecznej i nieodwracalnej, dzieje się zaś tak tym bardziej, im bardziej krańcowa, jałowa i nieprzemysłana jest jego postawa. Życie autochtoniczne, wyrastające z własnych korzeni, to wyłącznie takie życie, które składa się z kolejnych nieuniknionych i nieodwracalnych epizodów i etapów. Cała reszta, wszystko to, co możemy przyjąć lub odrzucić i zastąpić czymś innym, to właśnie fałszywa postać życia.

Stan obecny to wynik bezkrólewia, pustki jaka nastąpiła między dwoma strukturami historycznych rządów: tego, który był i tego, który będzie. Dlatego też jest to stan w istocie prowizoryczny. I ani mężczyźni nie wiedzą dobrze, jakim instytucjom mają naprawdę służyć, ani kobiety nie wiedzą, jakiego typu mężczyzn naprawdę wolą.

Europejczycy nie potrafią żyć inaczej, jak tylko porwani przez jakieś wielkie jednoczące przedsięwzięcie. Kiedy go brak, wyrodnieją, tracą siły, a dusze ich zaczynają ulegać rozkładowi. Jesteśmy obecnie świadkami początków czegoś takiego. Grupy, które dotychczas zwały się narodami, osiągnęły szczyty swojego rozwoju mniej więcej sto lat temu. Niczego już więcej nie osiągną, o ile nie przezwyciężą swych dotychczasowych ograniczeń. Teraz są tylko przeszłością, niepotrzebnym, krępującym ruchy balastem. Dzięki większej niż kiedykolwiek dotąd swobodzie życiowej zaczynamy teraz czuć, że dusimy się w ciasnych ramach narodu, że potrzebujemy więcej powietrza. Naród, który był przedtem wielką, otwartą przestrzenią, stał się teraz prowincją, „interiorem”. W europejskiej wspólnotie ponadnarodowej, którą sobie stworzyliśmy w wyobraźni, wcale nie musi zaniknąć obecna różnorodność. Podczas gdy państwo starożytne wymazywało różnice między poszczególnymi ludami, uniemożliwiało pojawienie się ich albo też w najlepszym wypadku zachowywało je w postaci z mumifikowanej, idea narodowa będąca czystym dynamizmem wymaga aktywnego i trwałego istnienia różnic, które zawsze stanowiłyby o życiu Zachodu.

Wszyscy widzą pilną konieczność oparcia życia na nowych zasadach. Ale niektórzy - jak to się zawsze dzieje w tego typu kryzysach - szukają ratunku nasilając w sposób krańcowy i sztuczny realizację tych właśnie, dawno już przestarzałych zasad. Stąd też bierze się owa erupcja „nacjonalizmów”, jakiej jesteśmy ostatnio świadkami. Zawsze - powtarzam - tak się działo. Ostatni płomień jest zawsze najdłuższy, a ostatni oddech najgłębszy. W przeddzień całkowitej likwidacji granice - gospodarcze i wojskowe - ulegną wzmocnieniu.

Ale wszystkie te nacjonalizmy to ślepe zaułki. Idąc ich śladem, uderzamy głową o ścianę. Jest to droga bez wyjścia. Nacjonalizm to zawsze bodziec działający wbrew zasadom narodotwórczym. Nacjonalizm ma charakter wyłączający innych, podczas gdy zasady narodotwórcze mają charakter włączający. Niemniej, w okresach konsolidacji nacjonalizm ma, jako norma, wartość pozytywną. Ale we współczesnej Europie wszystko jest aż zanadto skonsolidowane, a nacjonalizm to już nic innego jak tylko głupia mania, pretekst do tego, by nie myśleć i nie wytyczać sobie nowych, wielkich przedsięwzięć. Prostota środków, jakimi operuje, i kategoria ludzi, do których trafia, świadczą najlepiej o tym, że jest to coś wręcz przeciwnego do twórczego procesu historycznego.

Jedynie decyzja konstrukcji z różnych ludów naszego kontynentu jednego, wielkiego narodu mogłaby tchnąć w Europę nowe życie. Zaczęłyby znowu wierzyć w siebie, co automatycznie spowodowałoby zwiększenie wymagań wobec siebie i narzucenie sobie dyscypliny.

Ale obecna sytuacja jest znacznie bardziej niebezpieczna, niż to się na ogół sądzi. Mijają lata i istnieje ryzyko, że Europejczycy przyzwyczajają się do życia niskiego lotu, jakie obecnie prowadzą; przyzwyczajają się do tego, że nie rządzą ani sobą, ani innymi. Grozi więc wkrótce zanik wszystkich ich cnót i nadzwyczajnych zdolności. Ale jedności Europy przeciwstawiają się, jak to zawsze bywa w procesach narodotwórczych, klasy konserwatywne. Może się to dla nich skończyć katastrofą, bo do niebezpieczeństwa dla całego gatunku, jakim jest groźba kompletnej demoralizacji Europy i utracenie reszty historycznej witalności, dojdą jeszcze inne niebezpieczeństwa, bliskie i konkretne.

Kiedy w Rosji zwyciężył komunizm, wielu ludzi myślało, iż czerwona fala ze Wschodu wkrótce zaleje cały Zachód. Ja tych obaw nie podzielałem. Wręcz przeciwnie: pisałem wówczas, że rosyjski komunizm jest nie do strawienia dla Europejczyków, którzy w ciągu całych dziejów włożyli tyle zapału i wysiłku w sprawę indywidualizmu. Minęło trochę czasu i ci, którzy niegdyś obawiali się czerwonego zalewu, już się uspokoili. Uspokoili się właśnie w chwili, kiedy należałoby zacząć się niepokoić. Bo właśnie teraz rzeczywiście grozi Europie zalew zrównującego i zwyciężającego wszystko komunizmu.

Uważam, że teraz, tak samo jak i przedtem, credo komunistyczne w wydaniu rosyjskim nie jest dla Europejczyków ani interesujące, ani pociągające, ani rokujące cokolwiek dobrego na przyszłość. I to nie dla tych banalnych powodów, które często podają apostołowie nowej wiary, jak wszyscy apostołowie uparci, głusi i mało wiarygodni. Zachodni *bourgeois* doskonale zdają sobie sprawę z tego, że nawet bez komunizmu policzone są dni ludzi żyjących wyłącznie z przekazywanych z ojca na syna rent i procentów. Nie to uodparnia Europę na oddziaływanie rosyjskiej wiary, nie jest to także strach. Śmieszne wydają się nam dzisiaj arbitralne założenia, na których dwadzieścia lat temu opierał Sorel swą taktykę przemocy. Wbrew temu, co twierdził Sorel, *bourgeois* nie są tchórzami i w chwili obecnej bardziej skłaniają się do przemocy niż robotnicy. Każdy wie, że jeśli w Rosji zwyciężył bolszewizm, to dlatego, że nie było tam burżuazji.

Okazuje się, iż faszyzm, będący ruchem *petit bourgeois*, jest znacznie bardziej skłonny do stosowania metod przemocy niż wszystkie ruchy robotnicze razem wzięte. A zatem nie to odstręcza Europejczyków od komunizmu, lecz inny powód znacznie bardziej prosty i pierwotny, a mianowicie to, że Europejczyk nie dostrzega w systemie komunistycznym szans na zwiększenie ludzkiego szczęścia.

Niemniej - jeszcze raz to powtarzam - wydaje mi się rzeczą wielce prawdopodobną, że w najbliższych latach Europa zacznie entuzjasmować się komunizmem. Wyobraźmy sobie, że „plan pięcioletni”, to herkulesowe zadanie, jakie postawił przed sobą rząd radziecki, zostanie wykonany i potężna gospodarka rosyjska zostanie nie tylko odbudowana, ale nawet rozbudowana. Jakielkolwiek byłyby treści komunizmu, niewątpliwie stanowi on próbę przeprowadzenia gigantycznego ludzkiego przedsięwzięcia. Jego wyznawcy połączyli zdecydowanie własne losy z losem reformy i żyją w stałym napięciu, przestrzegając surowej dyscypliny, jaką im ta wiara narzuca. Jeśli siły przyrody, niełatwo dające się okiełznać ludzkiem entuzjazmem, nie staną na przeszkodzie realizacji tych zamierzeń, jedynie trochę je utrudniając, to wspaniałość tego przedsięwzięcia rozświetli horyzont kontynentu jak nowa, jasno promieniejąca konstelacja. Jeśli Europa będzie dalej, tak jak w ostatnich latach, podle wegetowała, zdemoralizowana brakiem dyscypliny i pozbawiona jakiegokolwiek nowego programu życia, to jak będzie się mogła oprzeć zaraźliwemu urokowi tak wspaniałego przedsięwzięcia? Trzeba by zupełnie nie znać duszy Europejczyka, by ludzi się, iż w sytuacji, kiedy nie widzi wokół siebie żadnej idei, pod której sztandary mógłby się schronić, nie porwie go to wezwanie do nowych, wspaniałych czynów. Łatwo sobie wyobrazić, że Europejczyk po to, by móc służyć czemuś, co nada życiu sens, i by uciec przed własną pustką egzystencjalną, przełknie zastrzeżenia wobec komunizmu, porwany nie tyle przez jego treści, co przez siłę moralnego gestu.

Moim zdaniem, jedynym przedsięwzięciem, które mogłoby skutecznie przeciwstawić się zwycięstwu „planu pięcioletniego” jest budowa Europy jako wielkiego państwa narodowego.

Znawcy ekonomii politycznej ze swojej strony zapewniają, że sukces bolszewików jest bardzo mało prawdopodobny. Ale źle by było, gdyby antykomunizm pokładał wszystkie swoje nadzieje w trudnościach materialnych przeciwnika. W tym wypadku klęska komunizmu byłaby równoznaczna z powszechnym upadkiem; wszystkich i wszystkiego, wraz z ogólnym upadkiem człowieka współczesnego. Komunizm to „moralność” ekstrawagancka - coś w rodzaju kodeksu moralnego. Czyż nie lepiej byłoby i płodniej jako zachętę do nowego programu życia przeciwstawić owej moralności słowiańskiej nową moralność Zachodu?

XV

Dochodzimy do sedna sprawy

Oto sedno sprawy: w Europie nie ma już moralności. Nie chodzi o to, że człowiek masowy przedkłada jakąś nową moralność nad inną, starszą, lecz o to, że jego credo życiowym jest dążenie do tego, by żyć bez podporządkowywania się jakiegokolwiek moralności. Kiedy młodzi mówią o „nowej moralności” - nie wiercie ani jednemu ich słowu. Absolutnie w to nie wierzę, by w jakimkolwiek zakątku naszego kontynentu istniała dziś grupa ludzi ukształtowana przez *ethos*, który miałby cechy jakiegoś kodeksu moralnego. Mówienie o „nowej moralności” to tylko jeszcze jeden niemoralny czyn i poszukiwanie możliwie najwygodniejszych sposobów wprowadzania towarów pochodzących z kontrabandy.

Dlatego też naiwnością byłoby rzucać dzisiejszemu człowiekowi w twarz prawdę o tym, że pozbawiony jest moralności. Wzruszy tylko ramionami, albo mu to jeszcze pochlebi. Niemoralność stała się rzeczą taną i każdy może się nią dzisiaj chęplić.

Jeśli pozostawimy na boku - jak to czyniliśmy w trakcie całego tego eseju - wszystkie grupy, które są przeżytkami przeszłości (chrześcijan, „idealistów”, liberałów dawnej daty itp.), to wśród tych, którzy reprezentują dzisiejsze czasy, nie znajdzie się ani jeden człowiek, którego postawa wobec życia nie sprowadzałaby się do przekonania o tym, że posiada wszystkie prawa i żadnych obowiązków. Jest rzeczą zupełnie obojętną, czy przybiera maskę reakcjonisty czy rewolucjonisty; czy go cechuje postawa bierna czy aktywna; prędzej czy później wychodzi na jaw, iż kompletnie ignoruje wszelkie obowiązki, a zarazem uznaje, sam nie wiedząc dlaczego, że prawa jego są nieograniczone. Jeśli przedstawia się jako reakcjonista czy antyliberał, to po to, by móc twierdzić, iż zbawienie ojczyzny czy państwa wymaga zrównania wszelkich norm i zmiążdżenia bliźniego, szczególnie jeśli ów bliźni posiada wybitną czy wartościową osobowość. Ale w wypadku rewolucjonisty sprawy wyglądają tak samo: manifestowany przezeń entuzjazm dla pracowników fizycznych, dla biednych i w ogóle dla sprawiedliwości społecznej to jedynie pretekst do zrzucenia z siebie wszelkich obowiązków, takich jak grzeczność, prawdomówność, a przede wszystkim szacunek dla jednostek od siebie lepszych i mądrzejszych. Znam wielu takich, którzy wstąpili do takiej czy innej partii robotniczej jedynie po to, by samych siebie przekonać o tym, że mają prawo pogardzać inteligencją i że wcale nie muszą wyrażać jej swego uznania. Jeśli chodzi o inne dyktatury, wiemy dobrze, jak hołubią człowieka masowego, drepcząc usłużnie wokół niego, jak gdyby był świętą krową.

Ta niechęć do wszelkich obowiązków stanowi częściowe wyjaśnienie owego śmiesznego a zarazem skandalicznego zjawiska, jakim jest stworzenie z „młodości” jako takiej głównego punktu odniesienia. Jest to być może najbardziej groteskowy rys naszych czasów. Ludzie, w sposób prawdziwie komiczny, oświadczają, iż są „młodzi”, bo słyszeli, że młodzi mają więcej praw niż obowiązków, odkładając tym samym wypełnienie tych ostatnich *ad Calendas Graecas*, czyli do czasu osiągnięcia dojrzałości. Ludzi młodych, jako takich, zawsze uważano za zwolnionych od *wykonywania* ważnych zadań. Zawsze żyli na kredyt. Leży to już w ludzkiej naturze. Było to coś w rodzaju fałszywego, pieśczośliwie-ironicznego prawa, jakie dorośli przyznawali młodym. Natomiast zdumiewające jest to, że teraz ci ostatni traktują je jako rzeczywiste prawo, i to prawo do usurpowania sobie wszystkich innych praw należnych jedynie tym, którzy już coś w życiu osiągnęli.

Doszło do tego, że - choć brzmi to nieprawdopodobnie - młodość stała się środkiem szantażu. Faktycznie żyjemy w czasach powszechnego szantażu, który przyjmuje dwie uzupełniające się formy: szantażu przemocą oraz szantażu humorem i satyry. Za pomocą jednego i drugiego zmierza się zawsze do tego samego celu, a mianowicie do tego, by człowiek pospolity mógł się czuć wyzwolony spod wszelkiego podporządkowania.

Dlatego też nie należy nobilitować obecnego kryzysu, przedstawiając go jako konflikt pomiędzy dwiema moralnościami czy też dwiema cywilizacjami, jedną obumierającą a drugą kwitnącą. Człowiek masowy po prostu nie ma moralności, która zawsze, z istoty rzeczy, jest poczuciem podporządkowania się czemuś, świadomością służby i zobowiązania. Ale może błędem jest mówić, iż „po prostu” nie ma. Bo nie chodzi tu tylko o to, że ten typ człowieka odrzuca moralność, czuje się od niej wyzwolony. Od moralności w żaden sposób nie można się uwolnić. To, co określamy słowem *amoralność*, które nawet gramatycznie nie jest poprawne, w rzeczywistości nie istnieje. Jeśli nie chcesz podporządkować się żadnej normie, to musisz *velis nolis* podporządkować się normie, jaką jest negowanie istnienia wszelkiej moralności, a to nie jest postawa amoralna, lecz niemoralna. Jest to moralność negatywna, w której ta druga zachowana jest w formie pustego miejsca.

Jak można było uwierzyć w amoralność życia? Bez wątplenia doprowadziła do tego współczesna kultura i cywilizacja. Teraz zaczyna Europa ponosić żałosne konsekwencje swego zachowania w kwestiach duchowych, swego oddania się bez zastrzeżeń we władzę wspaniałej kultury, nie opartej jednak na żadnych mocnych podstawach.

W eseju tym starałem się nakreślić obraz pewnego typu Europejczyka, analizując przede wszystkim jego stosunek do cywilizacji, która go zrodziła. Tylko tak można było postąpić, bo ów człowiek nie reprezentuje jakiejś nowej cywilizacji, która walczy ze starą, lecz jedynie czystą negację, negację, za którą kryje się

faktycznie pasożytnictwo. Człowiek masowy czerpie soki życiowe właśnie z tego, co odrzuca, a co zgromadzili i zbudowali inni. Dlatego też sprawę jego struktury psychicznej należy oddzielić od wielkiego, zasadniczego problemu, którym jest odpowiedź na pytanie: Jakie są podstawowe niedostatki współczesnej kultury europejskiej? Ponieważ jest rzeczą oczywistą, że w ostatecznym rachunku to one właśnie zrodziły ów ogólnie dziś panujący typ człowieka.

Wielkie to zagadnienie przekracza ramy tych stron; żeby je podjąć, trzeba by w pełni rozwinąć doktrynę życia ludzkiego, która niczym w kontrapunkcie pojawiała się na nich wpleciona w tekst tu i ówdzie, sugerowana półgłosem. Być może wkrótce zostanie wypowiedziana gromkim głosem.